

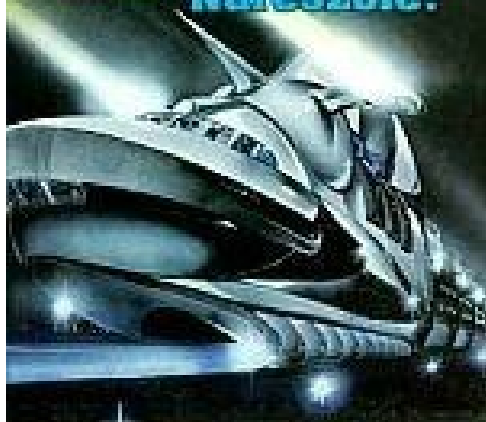
# HARRY HARRISON

Tunel  
transatlantycki.  
Nareszcie!



# HARRY HARRISON

Tunel  
transatlantyczny.  
Nareszcie!



# **Księga pierwsza**

## **Początek drogi**

# 1

## **Nagła wiadomość i niebezpieczna chwila**

Skład opuszczający stację Paddington nie różnił się prawie od innych pociągów. Owszem, „Latający Kornwalijczyk”, jak go nazywano, był wyraźnie nowszy i czystszy, a kanapy w przedziałach pierwszej klasy pyszniły się jakby bujniejszymi frędzlami, ale to nie wygląd stanowił o jego wyjątkowości w Anglii i, tym samym, na całym świecie. Różnicy nie dawało się jeszcze nijak poznać, gdy złotonosa lokomotywa pokonywała krzyżówki, rozjazdy i tunele stacji. Ujawniła się ona dopiero w Surrey, po drugiej stronie rzeki. Za wylotem głębokiego tunelu pod Tamizą zaczynało się specjalne torowisko. Podkłady były amortyzowane i spoczywały na szczególnej podsypce, tory zaś biegły niemal idealnie prosto. Wykopami przecinały wzgórza, żelaznymi mostami przeskakiwały nad strumieniami, rzadkie zakręty brały łagodnie, na szerokich łukach. Przyczyna takiej staranności inżynierów stała się oczywista, gdy zwarty, monolityczny niemal skład zaczął przyspieszać. Niebawem widziane z okien pociągu pola i drzewa zły się w jeden,

zasmużony pas zieleni. Zawodne oko obserwatora mogło wychwycić jedynie co dalsze punkty krajobrazu, ale i te znikwały niemal równie raptownie, jak się pojawiały.

Albert Drigg miał cały przedział dla siebie i bardzo mu ten przywilej odpowiadał. Wiedział wprawdzie, że pociąg pokonuje trasę do Penzance i z powrotem niemal już od roku i nie zdarzył się przez ten czas żaden wypadek, jednak teoria to jedno, a doświadczyć tego pędu osobiście to drugie. Dystans między Londynem a Penzance wynosił dokładnie 282 mile. Pociąg polykał ten przestwór ledwie w dwie godziny i pięć minut. Biorąc pod uwagę przystanki, jego średnia prędkość wynosiła 150 mil na godzinę. Czy człowiek powinien podróżować aż tak szybko? Albert Drigg odnosił coraz silniejsze wrażenie, że jest w tym coś niestosownego. Nawet teraz i tutaj, czyli w sercu Imperium Brytyjskiego roku pańskiego 1973. Siedział jednak nieporuszenie i sztywno w czarnym garniturze i takiejż kamizelce, kołnierzyk łśnił mu nieskałaną bielą. Skórzaną walizeczkę przyciskał kurczowo do łona. Leżące na półce powyżej parasol i melonik zdradzały w nim prawdziwego londyńczyka, który nie zwykł okazywać publicznie emocji. Drgnął wszakże, gdy bezszelestnie odsunęły się drzwi przedziału.

– Herbaty może, sir? – spytał pogodnie głos pobrzmiwający wyraźnym cockneyem.

Sto pięćdziesiąt mil na godzinę, albo i więcej, a filiżanka ani drgnęła na stoliku pod oknem, gdy herbata popłynęła do niej wartką strugą!

– To będzie trojak, sir.

Drigg wyciągnął z kieszonki sześć pensów, zapłacił, przeczekał mrukliwe podziękowania za hojny napiwek i ledwie drzwi się zamknęły, zaraz pożałował tak wielkiej rozrzutności. To chyba z nerwów, pomyślał. Chociaż ostatecznie był w delegacji: wliczy wydatek w koszty podróży, kompania zapłaci. Jakoś łżej mu się zrobiło na duszy, na dodatek herbata była dobra, gorąca i świeżo parzona i wspaniale koła wewnętrzne rozdygotanie. Whisky pomogłaby jeszcze lepiej, stwierdził, i już miał wdusić przycisk, by przywołać kelnera, gdy przypomniał sobie widziane w „The Tatler” i „Pall Mall Gazette” zdjęcia wnętrza wagonu restauracyjnego. Niewielu miało dotąd zaszczyt w nim gościć. Dokończył herbatę, wstał i schował nazbyt długi łańcuszek w rękawie marynarki. Lepiej nie pokazywać wszem i wobec, że jest trwale przykuty do walizeczki. Kajdanki nie przystoją dżentelmenowi, wszystko jedno w jakiej konfiguracji. Wagon restauracyjny warto zaś odwiedzić!

Korytarzowe dywany w barwie starego złota kontrastowały pięknie ze lśniącymi, mahoniowymi okładzinami. Drigg musiał przejść przez sąsiedni wagon, by dotrzeć do restauracyjnego, ale pomysłowość projektantów pociągu oszczędziła mu mocowania się ze zwykle opornymi drzwiami. Otwierały się same, pomrukując elektrycznymi motorkami, ledwie jakiś ukryty mechanizm wyczuł bliskość pasażera. Mijając kolejne przedziały, nie przypatrywał się oczywiście siedzącym w nich osobom, jednak kątem oka dostrzegał elegancko ubranych dżentelmenów. wirtowne damy. dzieci. Wszyscy siedzieli

spokojnie, niektórzy coś czytali. Tylko w jednym przedziale natknął się na jakichś dwóch wieśniaków opróżniających swobodnie butelkę porto. Nogi trzymali na siedzeniach, a wkoło kłębiła się hałaśliwie z szóstka szczeniactwa w różnym wieku. Ale oto wreszcie wkroczył do wagonu restauracyjnego.

Nie było tu automatów, tylko żywi ludzie, i to najlepsi w swoim fachu. Wielkie rzeźbione drzwi z masywnymi uchwytnymi, za nimi chłopiec w okrągłej służbowej czapce i mundurku z dwoma rzędami błyszczących guzików. Ledwie ujrzał gościa, zsalutował energicznie i otworzył drzwi.

– Witamy, sir – pisał – w salonie restauracyjnym Kolei Londyńsko-Przyłądkowej [W oryginale: *London and Land's End Railway*. Land's End to najdalej wysunięty na południowy zachód przyłątek Kornwalii].

Drigg musiał przyznać, że ilustracje prasowe nie oddawały wszystkiego. Po pierwsze, nie czuło się nijak, że to wagon kolejowy. Atmosfera panowała tu intymna i zaciszna, niczym w ekskluzywnym klubie. Całą jedną ścianę, od dachu do podłogi, stanowiło wielkie okno okolone rudoczerwonymi zasłonami. Siedząc przy stoliku, można było podziwiać wiejski krajobraz. Bar był po przeciwnej stronie: karne szeregi butelek przeglądały się w kryształowym lustrze. Z lewej i prawej baru też wprawiono okna, ale mniejsze, witrażowe. Słońce wlewało się przez nie barwnymi plamami, zlegając na dywanie. Niczym w świątyni, pomyślał Drigg. Ale świątyni tu nie było, co najwyżej błogosławieni kolejnictwa, jak Stephenson czy Brunel: dzięki i dołkowności materii z kromkami i wspania-

dzielnymi i dalekowzrocznymi mężczyznami z kompasami i mapami w rękach. Obok na witrażach widniały dawne lokomotywy: *Puffer* kapitana Dicka, drobna *Rocket* Stephensona i inne jeszcze, aż daleko po prawej jaśniał obraz napędzanego energią atomową *Dreadnought*, który to ciągnął „Latającego Kornwalijczyka”. Drigg usiadł przy oknie, ukrył walizeczkę pod stołem i zamówił whisky. Popijając z wolna, słuchał muzyki wygrywanej przez uśmiechniętego organistę ulokowanego wraz z instrumentem w głębi wagonu.

Cieszył się luksusem, smakował chwilę i już widział, jak opadną szczęki znajomym, gdy wróci do Hampstead i spotka ich wszystkich w „King’s Head”. Zanim dokończył pierwszego drinka, pociąg zwolnił i zatrzymał się w Salisbury. Na peronie wykwitli zaraz skądś chłopcy w szkolnych mundurkach i zaczęli zerkać do wagonu. Drigg pokiwał z aprobatą głową, gdy policjant przegonił wesółków. Wypełniwszy obowiązek, funkcjonariusz zasalutował podróżnym i odpłynął majestatycznie do innych, niewątpliwie bardzo ważnych zajęć. „Latający Kornwalijczyk” drgnął i nabrał rozpędu. Do drugiej whisky Drigg zamówił jeszcze talerz kanapek. Jadł wciąż, gdy zapowiedziano kolejny przystanek, w Exeter. Ledwo skończył posiłek, a tu pojawiły się już przedmieścia Penzance. Pospieszył do przedziału po melonik i parasol.

Wysiadając, minął straż ustawioną wkoło lokomotywy. Krzepcy żołnierze z pułków Argyll i Sutherland, wszyscy w ciemnych kiltach i białych getrach, z bagnetami na karabinach systemu Lee-Enfield, pewni siebie, bystro patrzący. Robili



wrażenie. Za nimi zaś lśnił złotem *Dreadnought*, największa i najsilniejsza, jeśli nie liczyć zespołów sprzęganych, lokomotywa na świecie. Mimo pośpiechu, Drigg zwolnił. Nie on jeden zresztą, inni pasażerowie także pragnęli rzucić okiem na potwora: koła napędowe wysokie na chłopa, czarne, z grubszymi niż męska noga drągami korbowodów wiodącymi od tłoków. Z boków buchały co chwila pióropusze białej pary. Dolna część kadłuba lokomotywy nosiła ślady długiej drogi, ale poza tym gładkie poszycie jaśniało, jak powinno: blachy kadłuba pokryto czternastokaratowym złotem. Ale to nie złota strzegli żołnierze, chociaż z pewnością było czego strzec, lecz serca maszyny, samej jednostki napędowej. Rząd stwierdził tylko krótko, że to stos atomowy, i nie zdradził nic więcej. Ale jak zaprzężono ten stos do pracy? Dowolne z państw niemieckich oddałoby roczne dochody w zamian za ten sekret. Powiadano, że przyłapano już nawet paru szpiegów, podobno poddanych króla Francji. Żołnierze zmierzli pasażerów uważnym spojrzeniem i Drigg przyspieszył.

Biura stacji mieściły się na wyższych piętrach budynku dworcowego. Windą wjechał na trzecie piętro. Drzwi, ku którym się skierował, otwarły się nagle i wypadł z nich jakiś mężczyzna, sądząc po wyglądzie, zwykły robotnik. Bo i kto inny, jak nie zwykły robotnik kolejowy mógłby nosić podbite ćwiekami buty do kolan i zielone sztruksowe spodnie? I jeszcze płócienną koszulę i kamizelkę w tęczowych, choć wypłowiałych już barwach. Byczy kark obwiązał jeszcze bardziej wyzywającą chustą. Przytrzymał drzwi, ale równocześnie stanął w progu,

blokując przejście. Zmierzył gościa zdumiewająco bystrymi, niebieskimi oczami.

– Pan Drigg, prawda? – spytał, nie dając czasu na protesty.

– Widziałem pana podczas przecięcia taśmy. Stał pan między pracownikami zarządu.

– Pozwoli pan...

Muskularna ręka zagroziła niewzruszenie drogę.

– Nie zna mnie pan, ale nazywają mnie Bitny Jack, jestem szefem brygadzystów kapitana Washingtona i jeśli to z kapitanem chce się pan zobaczyć, to jego tu nie ma.

– Chcę się z nim widzieć i to pilna sprawa.

– Dopiero wieczorem, po zmianie. Kapitan jest na przodku, a tam nie wpuszcza się żadnych gości. Jeśli ma pan przesyłkę dla niego, to mogę ją przekazać.

– Niemożliwe. Muszę ją dostarczyć osobiście.

Drigg wyjął z kieszeni kluczyk, uchylił walizeczki i pokazał Jackowi płócienną kopertę ozdobioną złotym herbem. Zagradzająca drogę ręka opadła.

– Markiz?

– Nikt inny – odparł Drigg z niejaką satysfakcją.

– No to niech pan idzie ze mną. Ale musi się pan przebrać, tam jest bardzo brudno.

– Jakkolwiek by tam było, muszę to dostarczyć.

Pociąg roboczy czekał już na brygadzystę. Przysadzista lokomotywa elektryczna ciągnęła pojedynczy, otwarty wagon z zaopatrzeniem. Ruszyła, ledwie zajęli miejsca zaraz za maszynistą. Wbiechali ze stacji, aż odzież między polami toru

maszynistą. wyjechał za miasto, aż gdzieś między polami tory zanurkowały w mrok tunelu. Jedyne światło pochodziło teraz z podświetlanych tarcz na tablicy kontrolnej lokomotywy i Drigg odruchowo poszukał jakiegoś oparcia dla dłoni. Bał się, że wypadnie z siedzenia w nieprzeniknioną ciemność. Nagle znów ogarnął ich słoneczny blask. Na chwilę tylko. Zwolnili u wlotu drugiego tunelu, znacznie obszerniejszego niż poprzedni, ujętego w granitowe kolumny dźwigające wielki, kamienny blok stylizowany na dorycki tympanon. Coś ścisnęło Drigga za gardło, gdy przeczytał wyryty na skale napis, chociaż po tylu latach pracowanych dla kompanii mógłby się już przyzwyczaić.

Napis brzmiał: TUNEL TRANSATLANTYCKI.

Tunel Transatlantyczny, cóż za ambitne przedsięwzięcie! Nawet mniej podatni na wzruszenia dawali się porwać magii tych słów. I nie szkodziło, że na razie za pyszną fasadą kryje się ledwie mila tunelu. Wyobraźnia podpowiadała obraz tego, co nastąpi: gigantyczny wykop wdrze się w trzewia ziemi, pobiegnie całe tysiące mil pod oceanicznymi głębinami, aż wyjrzy na światło dzienne Nowego Świata.

Ten tunel był oświetlony. Lampy na ścianach migały coraz wolniej, aż lokomotywa stanęła przed przegradzającą tunel niczym korek betonową ścianą.

– Koniec jazdy, proszę za mną – powiedział Jack i wyskoczył z lokomotywy ruchem zdumiewająco płynnym jak na mężczyznę tej postury. – Był pan już kiedyś na dole?

– Nigdy. – Drigg był pod wrażeniem i nie wstydył się

przyznać do ignorancji. Wkoło kręciło się całkiem sporo ludzi. Pokrzykiwali do siebie jakieś niezrozumiałe polecenia. Gdzieś spadło coś metalowego i huk wrócił odbity echem od półkolistego stropu. Nie osłonięte niczym, jasne żarówki zalewały powodzią światła dantejski, choć zmechanizowany do ostatnich granic obraz. Drigg pojęcia nie miał, do czego służą te wszystkie urządzenia. – Nigdy!

– Nie ma się co bać, panie Drigg. Bezpiecznie tu jak w domu, trzeba tylko uważać, gdzie się nogi stawia. Całe życie pracuję na kolei i w tunelach i jak dotąd dorobiłem się tylko paru złamanych żeber, pęknięcia czaszki, złamania nogi i paru blizn. Nic wielkiego, i jak pan widzi, trzymam się świetnie. A teraz proszę za mną.

Niezbyt podniesiony na duchu Drigg zdecydował się trzymać pleców szefa brygadzystów. Przeszli przez stalowe drzwi w betonowym korku. Zatrzaśnięto je za nimi z wielkim hukiem. Stali w małym pomieszczeniu z ławami po bokach i szafkami na jednej ścianie. Coś zasyczało i Drigg poczuł dziwny nacisk w uszach. Jack dostrzegł jego zdumienie.

– To tylko sprężone powietrze. Zmiana jest jeszcze niewielka, ledwie dwadzieścia funtów. Pracowałem już przy sześćdziesięciu. W środku przestanie pan cokolwiek zauważać. Proszę... – Wyciągnął z szafki miękki kombinezon i strzepnął nim, by go rozprostować. – Dość duży, by mógł go pan włożyć na ubranie. Potrzymam walizeczkę.

– Nie da się. – Drigg pokazał łączący go z walizeczką łańcuszek.

- A kluczyk?
- Nie dysponuję nim.
- Zaraz coś poradzimy.

Robotnik wydobył pokaźnych rozmiarów składany nóż. Uczynił to dziwnie płynnie, jakby musiał po niego sięgać w niejednej potrzebie. Ledwie musnął rączkę i ostrze wystrzeliło z obudowy. Drigg cofnął się odruchowo.

– Chwilę, chyba pan nie myśli, że przymierzam się do amputacji? Dopasuję tylko trochę kombinezon.

Jednym cięciem przeciął rękaw od nadgarstka do pachy, drugim przepołowił bok. Schował nóż, a Drigg wdział zmodyfikowany strój ochronny. Tymczasem Jack sięgnął po następny kombinezon i odciął zeń pasek stosowny do podwiązania rozciętego rękawa. Śmiało sobie poczyna z własnością kompanii, pomyślał gość. Pompy przestały tłoczyć powietrze, a operator komory otworzył drzwi na drugim końcu. Zajrzał do środka i widząc szefa, przytknął palce do czoła.

Zza wielkich stalowych drzwi w kolejnej grodzi wyjeżdżał akurat pociąg – otwarte wagoniki z całkiem płaską lokomotywą. Jack gwizdnął przenikliwie. Maszynista obrócił się i wyłączył silnik.

– To Jednooki Conro – powiedział przewodnik. – W bójce bywa straszny. Zawsze leci z kciukami do twarzy. Pewnie chce wyrównać rachunek za to jedno, co je stracił.

Conro zerkał na nich poczerwieniałym okiem, aż usiedli obok i pociąg ruszył.

- Tak na przodku? – snuł Jack

– Piasek – odparł Jednooki i splunął tytoniem w ciemność. – Wciąż piach, mokry piach. Z góry się poluźniło, to pan Washington kazał zmniejszyć ciśnienie i teraz mamy masę wody i pompy robią cały czas.

– O to właśnie chodzi z tym ciśnieniem powietrza, sir – wyjaśnił Jack, który uznał, że wysłannik może być zainteresowany. Nie był. – Jesteśmy pod dnem oceanu i mamy nad głowami jakieś dziesięć do dwudziestu fatomów [Fatom (*fathom*) = 1,829 metra] wody, która usiłuje przepchnąć się do nas przez piach. No to podnosimy ciśnienie powietrza, żeby ją powstrzymać. Ale tunel ma trzydzieści stóp wysokości i ciśnienie pod stropem jest zawsze trochę większe. Gdy na górze wszystko gra, to na dole cieknie i musimy pływać. Gdy je podniesiemy, żeby na dole nie ciekło, to u góry jest za duże i grozi przebiciem dziury na zewnątrz. A wtedy wszystko poleciałoby nam na głowy. Ale nie ma powodów do niepokoju.

Drigg zaiste nie widział żadnych powodów, lecz ręce nagle zaczęły mu dygotać, aż musiał skrócić łańcuszek, by się nie rozdzwonił. Pociąg zaczął zwalniać u przodka, wielkiej metalowej tarczy odgradzającej robotników od dziewiczych pokładów ziemi wybieranej przez przypominające drzwi otwory w stalowym pancerzu. Powyżej pracowały jęklivé świdry, w dole zgarniarki usuwały szlam i ładowały go na czekające opodal wagoniki. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że panuje tu nieopisany bałagan, jednak po pewnej chwili nawet nieobyty obserwator zaczął dostrzegać wzorowy wręcz ład

i organizację pracy. Jack wysiadł i Drigg podążył za nim metalowymi schodkami ku jednemu z otworów tarczy.

– Proszę tu poczekać – polecił. – Przyprowadzę go. Drigg żadną miarą nie pragnął iść choć trochę dalej.

I tak zresztą się zastanawiał, czy nie przesadził trochę z tą swoją lojalnością wobec pracodawcy. Parę stóp od niego lśniła mokro naga ziemia.

Szarawy piasek i twarda glina. Ostrza zbieraków ścinały ją płatami i strącały na sam dół, gdzie czekały już następne maszyny. Było w tym widoku coś złowróżbnego, wręcz przerażającego. Drigg obrócił spojrzenie na Jacka, który rozmawiał właśnie z wysokim mężczyzną w ubraniu khaki i wysokich, sznurowanych butach. Dopiero gdy ten zwrócił się doń profilem, Drigg poznał charakterystyczny nos kapitana Augustusa Washingtona. Dotąd widywał go tylko w biurze i na spotkaniach rady. Pod postacią nieskazitelnie ubranego dżentelmena. No, ale w tych warunkach...

Nagle rozległo się coś pośredniego między wrzaskiem a niezbyt artykułowanym krzykiem. Wszyscy spojrzeli jednocześnie w tym samym kierunku. Jeden z robotników wskazywał na plac czarnego piasku, który zaczął odpadać od lica.

– Przebicie! – wrzasnął ktoś, ale Drigg pojęcia nie miał, co to ma oznaczać. Czuł jedynie, że oto dzieje się coś strasznego. Wkoło wszyscy coś robili, ale niewiele zdążyli dokonać. W ciągu paru sekund piach zniknął i w jego miejsce pojawiła się szeroka na jakie dwie stopy dziura. Gwizdnęło ogłuszająco,

dziwny wiatr owionął Drigga, coś zaszumiło mu boleśnie w uszach i nagle poczuł, że jakaś tajemnicza siła ciągnie go prosto do ciemnego otworu. Ze wszystkich sił wczepił się w występ tarczy i z przerażeniem patrzył, jak coraz silniejszy wicher porywa i miażdży całkiem solidne boczne osłony.

W polu widzenia pojawił się jakiś robotnik z belą słomy. Zmagał się z zasysającym i niszczylińskim prądem powietrza. Zdołał cisnąć belę (a może to wiatr wyrwał mu ją z dłoni) w otwór. Zatrzymała się tam na chwilę, krótką chwilę, i zniknęła w środku.

Bitny Jack próbował cofnąć się w jakieś bezpieczniejsze miejsce i wyciągnął dłoń, by chwycić się grodzi. Palce były blisko, bardzo blisko, ale jednak za daleko. Z jękiem, bardziej zdumienia niż strachu, poddał się huraganowi. Ten zbił go znów, uniósł w powietrze i głową naprzód poniósł prosto w otwór.

Przez jedną, pełną grozy chwilę tkwił tam niczym korek w szyjce butelki i machał bezradnie nogami.

A potem zniknął i wicher zerwał się na nowo.



## Błyskawiczna decyzja

Nie tylko Albert Drigg, ale i wszyscy robotnicy stanęli jak sparaliżowani. Tragedia zdarzyła się tak błyskawicznie, że nawet ci najsilniejsi i najbardziej zaprawieni w podziemnej robocie, gdzie zawsze łatwo o nagłe okaleczenie, nie potrafili objąć jej umysłem. Tylko jeden człowiek znalazł w sobie dość siły, by zrobić cokolwiek, przerwać zakłęty krąg niemożności.

– Do mnie! – krzyknął kapitan Washington i skoczył do drewnianej tarczy przygotowanej na taką właśnie okoliczność. Grube i długie na prawie dwa metry deski zbito solidnie razem poprzecznkami i całość wyglądała na zbyt ciężką, by jeden człowiek mógł ją choćby ruszyć, ale Washington szarpnął osłonę, aż przesunęła się dobre dwa metry.

Reszta ocknęła się i czym prędzej pomogła kapitanowi, jednak wichura wyrwała im konstrukcję z rąk i przyssała do lica ziemi, całkowicie zakrywając otwór. Po chwili słychać było już tylko syk przemykającego przez szpary między deskami powietrza. Huragan ustał i pod kierownictwem Washingtona cały

zespół szybko umocnił plombę. Tymczasem przez górny otwór w tarczy wsunęła się na hydraulicznym ramieniu jakaś nowa, dziwna maszyna. Przypominała nieco wieżę działową pancernika, tyle że zamiast luf wystawały z niej cztery długie rury zakończone głowicami wiertnymi. Przytknięte do ściany powyżej fatalnego otworu, zaczęły się obracać, aż zagłębiły się w ziemi. Gdy cała maszyna skryła się w wywierconym otworze, wiertła znieruchomiały i syknęły otwierane zawory. Całkiem nagle i wieża, i ziemia wkoło okryły się skorupą lodu.

Nim jeszcze cała operacja dobiegła końca, muskularny robotnik wyrębał toporem całkiem sporą dziurę w drewnianej osłonie. Różnica ciśnień była wciąż tak duża, że topór wyleciał mu z mocno zaciśniętych palców i zniknął po drugiej stronie. Robociarz roześmiał się i pokazał reszcie starte przez stylisko do żywego mięsa dłoń. Ale nie odszedł od otworu, dopóki nie podano mu grubego węża. Zamruczała pompa.

Minęło jeszcze kilka sekund i ruch powietrza ustał całkowicie. Zrobiło się za to wyraźnie zimniej. Washington kazał zatrzymać pompy. Zupełnie nagle w uszach zadzwoniła im cisza, którą przerwał dopiero natarczywy dzwonek. Washington sięgnął do słuchawki telefonu.

– Dajcie mi zaraz połączenie radiowe ze statkiem. Czekali w napięciu na nawiązanie łączności.

– Meldować – rzucił w końcu Washington komuś po drugiej stronie.

Posłuchał, przytaknął i zaraz spojrzął na zgromadzonych.

– Wyłowili go. Żyje i ma się dobrze.

Robotnicy wybuchnęli radosną wrzawą, zaczęli nawet podrzucać nakrycia głowy ku sklepieniu, ale zamilkli, gdy tylko kapitan uniósł dłonie.

– Zaraz po przebiciu woda i muł trysnęły aż na czterdzieści metrów. Podpłynęli jak mogli najbliżej i Bitnego Jacka wyrzuciło im tuż przy burcie. Zaraz przy nim byli. Stracił przytomność, ale nic ponadto. Kląć zaczął, zanim jeszcze otworzył oczy. A teraz wracać do roboty, panowie. Jeszcze dwanaście stóp na dzisiaj.

Zaszumiało, praca została wznowiona jak gdyby nigdy nic. Kapitan Washington spojrział wreszcie na Drigga i uściśnął mu mocno prawicę.

– Pan Drigg, prawda? Osobisty sekretarz markiza?

– Tak, sir. I jeszcze sekretarz rady.

– Zjawił się pan w gorącej chwili, ale mam nadzieję, że za bardzo to pana nie poruszyło. Drażnienie tunelu zawsze nastęrcza trudności, ale jak sam pan widział, jeśli przedsięweźmie się stosowne środki bezpieczeństwa... W dnie morskim nad nami musi być jakieś zagłębienie, pewnie niecałe pięć stóp piasku dzieli nas od wody. Przebicie zawsze może się zdarzyć, ale można je zatkać. Mamy też zamrażarkę systemu Gowana...

– Obawiam się, że to wszystko mnie przerasta – stwierdził Drigg.

– Ani trochę, to proste maszyny – odparł kapitan Washington z wyraźnym entuzjazmem – Piasek jest mokry i podatny, zatem ciśnienie powietrza wyrwało w nim dziurę. Drewniana osłona zaplombowała tymczasowo wyrwę, a stabilizator gruntu nasycił podłoże płynnym azotem

o temperaturze minus trzystu czterdziestu pięciu i pół stopnia. Wszystko zamarzło błyskawicznie. Potem tym tu węzłem podaliśmy do otworu wodę i muł, które zlodowaciały w solidny czop. Przypilnujemy teraz, aby korek nie rozmarzył nam aż do chwili, gdy zamontujemy kolejne sekcje osłony tunelu. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. I już.

– Zaiste. Szczególnie dobrze dla pańskiego szefa brygadzystów. Jakie to szczęście, że statek był akurat w pobliżu...

Washington przyjrzał się uważnie gościowi.

– Żadne szczęście, takich spraw nie zostawia się przypadkowi. Czy się nie mylę, że to pański podpis widniał na ostatnim piśmie, które szanowni dyrektorzy wystosowali do mnie w kwestii marnotrawienia środków na utrzymanie statku?

– Owszem, sir, ale ja tylko przekazywałem polecenia. Nie mam żadnego wpływu na podobne sprawy, spełniam jedynie życzenia dyrektorów. Jednak, za pańskim pozwoleniem, chętnie sporządzę pełen raport z dzisiejszego zdarzenia i podkreślę w nim, że dzięki pańskiej przezorności udało się uratować ludzkie życie.

– To była tylko dobra robota inżynierska, panie Drigg.

– Ja nazwę to jednak przezornością. Wręcz dalekowzrocznością. Przedkłada pan ludzkie życie ponad pieniądze. Tak sprawę przedstawię i zaproponuję, by wyciągnęli z tego raz na zawsze stosowne wnioski.

Washington wyglądał na zakłopotanego żarliwością w głosie Drigga i czuł, że przedziwnie podobny temat...

Drigga i czym pręcej poszukał innego tematu.

– Ale ja tu pana przetrzymuję, a najpewniej ma pan jakąś nader ważną sprawę, skoro fатыgował się pan aż tutaj.

– Owszem, mam to przekazać.

Drigg otworzył walizeczkę i podał kopertę rozmówcy. Washington ujrzał herb i aż brwi unióśł ze zdumienia. Szybko złamał pieczęć i wziął się do lektury.

– Orientuje się pan w treści tego listu? – spytał Drigga, przesuając kartkę w palcach.

– Wiem tylko, że markiz napisał go osobiście i polecił mi uczynić wszystko, aby mógł pan jak najszybciej wrócić do Londynu w pewnej bardzo ważnej sprawie. Wyjeżdżamy tak szybko, jak tylko się da.

– Czyli nie tak od razu. Pierwsze połączenie mamy o dziewiętej, na miejsce dotrzemy dopiero wczesnym rankiem.

– Wręcz przeciwnie. – Drigg uśmiecnał się. – Specjalnie dla pana wygody kompania podstawiła „Latającego Kornwalijczyka”. Pojedzie poza rozkładem. Powinien już czekać.

– To aż tak pilne?

– Bezwzględnie. Jego Lordowska Mość podkreślał to szczególnie stanowczo.

– Dobrze. Niech tylko się przebiorę...

– Przepraszam za śmiałość, ale pozwoliłem sobie poinstruować pańskiego numerowego z hotelu, by spakował co należy i dostarczył do pociągu.

Washington skinął głową. Zatem zdecydowano za niego.

Obrócił się do robotników.

– Bullhead! – krzyknął. – Do czasu powrotu Jacka ty będziesz szefem brygadzystów! Pilnuj roboty!

Załatwiwszy, co trzeba, przeszedł przez tarczę, wszedł do lokomotywy i kazał ruszać. Dotarli do pierwszej grodzi, gdy z przeciwka pokazał się Bitny Jack. Wychodził właśnie ze służy.

– Niech mnie cholera, jeśli mam ochotę na jeszcze jedną taką wycieczkę – warknął. Ociekał wodą, ramiona i głowę miał niegroźnie podrapane. – Utknąłem jak korek i myślałem, że już po mnie, ale potem poleciałem, aż mnie zaćmiło. Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem szpetne gęby jakichś grzeszników i aż zwątpiłem, czy to naprawdę niebo.

– Co ma wisieć, nie utonie – mruknął Washington. – Wracaj na przodek i miej oko, żeby zmiana skończyła się bez dalszych atrakcji.

– A zrobię to. Może tym razem wessie kogoś innego, to sobie popatrzę.

I odszedł, oni zaś przysiedli na ławeczkach w komorze.

– Czy on powinien teraz wracać do pracy? – spytał po paru chwilach Drigg.

– Nie powinien, ale nie zdołałbym go powstrzymać. Robociarze są chyba z trochę innej gliny niż my. Musimy to uszanować. Nawet jeśli odniósł jakieś obrażenia, to w życiu się nie przyzna. Żeby zaciągnąć go do szpitala, trzeba by dać mu najpierw czymś ciężkim w głowę, a tego nigdy by mi nie wybaczył. Widziałem już jemu podobnych, jak próbowali przeskoczyć nad wylotem szybu wentylacyjnego, a to było całe

dziesięć stóp. No i setki stóp w dół. Trzem się nie udało, a czwarty tylko się zaśmiał i przeskoczył. Potem wszyscy poszli na piwo i zaprawili się do nieprzytomności na cześć tej trójki. Przyjęli ich śmierć zupełnie spokojnie, bez śladu żalu. Ktoś mógłby powiedzieć, że tak właśnie wygląda brutalna prawda o życiu, ale na Boga, takie życie kształtuje prawdziwych mężczyzn.

Jakby nieco zawstydzony tymi wynurzeniami, przez całą resztę drogi do Penzance kapitan milczał. Było już ciemno, tylko na zachodnim niebie malowały się jeszcze ostatnie, czerwone wspomnienia po słońcu. Wzdłuż torów migotały światełka, to pomocnicy stacyjni napełniali parafiną lampy urządzeń sygnałowych i kolejno zapalali knoty. Tłumy już zniknęły, na peronach panowała cisza. Wypolerowany ponownie *Dreadnought* wyglądał jeszcze dostojniej. Czerwone, zielone i niebieskie światła odbijały się w połocistych blachach lokomotywy, do której podczepiono tym razem tylko dwa wagony: restauracyjny oraz salonkę zwaną „Władca Doliny”, pozostającą w osobistej dyspozycji markiza i innych najwyższych rangą dyrektorów. Na stopniach czekał już Walker, starszy siwy pan, niegdyś szef służby domowej jednego z członków rady, obecnie na godnej synekurze opiekuna salonki.

– Kąpiel i ubranie na zmianę czekają, sir.

– Wspaniale, ale najpierw muszę się czegoś napić. Może się pan przyłączy, panie Drigg? To był długi i męczący dzień. Dość atrakcji za cały miesiąc.

– Z przyjemnością

– Z przyjemnością.

Chłopak w mundurze otworzył z uśmiechem drzwi wagonu restauracyjnego. Washingtona aż w dywan wmurowało.

– Czy ten dzieciak nie powinien już być w łóżku? Toż przecież potrafimy w potrzebie sami sobie drzwi otworzyć.

Chłopak opuścił głowę, broda zaczęła mu się trząść.

– Wszyscy zgłosili się na ochotnika, kapitanie – wyjaśnił Drigg. – Billy też. Chcieli jechać, winien pan to zrozumieć.

– No to jedźmy. – Washington zaśmiał się i przeszedł dalej.

– Dajcie tam Billy’emu jakąś lemoniadę, a nam po drinku.

Organista obejrzał się przez ramię, pokazał radośnie zęby i z werwą zagrał *Pack Up Your Troubles*. Washington kazał zanieść muzykowi pintę piwa, sam też ujął szklanicę i opróżnił ją błyskawicznie niemal całą. Pociąg ruszył tak płynnie, że ledwie zauważyli jego odjazd.

Wypili jeszcze trochę, Washington się wykapał i podróż dobiegła prawie końca. Na peronie dworca Paddington czekał samotny rolls-royce: lśniaca czernią bryła osiemnastostopowej, sześciodrzwiowej limuzyny. Lokaj przytrzymał drzwi i ledwo dosiadł się do szofera, wóz ruszył. Objechali Hyde Park, pokonali Constitution Hill, minęli wciąż jasno oświetlony pałac Buckingham – widać trwał jeszcze jakiś bal albo i coś innego – i po paru minutach zahamowali na Pali Mali przed Transatlantic House. To tutaj mieściły się główne biura kompanii. Frontowe drzwi były otwarte. Drigg w milczeniu poprowadził Washingtona do windy, a gdy z niej wysiedli, do biblioteki. Poczekali wśród marokinu i ciemnego drewna, aż lokaj zamknie drzwi, i dopiero



wtedy Drigg musnął przycisk ukryty za książkami na jednej z półek. Cały regał odsunął się, ukazując drzwi.

– Jego Lordowska Mość czeka w swoim gabinecie – powiedział Drigg, wskazując na tajne przejście. – Chce porozmawiać z panem na osobności, zanim jeszcze zbierze się rada. Pozwoli pan.

Washington przekroczył próg. Przed nim otworzyły się następne drzwi, te z tyłu wróciły cicho na miejsce.

Markiz siedział przy biurku i pisał. Nie podniósł od razu głowy. Pomieszczenie urządzone z przepychem, całe w srebrze, mosiądzach i portretach przodków. Odsunięte kotary za markizem ukazywały szerokie okno wychodzące na St. James Park i dalej na Big Bena, który wybił właśnie godzinę. Markiz odłożył pióro i wskazał Washingtonowi fotel.

– To naprawdę pilna sprawa – powiedział. – W żadnym innym wypadku nie odrywałbym pana tak raptownie od pracy.

– Ton listu nie zostawił żadnych wątpliwości w tej materii. Ale nie wyjaśnił pan w nim, jaka to sprawa.

– Zaraz do tego przejdziemy. Ale zaprosiłem pana tutaj, byśmy mogli najpierw w samotności zamienić kilka słów w sprawie, którą z braku lepszego określenia muszę nazwać prywatną.

Jego Lordowska Mość wyglądał na nieco skrepowanego. Wyciągnął palce przed siebie, po czym potarł charakterystyczną dla jego rodu szeroką szczękę, spojrział w okno i dopiero potem na Washingtona.

– Niezręcznie mi o tym mówić, kapitanie Washington, gdyż

dotyczy to naszych szacownych rodzin. Mielśmy przodków, których dzieliła wrogość... Ale przecież pan mnie rozumie.

Washington rozumiał i podobnie jak markiz, był nieco zakłopotany. Odkąd sięgał pamięcią, brzemień winy antenata ciążyło mu na życiorysie i zdążył się nawet trochę do tego przyzwyczaić. Teraz uznał, że najlepiej będzie, jeśli obejdzie się bez niedopowiedzeń.

– Co było, to było – powiedział. – Wszyscy biegli w historii wiedzą dobrze, że pierwszy markiz Cornwallis stracił mego przodka, George’a Washingtona, za zdradę. Nie czuję wstydu z tego powodu, nie żywię też żadnej urazy do pana czy pańskiej rodziny; daję panu na to moje słowo. Bitwa pod Lexington odbyła się zgodnie z zasadami sztuki wojennej, wygrana przypadła lepszym i Armia Kontynentalna przegrała. Pierwszy markiz był żołnierzem i musiał wykonywać rozkazy, niezależnie od tego, jaki był jego osobisty stosunek do sprawy. Jak pan wie, to sam król nakazał egzekucję. George Washington został uznany za zdrajcę przede wszystkim dlatego, że przegrał. Gdyby zwyciężył, okrzyknięto by go patriotą. A winien wygrać, gdyż bronił słusznej sprawy.

– Obawiam się, że nie jestem aż tak biegłym znawcą tego okresu naszej historii – rzekł Cornwallis, nie odrywając oczu od blatu biurka.

– Za pozwoleniem, Wasza Lordowska Mość, ale dla mnie to wciąż bardzo ważne. Za sprawą tamtej rewolty i jej następstw do dziś pozostajemy kolonią, podczas gdy inne terytoria, jak Kanada czy Australia, uzyskały już status niezależnych dominiów

markiz czy zastąpił, czy brakuje już status niezachwianych domów w obrębie Korony. Wie pan, że jestem aktywnym działaczem ruchu niepodległościowego i czynię, co mogę, by przyspieszyć ten dzień, kiedy Jej Królewska Mość zaaprobuje zmianę naszego statusu.

– Zgadzam się z panem całym sercem, sir – powiedział markiz – Jak pan się niewątpliwie orientuje, jestem człowiekiem wpływowym i popieram stanowisko mojej partii w kwestii przyznania tej prowincji statusu, o jakim pan mówi.

Wstał, uderzył dłonią w blat biurka i zaraz wyciągnął ją do Washingtona. Dopiero teraz dopełnił konwenansu, z czym wstrzymał się na samym początku, zapewne ze względu na delikatną materię historycznych związków ich rodzin. Washington nie mógł zachować się inaczej, jak tylko odwzajemnić gest. Stali tak przez chwilę, aż markiz puścił dłoń gościa i zakasłał z niejakim zakłopotaniem, chowając się znów za maskę dżentelmena. Zaraz też uznał, że dostatecznie przygotował grunt i może przejść do sedna sprawy.

– Nadchodzą ciężkie czasy dla tunelu, panie Washington. Bardzo ciężkie – powiedział i zachmurzył stosownie twarz. – Ten imponujący projekt od początku miał dwa oblicza, chociaż dotąd powszechnie znane było tylko jedno. Zapewne wie pan, jak złożona bywa strona finansowa podobnie wielkich inwestycji, ale wątpię, aby był pan świadom ich politycznych implikacji. Mówiąc wprost, wbrew ogólnemu mniemaniu, że to przedsięwzięcie prywatne, tunel jest w gruncie rzeczy programem rządowym. Czymś na kształt robót publicznych. Czy

to nowosc dla pana?'

– Muszę przyznać, że czuję się zdumiony, chociaż w niewielkim stopniu.

– Tak czy owak, ma pan prawo się zdumiewać. Cały ten kraj, całe to imperium zbudowali silni ludzie, którzy pokazali drogę następnym silnym ludziom. Słabi odpadali z rozgrywki, rząd zaś i Korona nie wtrącały się nigdy w prywatne sprawy. I bardzo dobrze, bo takie postępowanie sprawdza się, przy dobrej koniunkturze, kiedy to co rano coraz silniejszy funt świeci nam z nieba i tak dalej. Ale obecnie niebo zasnuwane jest chmurami, nie mógł pan tego nie zauważyć. Jak dotąd Anglia rosła w siłę dzięki Kompanii Wschodnioindyjskiej, Kompanii Inkasko-Andyjskiej czy Kompanii Zatoki Hudsona. Oni przecierali szlaki. Obawiam się jednak, że dotarliśmy do kresu ostatnich oceanów. Światowa gospodarka popada w stagnację. A gdy kończy się ekspansja, przychodzi recesja. I jakoś trzeba ją powstrzymać. Coraz więcej bezrobotnych, coraz pełniejsze magazyny, opieka społeczna rozdęta do wszelkich granic. Coś trzeba zrobić. I zrobiono. Pewna grupa biznesmenów reprezentujących wielkie prywatne korporacje spotkała się niedawno w kameralnych warunkach i po dogłębnym rozważeniu sprawy uznała, że rozwiązanie problemu nie jest w ich mocy. Uczni specjaliści w dziedzinie ekonomii, których też zaproszono do dyskusji, spowodowali poszerzenie niejawnej grupy o członków Parlamentu. I wtedy właśnie po raz pierwszy wspomniano o programie budowy tunelu. Programie tak wielkim, że mógłby się stać bodźcem ożywiającym po równi obie gospodarki:

brytyjską i amerykańską. Ale pojawił się problem: niedostatek prywatnego kapitału koniecznego do sfinansowania projektu. Uznano, że pora na rozwiązanie ostateczne, czyli włączenie skarbu Korony. – Markiz bezwiednie obniżył głos. – Zasięgnięto opinii królowej.

To była rewelacja. Nawet Washington, obecny dotąd przy podejmowaniu wszystkich decyzji dotyczących Kompanii Tunelu Transatlantyckiego, aż do tej chwili o niczym nie wiedział. Lekko ogłuszony przymrużył oczy, jakby rozważał konsekwencje takiego rozwoju wypadków. Ledwie zauważył, że markiz podszedł do barku i nalał dwa kieliszki sherry, niemniej jego palce automatycznie zamknęły się na szkle i uniosły je do ust.

W końcu odzyskał głos.

– Czy może mi pan powiedzieć coś o skali rządowego zaangażowania?

– Gdy się powie „a”... Prywatne subskrypcje dały dotychczas dwanaście procent potrzebnej sumy. Rząd Jej Królewskiej Mości zgodził się wyłożyć osiemdziesiąt procent. Ale ani pensa więcej.

– Zatem brakuje nam ośmiu procent?

– Właśnie. – Markiz złączył ruchliwe dłonie za plecami i zaczął krążyć po pokoju. – Od początku wątpiłem w powodzenie całej imprezy. Bóg jeden wie, że wszyscy się wahaliśmy. Ale lord Keynes, doradca królowej i autor Bóg wie ilu książek o ekonomii, przekonał nas. Dziewięćdziesiąt lat na karku, a wciąż zbija wszystkich z pantafelów. Przedstawił sprawę w tak jasnych barwach, że daliśmy się porwać. Mówił, że

pieniądz powinien krążyć, a kapitał pracować, że inwestorzy zarobią swoje odsetki, przemysł ożyje, realizując zamówienia dla tunelu, wzrośnie zatrudnienie, nawet drobni kupcy się wzbogacą. Że to uzdrowi gospodarkę.

– To wszystko może być prawda.

– Na Jowisza, to wszystko będzie prawdą, przynajmniej o ile całego projektu pierwszej szlag nie trafi. A trafi, jeśli nie znajdziemy brakujących ośmiu procent funduszy. Proszę wybaczyć mi szczerłość, młody człowieku, ale to właśnie nasi bracia z kolonii utrudniają sprawę najbardziej. I tutaj właśnie oczekujemy pańskiej pomocy. Nie przesadzając, powiem, że los tunelu spoczywa w pańskich rękach.

– Zrobię, co tylko będzie konieczne, sir – odparł cicho Washington. – Może pan na mnie liczyć.

– Wiem, że mogę. Dlatego pana zaprosiłem. Przepraszam za obcesowość, ale miałem ciężki dzień, a i do nocy wciąż jakby daleko. Zawarliśmy porozumienie z waszym Kongresem i gubernatorem.. tak, ich także spytano o zdanie. Wasza gospodarka cierpi na tą samą chorobę, co nasza. Amerykańscy inwestorzy też biorą udział w naszym przedsięwzięciu, ale jak dotąd pieniądze płyną stamtąd nie rzeką, ale wątlym strumyczkiem. Trzeba zdecydowanych zmian. Zna pan oczywiście Rockefellera, prezesa amerykańskiej rady, i Macintosha, agenta Brasseya-Brunela, odpowiadającego za budowę amerykańskiego końca tunelu. Obaj się zgodzili. W imię wyższej sprawy ustąpią ze swoich stanowisk. Na ich miejsca

powołamy tylko jedną osobę, która połączy obie funkcje. Pana.

– Wielki Boże! – jęknął Washington.

– Byłoby dobrze, gdyby zechciał nam sprzyjać. Od razu wiedzieliśmy, że kandydat musi być dobrym inżynierem, a pan spełnia ten warunek. Przekonaliśmy się już, że zna się pan na tej robocie. Po drugie, jest pan obywatelem kolonii, kimś stamtąd, przez co projekt stanie się bardziej amerykański. Wiem, że niektórzy z torysów wciąż uznają pańskie nazwisko za obłożone anatema, nie ma co tego ukrywać, ale sądzę, że są w mniejszości. Mamy nadzieję, że pański awans i dalsza owocna działalność pozwolą zyskać środki na kontynuowanie prac. Podejmie się pan?

– Dałem słowo i nie zamierzam go cofnąć. Ale widzę niejakie trudności.

– Wiem. Trudność jest jedna i ma nazwisko.

– Właśnie. Sir Isambard. To jego projekt, jego koncepcja inżynierska. Ja tylko u niego pracuję, wykonuję polecenia. Tak samo jak Macintosh, który nie jest nawet inżynierem. Biorąc na siebie tak wielką odpowiedzialność, stanę się poniekąd równy sir Isambardowi. To mu się nie spodoba.

– Łagodnie powiedziane. Wybadano go już ostrożnie, z wiadomym skutkiem, niestety. – Jakies światelko błysnęło na biurku, rozległ się brzęczyk. – Rada wróciła już z obiadu. Muszę do nich dołączyć, zanim ktokolwiek zauważy, że z panem rozmawiam. Gdyby był pan tak uprzejmy i poczekał w bibliotece, aż przeprowadzimy oficjalne głosowanie... Dostanie pan szkic naszej propozycji, potem poprosimy pana

o wystąpieniu przed radą. Nie da się inaczej.

Gospodarz dotknął czegoś na biurku i odsunęły się drzwi. Washington przeszedł do biblioteki.

Z ulgą padł na miękki, skórzany fotel. Gdy kilka minut później zjawił się Drigg z pytaniem, czy czegoś gościowi nie trzeba, Washington trwał w zamyśleniu tak głębokim, że jedynie potrząsnął przecząco głową. Taka szansa kariery... jeśli tylko podola. Co do tego ostatniego, nie miał żadnych właściwie wątpliwości. Nie od dzisiaj wierzył w swoje siły. Pamiętał, jak opuszczał Mount Vernon. Matka i siostra machały mu jeszcze od bramy prostego domu wzniesionego na gruzach wcześniejszej posiadłości rodzinnej spalonej przez rozjuszone tłumy torysów. Wyjeżdżając, był już inżynierem, ukończył MIT z pierwszą lokatą. I to pomimo kojarzonej z jego nazwiskiem niesławny. A może właśnie dlatego. W dzieciństwie musiał co rusz staczać walki na pięści w obronie swego honoru. Z biegiem lat wysiłki przybrały nową formę: chciał być najlepszy we wszystkim, co robił. Po studiach odsłużył rok w wojskach inżynieryjnych – gdyby nie otrzymane z ROTC [*Reserve Officers' Training Corps* – oddziały służące szkoleniu oficerów rezerwy] stypendium, nie dotrwałby do absolutorium. Napracował się na świeżym powietrzu za wszystkie czasy. Hiszpańskie kolonie na zachodzie sprawiały jak zwykle kłopoty, toteż władze w Nowym Jorku zdecydowały o budowie strategicznej linii kolejowej ku tamtym stronom. Cały rok przedzierali się przez nieprzebyte Góry Skaliste i dziurawili kamienne zbocza tunelami. To doświadczenie odmieniło jego życie, wiedział już, co chce robić



w przyszłości. Wraz z najlotniejszymi umysłami imperium złożył papiery na Uniwersytet Edynburski. Starania o przyznanie prestiżowego stypendium imienia George'a Stephensona uwieńczone zostały sukcesem, a to z kolei otworzyło mu drogę do posady w znakomitej firmie konstruktorskiej Brassey-Brunela.

W Edynburgu było zaiste wspaniale i to, że koledzy krzywili się na jego kolonialne pochodzenie, wcale Washingtonowi nie przeszkadzało. Zresztą dla nich był tylko jeszcze jednym gościem zza morza i traktowali go na równi z Hindusami, Mohawkami, Aztekami czy Birmańczykami. Po raz pierwszy znalazł się w środowisku, gdzie jego nazwisko nie budziło żadnych skojarzeń, ale jaki wyspiarz zaśmiecałby sobie pamięć historią wszystkich bitew stoczonych przez ostatnie czterysta lat na obrzeżach imperium? Młodzieniec zgubił się w anonimowym tłumie i wreszcie mógł nieco odetchnąć.

Awansował szybko i oto trafiała się okazja wejścia na sam szczyt. Jeśli się nie skompromituje... Nie! Wiedział, że da sobie radę, że potrafi samodzielnie pokierować budową amerykańskiego odcinka tunelu. To nic więcej, niż robił tutaj. Chociaż nie był finansistą, potrafił rozmawiać o pieniądzach, nie raz wyjaśniał, jak dobrze je wykorzystać, jak zainwestować. Jak dotąd były to głównie fundusze wigów, sądził jednak, że po pierwszych powodzeniach torysi też powinni się przyłączyć.

Wszystkiemu, co dotąd robił, przyświecał jednak cel wyższy niż tylko osobista ambicja. Pragnął zmazać z rodzinnego niezawiska zamiębańbu. Nie mówił o tym głośno, raz tylko

nazwiska zianię nabył. Nie mówił o tym głośno, i aż tylko wygadał się przed siostrą i Marta zrozumiała, chociaż byli wtedy dopiero dziećmi. Chciał pracą i wysiłkiem przywrócić dobre imię tamtemu szlachetnemu człowiekowi, który za wszystkie swe trudy i poświęcenia dla ojczyzny jedną tylko odebrał nagrodę: salwę angielskich kul.

– Kapitanie Washington! Sir!

Głos przedarł się skądś, z daleka. Kapitan pojął, że wzywa się go już od dłuższej chwili. Wziął od Drigga kopertę, otworzył i przeczytał pismo raz, potem ponownie, już wolniej. Jak przewidział lord Cornwallis, propozycja przeszła. Zaproponowano mu stanowisko.

– Zechce pan pójść ze mną, sir.

Wstał, wygładził fałdy kamizelki, zapiął marynarkę. Z kartką w ręce przeszedł za sekretarzem do sali posiedzeń. W ciszy przystanął u podstawy długiego, czarnego stołu.

– Czy przeczytał pan nasze pismo, kapitanie Washington? – spytał Cornwallis z miejsca u szczytu stołu. – Czy wie pan, co ono oznacza?

– Tak, sir. Jest to propozycja, abym przejął obowiązki związane obecnie z dwoma stanowiskami, zajmowanymi przez sir Winthropa i pana Macintosha. Rozumiem, że obaj ci dżentelmeni godzą się na tę zmianę?

– Obaj wyrazili zgodę.

– Zatem gotów jestem przyjąć propozycję, z jednym wszakże zastrzeżeniem. Najpierw pragnąłbym usłyszeć, co sądzi o tej zmianie sir Isambard.

Było to jak pokazanie czerwonej płachty bykowi. Zagrywka równie niebezpieczna jak obraza królowej w obecności lojalnego wobec monarchini Anglika, jak nazwanie żabojadem Francuza.

Sir Isambard Brassey-Brunel zerwał się na nogi. Wsparł obie pięści na gładkim blacie stołu. Ogień płonął mu w oczach, nozdrza rozdymały się z pasji. Choć niewysoki, w gniewie budził lęk najmożniejszych i najbardziej wpływowych mężów tego świata. Jednak Washington nie należał do ludzi strachliwych. Wysoki, młody, z twarzą ogorzałą słońcem i wiatrem, Amerykanin różnił się kontrastowo od przysadzistego, podstarzałego i łysiejącego z wolna Anglika, który nie dość, że otrzymał najlepsze możliwe wychowanie, to jeszcze zwykł płacić setki gwinei za szykowne stroje z Savile Row. Strój przybysza z kolonii, na pierwszy rzut oka nienaganny, był jednak trochę znoszony i niewątpliwie nie wyszedł spod rąk tak drogiego krawców.

– Skoro pyta mnie pan o zdanie, skoro już chce pan znać moje odczucia – powiedział sir Isambard spokojnie, ale wyraźnie i jakby złowieszczym tonem – to powiem, sir, bo jest o czym mówić. Jestem przeciwko. Wyrażam zdecydowany sprzeciw, i to wszystko.

– Jeśli tak – odezwał się Washington, siadając na przystawionym dlań krześle – to nie mogę przyjąć propozycji panów.

Zapadła absolutna cisza. Większość zgromadzonych zaniemówiła ze zdumienia, tylko sir Isambard oklapł niczym

przekłuty balon. Uszła zeń cała złość i siadł powoli na swym miejscu.

– Ależ przyjął pan... – powiedział niepewnie Cornwallis.

– Przyjąłem, założywszy, że rada osiągnęła jednomyślność. Ta propozycja to zapowiedź wielkich zmian. Nie mogę się podjąć podobnego zadania, wiedząc, że ten, kto mnie zatrudnia, i architekt całego przedsięwzięcia zarazem, jeden z najznamienitszych inżynierów naszych czasów, jest przeciwny. Prawdę mówiąc, byłaby to z mojej strony rzucona prosto w twarz obraza.

Wszyscy spojrzeli na sir Isambarda, którego twarz zachwyciłaby w tej chwili niejednego psychologa i dziennikarza. Wyraźnie obliczał w myślach wszystkie możliwe zyski i straty. Gniew minął mu już dawno, pozostała tylko chłodna kalkulacja. W końcu uśmiechnął się blado i natychmiast spoważniał.

– Dobrze powiedziane, młody człowieku – stwierdził. – Jak to było? Nie powiesz złego słowa na mnie, bom ci przyjacielem, wiernym i sprawiedliwym. Znać twe klasyczne wykształcenie. Zrucasz brzemień decyzji na moje barki, ja zaś się nie uchylę. Podejrzewam, że lepiej orientujesz się w tych sprawach, niż dajesz do zrozumienia. Zresztą pewnie już ci powiedziano, bo inaczej skąd ta śmiałość. Ale trudno. Tunel musi zostać ukończony, a tego najwyraźniej bez ciebie uczynić nie zdołamy. Cofam mój sprzeciw. Muszę przyznać, że jesteś dobrym inżynierem i jeśli zrealizujesz plany i nie odejdziesz od mojego projektu, budowa pójdzie jak trzeba.

Sir Isambard wyciągnął krótką silną dłoń no szklanke

Wody, jedyne go trunku, jaki uznawał, wkoło zaś rozbrzmiały radosne krzyki, którym kres położył dopiero młotek przewodniczącego. Zebranie dobiegło szczęśliwego końca. Decyzja podjęta, pora zabrać się znów do pracy. Sir Isambard poczekał spokojnie na boku, aż członkowie rady złożą Washingtonowi gratulacje, i dopiero gdy wszyscy odeszli, sam podszedł do Washingtona.

– Pojedziesz ze mną – powiedział tonem pośrednim między propozycją a rozkazem.

– Z przyjemnością.

W milczeniu zjechali windą, portier na dole otworzył im drzwi i zadał w gwizdek, by wezwać taksówkę. Pojazd, który podjechał, był całkiem zgrabny – dwukołowy, wysoki, czarny i smukły. Powożący siedział na samej górze z lejcami w dłoniach. Wiodły one do jednego z tych nowomodnych wynalazków wypierających ostatnimi czasy konie z centrum Londynu i innych miast. Na miejscu dumnego rumaka między dyszlami podczepiono płaski moduł pociągowy, cały z metalu, też czarny i dziwnie przypominający kształtem cegłę. Posłuszny lejcom skreślił do krawężnika, a pociągnięcie innego rzemienia sprawiło, że płynnie stanął.

– Oto postęp – rzekł sir Isambard, wsiadając do pojazdu. – Konie zniknęły z ulic, a wraz z nimi nieczystości, muchy i choroby. Miast tego mamy pojazd cichy i szybki, inny od tych hałaśliwych i dymiących modeli sprzed lat, bo napędzany elektrycznością. Akumulatory schowano w bagażniku, pewnie

widzisz te kable biegnące po dyszlach. A teraz zamknij ten lufcik, bo potrzebna nam odrobina prywatności, a nie strzyżenie uszami.

To ostatnie dodał pod adresem kierowcy, którego twarz, okrągła i rudawoblada niczym księżyc w pełni, tkwiła w okienku kabiny.

– Proszę wybaczenia, panie, ale nie słyszałem, gdzie mam jechać.

– Maida Vale sto osiem – rzucił sir Isambard, zatrzaskał okienko i zwrócił się z powrotem do Washingtona. – Jeśli myślisz, że jedziemy do mnie, to spieszę cię rozczarować.

– Myślałem...

– Źle myślałeś. Chcę tylko porozmawiać z tobą na osobności. Tak czy tak, Iris bierze akurat udział w jakichś teologicznych błazeństwach w Albert Hall, co oszczędzi nam gwałtownych scen. To moja jedyna córka i słucha ojca, gdy musi. Ponadto podziela mój pogląd na sprawy tego świata. Gdy jej wyjaśnię, że stanąłeś po stronie moich adwersarzy, by razem z nimi ograbić mnie z moich uprawnień i zyskać w ten sposób wyższą pozycję...

– Sir!

– Milcz. Teraz ja mówię i ani myślę z tobą dyskutować. Zająłeś stanowisko jednego z moich agentów i zwróciłeś się przeciwko mnie. Gdy tak jej to przedstawię, zrozumie, czemu nie przekroczysz już więcej progu naszego domu, i jeszcze rano odeśle ci przez posłańca pierścionek. Będziemy dalej pracować razem, bo inaczej się nie da. Ale wasze zaręczyny zostają

niniejszym zerwane i nie próbuj, teraz czy w przyszłości, nigdy więcej widywać się z Iris. – Postukał głośno główką laseczki w okienko kierowcy. – Zatrzymaj wóz. Do widzenia.

## Royal Albert Hall

Mokry od deszczu asfalt na Kensington Gore odbijał wyraźnie żółtawy blask gazowych latarni. Ulica była pusta, drzwi teatru zamknięte na glucho. Nagle zza rogu wyłoniła się samotna postać dżentelmena, który nie przejmując się kiepską pogodą i poznaczonym kroplami wody odzieniem, spieszył się tak bardzo, że wbiegł po schodach, pokonując dwa stopnie naraz, i szarpnięciem otworzył drzwi. Nagle jednak stanął twarzą w twarz z umundurowanym nienagannie porządkowym. Rosły osobnik wyraźnie nie zamierzał wpuścić kogokolwiek więcej do środka.

– Przedstawienie już się zaczęło, sir. Wszyscy siedzą na widowni.

– Chcę porozmawiać z kimś spośród publiczności – powiedział Washington, uspokajając nieco myśli. Jego nagłe pojawienie się wprost z nocnego mroku różnie tu mogło zostać zrozumiane. – To dość pilna sprawa. Jeśli trzeba, kupię bilet.

– Przykro mi, sir, ale kasa już zamknięta. Washington czym



prędszej wyciągnął portmonetkę,

jakoś wejść przecież musiał. Wsunął porządkowemu w dłoń dwie monety półkoronowe.

– Na pewno nie da się wejść? Może mógłbym chociaż rozejrzeć się trochę za osobą, której szukam?

Srebro zdziałało cuda. Uprzedzająco uprzejmy porządkowy odsunął się i zaprosił do środka:

– Oczywiście, sir. Tędy proszę.

Drzwi zamknęły się za nim i Washington rozejrzał się po zapełnionej sali. W ciemności dostrzegł jedynie, że publiczność składa się niemal wyłącznie z kobiet. Jak tu znaleźć tę jedną? Słuchały w napięciu niewysokiego mężczyzny z siwą brodą, który przemawiał z mównicy na scenie. Miał na sobie czarną, ciasno przylegającą do głowy czapkę, za nim zaś, na czerwonym, pluszowym dywanie, rozłożyła się raczej niezgrabnie obfitych kształtów i pospolita dość kobieta. Spała czy była nieprzytomna, trudno powiedzieć. Tworzyli parę na tyle niezwykłą, że Washington mimo wszystko przystanął zasluchany.

– ...słyszeliśmy, co powiedziała *madame* Clotilda. Wymówiła nazwisko Martina Alhai Gontrana, wykrzyczała właściwie, podkreślając wagę tej wypowiedzi. Ten fakt nawiązuje do moich wcześniejszych wywodów dotyczących niejednorodnej natury czasu. Są takie punkty w czasie, które nazwałem progami alfa i które, o ile istnieją, czynią moją teorię spójną oraz dają szansę na jej gruntowne zweryfikowanie. Jeśli ich nie ma, znaczy to, że czas płynie jednym, wielkim strumieniem, bez odnóg, bez łóżysk równoległych. Jeśli ich nie

ma, to znaczy, że się myłę.

– Proszę, proszę – mruknął pod nosem Washington, rozglądając się za dobrze znaną twarzą i czupryną czarnych włosów.

– Poszukiwania chociaż jednego wielkiego prognoza zajęły całe lata, a *madame* Clotilda jest pierwszą jasnowidzącą, której to się udało, tak trudne to zadanie. Z początku wymówiła, a niełatwo jej to przyszło, pojedyncze słowo „Gontran”. Długo szukałem znaczenia tego słowa, a dzisiejsze doświadczenie potwierdziło moje przypuszczenia, bo gdy podpowiedziałem „Martin”, dodała brakującą trzecią część: „Alhaja”! To imię, kompletne imię, ma wiele wspólnego z naszym punktem alfa. Niech wyjaśnię, kim był Martin Alhaja Gontran. Mały, nieistotny dla historii i niepiśmienny pastuszek, który trzymał w swej pomarszczonej dłoni losy świata. Gdy spytacie mnie o datę tego wydarzenia, odpowiem, że był to rok 1212, dokładnie szesnasty lipca. Sceną wydarzeń jest Półwysep Iberyjski. Trwają właśnie przygotowania do wielkiej bitwy między chrześcijanami a muzułmanami. Obie armie czekają pod bronią w swoich obozach, płoną ogniska, wszyscy szykują się do porannej walki. Ale nie wszyscy śpią. Onże pastuszek, Martin Alhaja Gontran, opowiedział przyjacielowi o swoich planach, ten przekazał rzecz dalej i Gontran pojmany został przez Maurów. Były to niecywilizowane czasy, kiedy to zadawanie cierpienia było na porządku dziennym, ale nad tym nie chciałbym się rozwodzić, szczególnie przed taką publicznością. Starczy powiedzieć, że Gontran wzniósł wszystko przed śmiercią. Zamierzał tej noc

przeprowadzić potajemnie chrześcijańskie wojska nie strzeżonymi ścieżkami, które jako pastuch znał doskonale, przeprowadzić chrześcijan na tyły wojsk muzułmańskich. Zginął i do niczego takiego nie doszło. A teraz spytacie mnie, co by się zdarzyło, gdyby jednak mu się udało tego dokonać. Jest wielce prawdopodobne, że wówczas to chrześcijanie, a nie muzułmanie, wygraliby bitwę pod Navas de Tolosa, zapewne najbardziej brzemiennej w skutki bitwę tamtej epoki. I co dalej? Spróbujmy przeprowadzić taką symulację. Wygrawszy decydujące starcie, chrześcijanie wygrywają kolejno następne bitwy i Półwysep Iberyjski staje się równie chrześcijański jak Francja czy Prusy, miast jako muzułmański trwać dalej jako część Wielkiego Kalifatu. Możecie mnie spytać, ileż znaczy dla nas ten odległy skrawek kontynentu. Odpowiem, że znaczy wiele, gdyż chrześcijańskie władanie w Iberii nieuniknienie pociąga za sobą...

Obszerna postać *madame* Clotildy poruszyła się niespokojnie, z jej gardła dobyły się zdumiewające, nieartykułowane odgłosy. Większość publiczności zaszemrała, aż doktor Mendoza musiał unieść obie ręce, prosząc o ciszę.

– To nic niezwykłego, proszę nie zwracać uwagi. Widzicie państwo, w pogotowiu czekał lekarz, który roztoczył już nad nią opiekę. Wielkie napięcie wpływa tak czasem na jasnowidzących. Jak widać, kurtyna się zasuwa, lekarz przy boku, wszystko będzie dobrze. Poproszę o zapalenie na chwilę świateł. Wrócę po przerwie i przedstawię wam nagrania

rytualnego śpiewu Eskimosów. Sam ich nagrałem podczas pobytu w zimowym obozowisku tych dzielnych ludzi. Było to za kręgiem polarnym. Pragnąłem wy badać, jak tamtejsze długie białe noce wpływają na zmiany rytmu dobowego człowieka. Miało to wielkie znaczenie dla podstaw mojej teorii progów alfa. Dziękuję.

Ledwo skończył, rozbłysły światła. Niewysoki doktor zszedł z mównicy i stoczywszy krótką a energiczną batalię z kurtyną, znalazł wreszcie przejście i zniknął za kulisami. Do uszu publiczności dobiegło jednocześnie nieludzkie zgoła zawrodozenie i przytłumiony łomot. Washington wykorzystał czym prędzej sposobność i przedarł się do przejścia pośrodku widowni, by stamtąd efektywniej prowadzić poszukiwania.

I znalazł. Zaraz w drugim rzędzie, tuż przy przejściu. Spięte złotą kłanrą czarne włosy i twarz jak z obrazka. Iris faktycznie wyrastała na piękność i fotoreporterzy już teraz uwielbiali czyhać na nią z aparatami. Nawet bez szminki wargi miała czerwone i pełne. Washington po raz nie wiadomo który przyjrzał się jej urzeczony. Poczwała widać jego spojrzenie, bo obróciła głowę. Wyraz zaskoczenia ustąpił błyskawicznie miejsca uśmiechowi. Washington zmieszał się jeszcze bardziej.

— Gus tutaj! — zawołała. — Ale miła niespodzianka. Washington odpowiedział uśmiechem. Jakoś nie znajdował stosownych słów.

— Znasz Joyce Boardman? — ciągnęła Iris. — Nie sądzę, dopiero wróciła z Dalekiego Wschodu. Joyce, to mój narzeczony, kapitan Augustus Washington.

Ujął podaną dłoń i skłonił się lekko, jednak prawie nie zauważył tej drugiej dziewczyny.

– Cała przyjemność... Iris, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale właśnie przyjechałem z Kornwalii i rano muszę już wracać. Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

Musiała wyczuć coś w jego głosie lub zachowaniu, bo nagle spowaźniała.

– Oczywiście – odparła ze stanowczością, jaką rzadko widuje się u dwudziestoletnich pańienek. – Trans *madame* Clotildy nieco pomieszał szyki, a jeśli doktor wznowi wystąpienie, to Joyce wszystko mi jutro opowie. Dobrze, kochana Joyce? – Kochana Joyce nie miała nawet szansy zaprotestować. Ledwo otworzyła usta, Iris zdławiła wszystkie próby buntu w zarodku: – To miło z twojej strony. Gdy podjedzie samochód, powiesz, że udałam się już do domu taksówką.

I zaraz ujęła kapitana pod ramię i wyszli z sali. Czekaając na przywołanie taksówki, Washington pojął, że im prędzej poruszy fatalny temat, tym lepiej.

– Zanim pojedziemy, muszę ci coś powiedzieć. Między twoim ojcem a mną zaistniała niejaka różnica zdań...

– Nic nowego pod słońcem. Mam to codziennie. Biedny tatuś nie ma sobie równych w uporze.

– Obawiam się, że tym razem to poważna sprawa. Zabronił mi wstępu do waszego domu i... ledwie przechodzi mi to przez gardło... nie chce, byśmy się więcej widywali.

Dziewczyna zamilkła na dłuższą chwilę. Szczęśliwy uśmiech

zniknął z jej ust, ale jego rękę ścisnęła wciąż tak samo mocno. Washington poczuł, że kocha ją za to jeszcze bardziej. O ile to możliwe, rzecz jasna.

– Zatem naprawdę musimy porozmawiać. Opowiesz mi dokładnie, jak do tego doszło. Pojedziemy... niech pomyślę... do kawiarni w Great Western Hotel. To po drodze do domu, na dodatek pamiętam, że ich herbata i ciasteczka przypadły ci ostatnio do gustu.

Gdy przejeżdżali mroczny Hyde Park, streścił jej pokrótce przebieg wypadków. Zmilczał tylko o wcześniejszej rozmowie z Cornwallisem. Wyjaśnił, dlaczego zebranie odbyło się tak nagle, jak ważna to sprawa dla kompanii i dla niego osobiście, a zakończył, powtórzywszy słowo w słowo cały monolog jej ojca. Byli już wtedy prawie pod hotelem. Czym prędzej weszli po wielkich schodach, usiedli i zamówili herbatę oraz ciastka. I jeszcze podwójną brandy dla Washingtona, który czuł się naprawdę wyczerpany. Milczeli aż do chwili, gdy napełniono im filiżanki.

– To straszne, Gus, naprawdę straszne.

– Ale nie dzielasz zdania ojca?

– Nie wiem, co myśleć. Ma rację czy nie, jest jednak moim ojcem.

– Iris, kochana, chyba tak nie myślisz? Żyjemy w dwudziestym wieku, wiktoriańskie mroki dawno już za nami. Masz prawo głosowania, to znaczy będziesz miała w przyszłym roku, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat. Za czasów królowej Elżbiety kobiety są bardziej wolne niż kiedykolwiek dotąd.

LIZBIĘTY KOBIECY SĄ BARCZĄJĄ WOLNE NIŻ KIEDYKOLWIEK DOJĄ.

– Owszem. Dobrze o tym wiem. I kocham cię. Ale nie mogę zerwać całkowicie z rodziną. Zresztą, jak sam powiedziałeś, w świetle prawa nie jestem jeszcze dorosła. Jeszcze sześć miesięcy, podczas których będę mieszkała w domu ojca.

– Chcesz powiedzieć...

– Tak, chociaż to równie bolesne dla mnie jak dla ciebie. Dopóki nie zażegnacie tego sporu, który zaistniał między wami, nie mam wyboru. Naprawdę nie mogę postąpić inaczej, Augustusie.

Ostatnie słowa wypowiedziała głosem drżącym i pełnym cierpienia. Ze łzami w oczach zdjęła z palca pierścionek i podała go Washingtonowi.

## Na pokładzie statku powietrznego

Tego wspaniałego, czerwcowego dnia tłumy już od rana ciągnęły ulicami Southampton w kierunku doków. Pogoda dopisała, nastroje były radosne, coraz liczniejsze, hałaśliwe grupki kręcące się po nabrzeżu wypatrywały niecierpliwie południa. Kolorowe flagi i chorągwie trzepotały na wietrze, małe łódki i stateczki roily się niczym drobnoustroje w basenie portowym. Gwizd odległego jeszcze pociągu wyraźnie poruszył spacerowiczów: to pociąg rejsowy [*Boat train* – specjalny pociąg dowożący z głębi kraju do miasta portowego pasażerów konkretnego rejsu] z Londynu. Przybywają pasażerowie!

Echo gwizdu oderwało Augustusa Washingtona od stert odbitek, wykresów, szkiców, obliczeń i planów. Od funtów, dolarów i zgryzot. Cały przedział zasłany był papierami. Młodzieniec pomasaował obolałą nasadę nosa, przetarł piekące oczy. Owszem, ciężko pracował, niektórzy mawiali, że aż za ciężko, ale nieustannie trafiał na coś, co wymagało jego uwagi. Dobra, pomyślał, na razie starczy. Pociąg skręcał łagodnym



łukiem w stronę doków, gdy Washington zaczął składać dokumenty i chować je w przepastnej walizce. Walizce olbrzymiej i nader funkcjonalnej, opasanej rzemieniami i wzmocnionej mosiądzem. Zrobiono ją ze skóry konia, kucyka właściwie. Białe – czarne, jak było widać, i tego samego kucyka, na którym z takim powodzeniem jeździł kiedyś na Dalekim Zachodzie. Ale to zupełnie inna historia... Zamknął walizkę, pociąg zaś zadudnił na rozjazdach i wjechał na nabrzeże. Stąd dopiero Washington mógł po raz pierwszy dojrzeć zacumowaną przy molo *Queen Elizabeth*.

A było na co patrzeć. Młody człowiek zapomniał nawet o piekących oczach. Prawdziwe arcydzieło myśli inżynierskiej, triumf techniki i symbol postępu zarazem jaśniał w słońcu nieskalaną bielą. Dziobem tkwił przy nabrzeżu, rufa kołysała się łagodnie pośrodku basenu. Trap z mola wiódł na przedni pokład, gdzie powiewał dumnie Union Jack. Nieco dalej, po obu burtach sterczały olbrzymie skrzydła. Pod każdym podwieszono po cztery silniki z czterołopatowymi śmigłami. Każda z łopat była wysokości dorosłego mężczyzny. Oto *Queen Elizabeth*, duma linii Cunarda, największy i najwspanialszy powietrzny liniowiec, jaki kiedykolwiek zbudowano. Przez sześć ostatnich miesięcy krążyła ze starannie dobraną załogą po całym świecie. Odwiedziła niemal wszystkie ważniejsze porty, jej bandera łopotała na wszystkich oceanach. Jeśli nawet ujawniły się podczas tego pierwszego, próbnego rejsu jakieś trudności czy niedoróbki, to armator utrzymał wszystko w tajemnicy. Jednak okres testów dobiegł końca i przyszła pora na podjęcie

tych obowiązków, dla których skonstruowano i ją, i wszystkie poprzednie „królowe”: regularnej obsługi linii Southampton – Nowy Jork. Ponad trzy tysiące mil.

Washington nie trafił na listę pasażerów przypadkiem, chociaż był tylko prostym inżynierem między mnogością diuków i lordów, przemysłowych arystokratów i kontynentalnej szlachty, utytułowanych, popularnych aktorów. Biletów przewidziano ledwie sto, jednak po licznych naciskach, dyskretnych telefonach i równie tajemniczych naradach w salonach paru klubów postanowiono, że sprawy tunelu są zbyt ważne, aby zlekceważyć najmniejszy nawet szczegół. Trzeba przekonać Amerykę do włączenia się w całe przedsięwzięcie. Skoro Washington musi udać się do kolonii, niech to zrobi w najlepszym stylu. Takim, który skutecznie nagłośni jego przybycie.

Dziewicza podróż transatlantyku stwarzała po temu idealną wprost okazję, chociaż zmusiło to Washingtona do załatwienia całego, pięciodniowego harmonogramu prac w ciągu jednej tylko doby. Udało mu się wszakże i mógł ruszać. Zatrzasnął walizkę, otworzył drzwi przedziału i dołączył do pozostałych pasażerów na peronie. Nie było ich wielu i Washington trzymał się raczej w ogonie pochodu. Niech inni pchają się pierwsi na lampy błyskowe i kamery. Nie wszyscy też przybyli pociągiem. Przez lukę w płotku wjechały dwa wielkie, czarne i dostojne rolls-royce’y. Ledwo zasunięto za nimi barierki, na ulicy rozległ się gwizd, buchnął kłęb pary i znów trzeba było otwierać nrzeiazd. Tym razem by wnuścić narowa limuzyne Škodv.

którą to markę preferowały europejskie rodziny królewskie. Wóz miał sześć kół, z których dwie pary tylnych były dwukrotnie większej średnicy niż przednia. Z tyłu też mieściła się maszyna parowa i kocioł z paleniskiem. Znów buchnęła para, zagwizdało i pojazd zwolnił, dymiąc z lekka. Wewnątrz, za oprawnymi w srebrne ramy szybami, widać było jakieś postaci. Siedziały statecznie, nie oglądając się na boki. Zaiste, to był pamiętny dzień.

Kawiarenka na peronie otwarta została już jakiś czas temu, ale korzystali z niej niemal wyłącznie dziennikarze. Pasażerowie czym prędzej udawali się na pokład i tylko Augustus wyłamał się z pochodu. Zdążył ochłodzić się pintą piwa, nim został rozpoznany i otoczony szczerze przez przedstawicieli stanu prasowego. Spokojnie porozmawiał z nimi, odpowiedział szczerze na wszystkie pytania dotyczące tunelu. Praca idzie dobrze, nawet bardzo dobrze, zgodnie z planem. Nie ma powodów do niepokoju, tunel zostanie ukończony. Uszanowali jego prośbę, by nie fotografować go ze szklanicą piwa w dłoni, jako że pewna część funduszy na budowę pochodzi ze składek organizacji abstynenckich. Zaproponował za to wszystkim kolejkę na jego koszt, co przyjęto z radością. Dobry wstęp do podróży.

Gdy znów wyszedł na słońce, trap był już pusty. Wszyscy już weszli. Wspiął się na pokład dziobowy i odpowiedział skinieniem głowy na salut czekającego tam oficera. Dziwny był to salut, urwany czemuś w połowie. Oficer złapał nagle dłoń Augustusa i wciągnął go do siebie.

Augustusa i uściśnął ją serdecznie.

– Washington Sokole Oko, to przecież ty!

Czas cofnął się momentalnie. Gus znów był w Edynburgu, w ulewnym deszczu szedł wraz z kolegami Prince's Street. I znów był Sokolim Okiem, jak nazywano tam za bohaterem popularnej powieści większość studentów z amerykańskiej kolonii. Uśmiechnął się szeroko i odwzajemnił uścisk.

– Alec, to naprawdę ty chowasz się za tym wąsem jak z RAF-u? Alec Durell!

– Nikt inny, Sokole Oko, nikt inny. A muszę przyznać, że wiele mnie ta ozdoba kosztowała – powiedział, muskając wąsiska knykciami. – Szczeniackie lata w RAF-ie, potem Fleet Air Arm, a teraz Cunard [*RAF (Royal Air Force)* – brytyjskie siły powietrzne; *Fleet Air Arm* – lotnictwo marynarki; *Cunard* – największy brytyjski armator liniowców pasażerskich]. Armia wywała swych najlepszych ludzi na zbity pysk...

– Wciąż po dawnemu nieśmiały...

– A co? Miło widzieć cię na pokładzie. Chodź, zabiorę cię na mostek, przedstawię chłopakom. Jestem tu pierwszym inżynierem. Tworzymy zgraną paczkę. Wszyscy po służbie zawodowej, bo tylko tacy poradzą sobie z tą latającą arką. Kompania dodała swojego płatnika, ale nie wpuszczamy go na mostek.

Ominęli widoczne pod szerokimi oknami mostka wejście dla pasażerów i przeszli przez drzwi oznaczone tabliczką WSTĘP TYLKO DLA ZAŁOGI. Wiodły do obszernego pomieszczenia pełnego instrumentów i tablic kontrolnych. Z samego przodu

siedział sternik, po prawej miał fotel kapitana, po lewej pierwszego oficera. Z tyłu otwierało się wejście do mniejszych znacznie wewnątrz przeznaczonych dla radiooperatora i nawigatora. Ściany wyłożono drewnem tekowym, instrumenty lśniły chromem wprawionym w orzech włoski, podłogę od krańca do krańca wyścielał dywan z Wilton. Spośród wszystkich tylko sternik był akurat na służbie. Palce trzymał lekko na kole sterowym.

– Oficerowie są na dole – powiedział Alec. – Zabawiają pasażerów pierwszej klasy, jak zwykle zresztą. Całe szczęście, że ja zajmuję się tylko maszynami i nie muszę zwracać uwagi na to dostojne zbiegowisko. Wiesz co, pokażę ci maszynownię, pewnie ci się spodoba. Zostaw tylko swoją walizkę w kąciku nawigatora, tam jest pełno miejsca.

Oficer nawigacyjny mógł być innego zdania, jego pomieszczenie nie różniło się wiele od budki telefonicznej i Gus musiał potrudzić się chwilę, nim wcisnął bagaż do kąta. Potem Alec otworzył włącznik i poprowadził spiralnymi schodami do przedniej ładowni, gdzie sztauerzy kończyli układać kufry, walizy i mocowali je sieciami do burt. Wąską ścieżką pozostawioną między stertami bagażu przeszli obaj ku rufie.

– Pokład pasażerski jest akurat nad nami i tędy daje się go wspaniale ominąć – wyjaśnił Alec. Rzeczywiście, z góry dobiegał przytłumiony gwar rozmów i wesoła muzyka.

– To brzmi jak dziesięcioosobowa orkiestra dęta – powiedział Washington. – Chyba nie powiesz, że ich też zabieracie?

– Poniekąd, znaczy w przenośni. To nagrania z taśmy. Musimy pilnować obciążenia. I tak przekraczamy normy startowe o sto ton.

– Odniosłem wrażenie, że nikt tu nie zwraca uwagi na podobne drobiazgi.

– Im to powiedz. Albo ja powiem to panom z zarządu w twoim imieniu. Uznali, że trzeba trzymać fason Cunarda. A przecież gdyby wyrzucić te wszystkie chromy i boazerie, moglibyśmy zabrać drugie tyle pasażerów.

– Lecz tej drugiej setce byłoby mniej wygodnie. Może im chodzi o jakość, a nie o ilość?

– Z pewnością. Ale to nie moje zmartwienie. Teraz proszę do windy, trochę za mała dla dwóch, ale jak wypuścisz powietrze, to może... – Drzwi zamknęły się automatycznie i winda ruszyła. – Skrzydło jest na samej górze kadłuba, a w ten sposób zaoszczędzimy sobie wspinaczki.

Wyszli na niski korytarz biegnący poprzecznie do podłużnej osi statku. Kończył się ciężkimi drzwiami z kołem ryglującym i światelkami kontrolkami na framudze. Inżynier przekręcił obręcz w prawo, pomanipulował przy kontrolkach i drzwi stanęły otworem, ukazując wewnątrz niewiele większe niż winda.

– Śluza – wyjaśnił, zamykając jedne drzwi i otwierając następne. – Hermetyzacja maszynowni byłaby odrobinę bez sensu, zatem z kadłuba ciśnieniowego wchodzi się do nich przez śluzę. Witam w lewoburtowej maszynowni *Queen Elizabeth*. Tutaj ja rządę, i to niepodzielnie.

Niepodzielność rządów wystawiona została na próbę, gdy

niepouziętość Izaków wystawiona została na próbę, gus pierwszy napotkany w środku mechanik w białym kombinezonie zaszalutował niedbale i pokazał kciukiem gdzieś za siebie.

– Z paliwem jeszcze nie skończyli, sir. Mówią, że dopełniają bunkry po brzegi.

– Kazałem im uwinąć się do dziesiątej.

– Też im to powtórzyłem, sir – stwierdził mechanik ze smutkiem tak wielkim, jakby spadły właśnie nań wszystkie plagi tego świata.

– No to ode mnie usłyszą – powiedział inżynier i dodał wiązaną przekleństw jednoznacznie potwierdzających, że musiał służyć i w lotnictwie, i w marynarce. Podszedł do wielkiej płyty włazu w pokładzie, otworzył ją i wychylił się prawie do pasa. Od powierzchni wody dzieliło go ponad dwadzieścia stóp.

– Ahoj na barce! – krzyknął.

Gus ukląkł po przeciwnej stronie włazu, skąd miał wspaniałą widok na masywną barcę bunkrową przycumowaną do kadłuba *Queen Elizabeth*. Prócz lin łączyły ją ze statkiem masywne węże podłączone do zaworów w burcie. Dopiero teraz je zwijano. Gdy usunięto ostatni, w powietrze wzbila się wielka chmura węglowego pyłu i pierwszy inżynier poczęstował obecnych jeszcze barwniejszą wiązaną. Jednak po skończeniu całej operacji i zabezpieczeniu zaworów sięgnięto po węże z wodą i burta szybko odzyskała pierwotną biel. Alec podniósł się z triumfalnym błyskiem w oku i skoczył zaraz do telegrafu. Dwa dzwonki obwieściły przesunięcie się wskazówki na pozycję „Rozgrzać maszynę”.

– Lewy skrajny! – zawołał Alec. – Otworzyć zawory butanu!

– Aye, aye! – odkrzyknięto i dwóch mężczyzn zabrało się zaraz do wykonywania złożonego zadania.

Gus znał to tylko z teorii, nigdy dotąd nie widział żadnego z tych wielkich silników w działaniu. Wiedział, że każda z turbośmigłowych jednostek, których tylko drobny fragment wystawał poniżej skrzydła, dawała moc 5700 koni mechanicznych. Najpierw pomocniczy silnik elektryczny uruchamiał turbinę, śmigło zaczynało się obracać. Wtedy podawano butan, który spalał się i obracał łopatki turbiny, aż osiągnięto pożądaną temperaturę, ciśnienie i obroty. Alec postukał z satysfakcją w miernik i odciął dopływ butanu. Od tej chwili pompy tłoczyły do silnika równomiernie spalający się pył węglowy. Wielka maszyna trzęsła się i drżała, aż podregulowana zawarczała równomiernie.

– Wyjdę stąd dopiero po starcie, na razie muszę jeszcze przygotować prawą burzę – powiedział Alec. – Może wrócisz na mostek? Dam im znać przez telefon. Będą na ciebie czekać.

– A nie będę tam przeszkadzał?

– Ani trochę. Na każde pytanie o tego Moby Dicka oni odwdzięczą ci się tuzinem pytań o twoją transatlantycką rurę. Ruszaj.

Inżynier nie mylił się zbyt, gdyż sam kapitan, podpułkownik lotnictwa Mason, przywitał Washingtona serdecznie i zaprosił do pozostania na mostku. Było tu cicho, komendy wydawano oszczędnie i spokojnie, wszyscy wyraźnie



znali swoje miejsce. Tymczasem tłum na nabrzeżu szalał z entuzjazmu. Łódki i statki gwizdały i huczały, aż równo z wybiciem południa rzucono cumy i holowniki pchnęły potężny statek w kierunku kanału. Mason, choć młody jak na kapitana Cunarda, wyglądał na bardzo przejętego swą rolą. Z lubością pogładził wyhodowaną dla przydania sobie powagi długą brodę.

– Wyporność sto dziewięćdziesiąt osiem tysięcy funtów, dwieście czterdzieści stóp długości, siedemdziesiąt dwie stopy od stępki do stanowiska obserwacyjnego na szczycie statecznika. Tak to wygląda, panie Washington. Cokolwiek dobrego o niej powiemy, będzie prawdą. Na rufie mamy turbinę o mocy dwóch tysięcy koni, która nic innego nie robi, jak tylko tłoczy powietrze pod skrzydła i zapobiega oderwaniu strug, przez co zyskujemy na sile nośnej, w porównaniu ze zwykłym płatem aż trzykrotnie. Uniesiemy się przy prędkości pięćdziesięciu mil na godzinę. Starczy czterysta stóp rozbiegu. Dmuchawy z obu stron kadłuba uchronią nas od rozbryzgów fal i wygładzą powierzchnię wody. A teraz, wybaczy pan...

Holowniki oddaliły się, a sternik obrócił kołem, kierując dziób na otwarty akwen. Zaraz potem odłączył swoje instrumenty, przekazując stery kapitanowi. Policyjne łódzie pohukały donośnie syrenami, oczyszczając basen portowy z wszelkich jednostek. Kapitan ustawił lewą dłoń na dźwigni sterownicy na pozycji START, prawą przesunął telegraf na CAŁA NAPRZÓD. Turbiny zawyły na maksymalnych obrotach i kadłub zawibrował lekko. *Queen Elizabeth* ruszyła i błyskawicznie nabrała prędkości. Poruszała się nłwnie bez

...i wyskoczył z krzesła przerażony i otarł sobie pot z czoła, czując najniższych wstrząsów. Washington nie zdołał zauważyć, kiedy właściwie brzuch maszyny oderwał się od powierzchni wody. Po prostu w pewnej chwili widoczne za oknami miasto odplynęło gdzieś w dół, zmalowało dziwnie, a potem przesunęło się niczym makieta modelarska, gdy statek zaczął skręcać na zachód. Mignął jeszcze zielonkawy ocean i już byli nad Kanalem. Anglia zniknęła pod lewym skrzydłem.

Gus wziął swoją walizkę i zszedł z mostku cały szczęśliwy, że mógł być świadkiem tak historycznej chwili. Świat kurczył się coraz bardziej...

Krótkim korytarzem dotarł do Wielkiego Salonu, gdzie pasażerowie podziwiali widoki i sami pozwalali się podziwiać. Siedząc przy stolikach, zerkali przez spore, okrągłe iluminatory i dawali przy okazji zarobić barowi. Pomieszczenie nie było aż tak obszerne, jak nazwa by wskazywała, ale półokrągły strop dawał złudzenie przestrzeni. Szczególnie że był ciemny, a jakieś tajemnicze, dobrze ukryte urządzenie wyświetlało na nim obraz gwiazd migoczących zza płynących z wiatrem chmur. Washington torował sobie drogę w ciżbie, aż znalazł pokojowego, który zaprowadził go do kabiny. Była maleńka, ale wyposażona we wszystko co trzeba. Z ulgą padł na fotel i zapatrzył się na chwilę w bulaj. Wszystkie oznaczone nalepką „kabina” bagaże dotarły szczęśliwie na miejsce, a w nich papierzyska, którymi powinien się zająć. Na razie jednak rozkoszował się przytulną ciszą nader pomysłowo skonstruowanej kabiny. Na ścianie dostrzegł oryginalną litografię

Picassa. Krzesło i biurko dawało się składać, ustępując w nocy miejsca koi.

W końcu ziewnął, przeciągnął się, rozpiął kołnierzyk, otworzył walizkę i zasiadł do pracy. Zignorował gong wzywający pasażerów na lunch i posłał jedynie po pintę beczkowego guinnessa oraz kanapki z serem i ogórkiem. Na tym skromnym wikcie dotrwał do obiadu, kiedy to uznał, że pora jednak oderwać się od pracy i dołączyć do współpasażerów. A konkretnie do starszej pani, z którą dzielił stół. Sądząc po biżuterii i manierach, musiała być bardzo bogatą przedstawicielką jakiegoś pradawnego rodu. Gus zjadł czym prędzej i wrócił do kabiny.

Tymczasem obsługa opuściła i posłała łóżko z obowiązkową elektryczną grzałką między kocami (to zamiast tradycyjnej butelki z gorącą wodą), sama zaś kabina została przewietrzona i wychłodzona do temperatury sprzyjającej miłemu zaśnięciu. Pizama leżała na poduszce. Według zegarka Washingtona była dopiero dziesiąta, jednak był to czas nowojorski, gdyż Gus przesunął już wskazówki. Wiedział też, że dzwonek zbudzi go niemiłosiernie wcześnie, bo lot trwać miał jedynie piętnaście godzin. No, ale *Queen Elizabeth* rozwijała prędkość ponad trzystu mil na godzinę.

Wedle zegara pokładowego była już piąta nad ranem, Gus uznał zatem, że dobrze będzie jednak złapać trochę snu. Czekał go ciężki dzień. Żeby tylko dzień! Tydzień, miesiąc, rok, ciężkie „na zawsze”. Ale mniejsza z tym. Tunel wart był każdego wysiłku. Ziewnął, wsunął się między prześcieradła i wyłączył

światło. Bulaja nie zasłaniał, by raz jeszcze zerknąć przed snem na gwiazdy.

Następne, co poczuł, to uczucie dławienia. Zupełnie jakby tonął. Nie mógł złapać powietrza, nie mógł się także poruszać. Zaczął się szarpać, chciał kogoś zawołać, ale usta i nos miał zakryte.

To nie był sen. Jego sny nie obfitowały nigdy w zapachy, a wyraźnie wyczuł w pewnej chwili słodką woń eteru.

W tymże momencie dobudził się do końca. Chciał wciągnąć powietrze, ale powstrzymał odruch. Na Dalekim Zachodzie pomagał niejednokrotnie chirurgom podczas operacji. Wylewał eter na maski chorych i nauczył się wstrzymywać w takich razach oddech, by samemu nie nałykać się oparów. Nie miał najmniejszego pojęcia, co właściwie się dzieje, ale wiedział, że jeśli teraz wciągnie powietrze w płuca, to nieodwołalnie straci przytomność.

Było ciemno, ale podczas szarpaniny zdołał wyczuć obecność dwóch napastników. Praktycznie na nim leżeli, zakładając mu zimne więzy na kostki i nadgarstki. Potem czyjeś silne palce wepchnęły mu do ust nasączony eterem knebel. Czekali, aż przestanie się wrywać.

Wstrzymywał oddech, jak długo się dało. W końcu musiał wciągnąć powietrze. Był o włos od uduszenia. Poddął się z rozpaczą i w tejże chwili knebel zniknął.

Najpierw wyrzucił zużyte powietrze i przewentylował w ten sposób nozdrza. Płuca krzyczały o wielki haust tlenu, on jednak dawkował go nowoli. niezauważenie. Czuł. iak silne rece unosza

pozornie bezwładne ciało. Skrzyknęły drzwi, najpierw uchylone, potem otwarte na całą szerokość. Na korytarzu paliły się tylko nocne światła. Zmrużył oczy, by wyglądały na zamknięte, i rozluźnił całkiem ciało. Nie zareagował, gdy wyrznęli nim przypadkowo o klamkę, dał się ponieść dalej.

Nikogo nie napotkali, nie miał nawet szansy zawołać o pomoc. Chociaż czy to by coś dało? Obaj napastnicy byli rośli, ubrani w całości na czarno, w czarnych rękawiczkach i takichże obszernych, wylupiastych goglach. Zupełnie obcy faceci nieśli go... Właśnie, gdzie?

Jaskrawe światło windy poraziło mu oczy. Zaraz zacisnął powieki, ale poznał to miejsce. Droga do maszynowni, gdzie był z inżynierem. Co się dzieje? Stał ściśnięty między obcymi. Dyszeli ciężko, ale żaden nie powiedział ni słowa. Ale działali sprawnie. W niecałą minutę obezwładnili go, wedle własnego przekonania także odurzili i teraz taszczyli diabli wiedzą gdzie.

Ponure przypuszczenia szybko się potwierdziły. Lewoburtowa maszynownia. Minęli śluzę. Jedne drzwi, drugie, syknięcie wyrównujących ciśnienie zaworów.

Washington wciąż był bezradny. Gdyby teraz zaczął się szarpać, uciszyliby go błyskawicznie, tym razem na dobre. Mimo impulsu wzywającego do działania, czekał. Podczas otwierania drugich drzwi odetchnął jak mógł głęboko i nieco pojaśniało mu w głowie. Wiedział, że tu się kończy kadłub ciśnieniowy i dalej powietrze będzie silnie rozrzedzone, jako że przelot odbywa się na pułapie dwunastu tysięcy stóp. A to oznaczało szybką utratę

przytomności i śmierć z niedoumienia. Zostawia go tutaj, aby umarł? Ale czemu? Czego oni właściwie chcą?

Chcieli go zabić. O tym przekonał się, kiedy upuszczony na zimną, metalową podłogę usłyszał tuż obok szczęk zamka wjazdu. Alec Durell tak samo otwierał go w Southampton. Ale wtedy wypadnięcie groziło jedynie niespodziewaną kąpielą. Teraz oznaczało to śmiertelny upadek z wysokości prawie czterech kilometrów.

Pędząca z prędkością trzystu mil na godzinę wichura wdarła się do maszynowni. Jej wycie przygłuszyło nawet huk silników. Washington wiedział już, co robić.

Wyprostował ugięte nogi w ten sposób, by trafić bliższego mężczyznę pod kolana. Ciemna postać zawisła przez chwilę na krawędzi, zamachała bezradnie rękami i zniknęła w mroku na zewnątrz.

Gus nie czekał, aż drugi napastnik połapie się w rozwoju wydarzeń, tylko popełził czym prędzej ku włącznikowi alarmu przeciwpożarowego. Uderzał weń czołem, aż poczuł, jak odłamki szkła wbijają mu się w skórę. Potem obrócił się ku temu drugiemu. W głowie mu się zakręciło.

Anoksja przychodzi bez ostrzeżenia. Po utracie przytomności następuje łagodna śmierć. Washington pomyślał, że ta wylupiasta maska napastnika musi być równocześnie aparatem tlenowym. Jeśli nie, to i on zaraz zemdleje. Gus nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał walczyć. Bo jak nie, to wyleci w noc i ślad po nim zaginie.

Ale oczy zamknęły się same i Washington legł nieprzytomny

na pokładzie.

## Wynajęty zabójca

– Piękny poranek, sir. Tylko trochę chmur, tak mało, jakby w ogóle ich nie było.

Steward odsunął kotary i słońce wlało się do kabiny. Z wprawą wyciągnął z nocnego stolika składaną półeczkę i ustawił na niej filiżankę herbaty. Następnie rzucił na łóżko pokładową gazetę. Nim Washington zdążył obudzić się do końca i otworzył oczy, steward zamykał już drzwi z drugiej strony.

Gus ziewnął i zajął się gazetą. Przejrzał nagłówki: trzęsienie ziemi w Peru spowodowało setki ofiar. Meldunki o wymianie ognia artyleryjskiego na linii Renu. Nowy Jork wita Cesara Chaveza.

Gazetę składano w biurach armatora w Nowym Jorku, potem radiowo przekazywano strona po stronie na statek. Herbata była mocna i całkiem dobra. Washington uznał, że chyba się wyspał. Ale skąd to odrętwienie mięśni twarzy, obolałość... Uniósł rękę i wyczuł chropawy opatrunek. W tejże



chwili do kabiny wpadł niewysoki i krągły mężczyzna w czerni z czymś na kształt obroży na szyi. Zaraz za nim pojawił się podpułkownik Mason.

– O bogowie, bogowie wdzięczni! – wykrzyknął ten pierwszy, wyłamując palce i muskając nimi zawieszony na piersi ciężki krucyfiks oraz widoczny obok stetoskop, jakby nie wiedział, czy od Boga Ojca czy od Eskulapa oczekiwać może w tej chwili największej pomocy. – Przepraszam najmocniej, chciałem uprzedzić stewarda, ale zasnąłem. Tysiączne przeprosiny. Niech pan odpoczywa, sen to najlepsze lekarstwo. Dla pana, oczywiście, nie dla mnie. Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, odciągnął dolną powiekę Gusa i wpatrzył się w oko z takim napięciem, jakby to właśnie tam kryła się siedziba duszy nieśmiertelnej.

Washington szybko przemyślał swe położenie i serce zabiło mu jak młotem.

– Czyli nie był to koszmarny sen. – Odetchnął głośno. – To stało się naprawdę.

Dowódca statku zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy, dyskretnie, skinął ze smutkiem głową.

– Istotnie, kapitanie Washington. Chociaż co właściwie się stało, nie jestem do końca pewien. Mam nadzieję, że oświeci mnie pan czym prędzej, o ile ma pan coś do powiedzenia, rzecz jasna. Wiem tylko, że jedenaście minut po północy czasu Greenwich odezwał się na mostku alarm przeciwpożarowy lewoburtowej maszynowni. Pierwszy inżynier zareagował natychmiast, ale gdy wszedł do maszynowni, miast ognia znalazł

pana leżącego bez przytomności na pokładzie. Był pan ubrany tak jak teraz i krew ciekła panu z ran na twarzy. Znajdujące się w nich drobiny szkła pozwoliły się domyślić, że stłukł pan głową chroniącą przycisk szybkę. Całkiem zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że nogi i ręce miał pan unieruchomione kajdankami. Drzwi na przyległy pokład były z jakiegoś powodu otwarte. Tyle wiemy. Inżynier wszedł do maszynowni w masce, podał panu zatem od razu tlen i wyciągnął z pomieszczenia. Ten tu dżentelmen, będący biskupem z Botswany i lekarzem zarazem, przybył na nasze wezwanie i udzielił panu stosownej pomocy. Zdjęliśmy panu kajdanki i za radą biskupa położyliśmy spać. Mam nadzieję, że uzupełni pan naszą wiedzę.

– Owszem – powiedział Gus mocno ochrypłym głosem i ku zdumieniu słuchaczy skrzywił się tak boleśnie, że lekarz skoczył błyskawicznie udzielić drugiej, a może i trzeciej pomocy. Pacjent powstrzymał go gestem dłoni. Nie o ból fizyczny chodziło, chociaż faktycznie bliski był desperacji. Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je z drżeniem. – Przypominam sobie. Pamiętam wszystko. Zabiłem człowieka.

Zapadła cisza. Chaotycznie i jękając się, opowiedział, jak obudził się w ciemności, jak próbował walczyć i jak w pewnej strasznej chwili musiał posłać napastnika do wieczności. Jak sam bał się śmierci. Gdy skończył, łzy zaślnęły w oczach biskupa, był to bowiem łagodny człowiek, któremu życie oszczędziło dotąd wszelkiej przemocy. Kapitan spojrzał tylko ponuro. Wszystko już rozumiał.

– Nie może się nan obwiniąć. tu nie ma miejsca na wvrzutv

sumienia – rzekł Mason tonem niemal rozkazu. – Przeciwwstawił się pan zbrodni. Nie można pana potępiać, że stanął pan do walki w samoobronie. Na pana miejscu uczyniłbym to samo, o ile starczyłoby mi siły i odwagi, oczywiście.

– Ale to mnie akurat spotkało, kapitanie. Nigdy tego nie zapomnę. Cierń nie zniknie.

– Nie może się pan winić – powtórzył za Masonem biskup i przypomniawszy sobie o swej drugiej profesji, poszukał jedną ręką zegarka, a drugą ujął nadgarstek Washingtona.

– Tak, oczywiście, w żadnym razie – mruknął Mason i pogładził w zamyśleniu brodę. – Ale obawiam się, że muszę przeprowadzić śledztwo. Czy wie pan, kim byli ci mężczyźni lub jaki mógł być motyw ich działania?

– Jestem równie zdezorientowany. Nic mi nie wiadomo, bym miał jakichś wrogów.

– Czy zauważył pan w nich cokolwiek charakterystycznego? Ton głosu, kolor włosów...

– Nic. Byli w maskach, rękawiczkach, cali na czarno. Nie odezwali się ani razu.

– Diabły! – krzyknął biskup i przeżegnał się odruchowo stetoskopem.

– Chwilę, chwilę, coś sobie przypominam. Tak... Jeden miał niebieskie znamię, pewnie jakiś tatuaż. Gdy mnie trzymał, miałem jego nadgarstek prawie pod nosem. Rękawiczka wysunęła się z rękawa i wtedy to zobaczyłem. Nie pamiętam szczegółów rysunku, ale z pewnością był niebieski.

– Który to był? – spytał kapitan. – Ten, co wypadł, czy ten, co uciekł?

– Tego nie wiem. Jak pan się zapewne domyśla, wtedy nie zwracałem na to większej uwagi.

– No tak. Istnieje zatem pięćdziesiąt procent szans, że ten człowiek wciąż jest na pokładzie. Ale jakiej wymówki użyć, aby przebadać nadgarstki wszystkich pasażerów? Załogę znamy dobrze, chociaż.. – Zamilkł na chwilę, jakby coś sobie przypominał. Nagle twarz mu pociemniała. Gdy znów się odezwał, głos jego brzmiał twardo i stanowczo. – Kapitanie Washington, proszę tu pozostać. Doktor zadba o pana, proszę wykonywać wszystkie jego polecenia. Niedługo wrócę.

Wyszedł bez wyjaśnień, zanim ktokolwiek zdążył sformułować najprostsze chociaż pytanie. Biskup zbadał Washingtona dokładniej, uznał, że poza wyczerpaniem nic mu nie dolega, i zaordynował odświeżający przeciąg, przeciw któremu pacjent zaprotestował uprzejmie, lecz stanowczo.

Washington leżał zamyślony i czekał. Jak potoczy się jego życie teraz, gdy przyjdzie mu pamiętać po wsze czasy o zbrodni tak okropnej? Trzeba będzie się z tym pogodzić, pomyślał. Gdy kilka minut później drzwi znów się otworzyły, Gus czuł się o kilka lat dojrzałszy. Zza pleców kapitana wyjrzeli pierwszy inżynier i drugi oficer. Między sobą trzymali w mocnym uchwycie ubranego na białą kuka.

To nie mógł być nikt inny. Wysoki, silnie zbudowany, w pokażnej białej czapie szefa kuchni. Niezbyt zdrowa cera, krótko przystrzyżony wąs i wyraz jakby zakłopotania na twarzy.

Z pewnym trudem przybyła czwórka wcisnęła się w komplecie do kabiny.

– To Jacques, nasz kuk. Służy tu, odkąd liniowiec wszedł do służby. U Cunarda pracuje ponad dziesięć lat. Mówi, że nie wie nic o wypadkach minionej nocy i najbardziej martwi się o pozostawione w piecu bułeczki. Jednak wiele razy podawał mi do stołu i jedno przy tej okazji zapamiętałem.

Szybkim ruchem ujął prawą rękę kuka, odwrócił ją dłońią na zewnątrz i unióś rękaw. Na bladej skórze rysował się wyraźnie niebieskawy tatuaż skomponowany z kotwic, lin, kwiatów i ogoniastych syren. Washington od razu poznał te znaki. To był ten człowiek, tyle że nie w bieli, lecz w czerni. Mimo wysiłków biskupa zerwał się z pościeli i stanął tuż przed kukiem.

– To ten. Ten właśnie mężczyzna próbował mnie zabić.

Kuk najpierw zdumiał się niebotycznie, po czym rozejrzył się niespokojnie i wbił wzrok w oczy oskarżyciela, jakby chciał sprawdzić jego wytrzymałość. Nagle obaj oficerowie poczuli, że ich więzień zaczyna drżeć, aż w końcu miast go powstrzymywać, musieli biedaka dźwigać, by nie upadł.

– Tak, to byłem ja – wyszeptał w końcu, jakby nie wytrzymując napięcia. – Ale zmuszono mnie, nie chciałem, Bóg mi świadkiem, że nie chciałem. *Sacre dieu!* Gdy padł pan nieprzytomny, mogłem dokończyć dzieła, mogłem pana wyrzucić, ale przecież tego nie zrobiłem. Darowałem panu życie, odszedłem. Proszę, niech pan nie pozwoli, by mnie dopadli, błagam. Nie targnąłem się na pana z własnej woli, nie chciałem ręki przyłożyć...

Raz zacząwszy opowieść, wyznał wszystko. Całe swe życie od chwili, gdy dwadzieścia lat temu postawił stopę na angielskiej ziemi. Był nielegalnym imigrantem, przyjaciele pomogli mu uciec z nękanego bezrobociem Paryża. Jednak potem przyjaciele ujawnili swe prawdziwe oblicza. Byli tajnymi agentami francuskiej monarchii. Prosty i często stosowany podstęp. Nigdy nie zawodził. Albo nam teraz pomożesz, albo wydamy cię angielskim władzom. A to oznaczałoby więzienie lub deportację. Tych przysług było coraz więcej, wszystkie zaś skrupulatnie odnotowywano, jako że pociągały za sobą naruszenia prawa, przydatne do podtrzymywania szantażu. Schwytanego ostatecznie w sieć gróźb przestano wykorzystywać. Uczyniono zeń tak zwanego uspiętego agenta, bombę tykającą w sercu kraju, który stał się jego nowym domem. Miał czekać na rozkazy. Gdyby odmówił, w niebezpieczeństwie znalazłby się nie tylko on, ale i jego rodzina. Był bezradny. I rozkaz przyszedł. Ten rejs, pewien pasażer, spotkanie o północy. I nocny dramat. W krytycznej chwili zrozumiał, że nie potrafi zabić z zimną krwią. Washington pokiwał głową ze zrozumieniem i poprosił, by odprowadzono załamanego kucharza. Rozumiał go aż za dobrze.

Dopiero później, kilkanaście minut przed lądowaniem w pobliżu nowojorskich doków, kapitan zdał Washingtonowi sprawę z dalszych wyników dochodzenia.

– O tym drugim nie wiemy praktycznie nic. Chyba nie był Francuzem. Zawodowiec. Żadnych notatek w bagażach, brak metek na ubraniach. Pusto. Ale był Brytyjczykiem: wszyscy, którzy z nim rozmawiali, zgodnie to przyznają. I musiał być

którzy z nimi rozmawiali, zgodnie w przyznają. I musiał być człowiekiem wpływowym, bo inaczej nie trafiłby na pokład w tym rejsie. Wysłaliśmy szczegółowy raport do Scotland Yardu, ci z nowojorskiej policji będą czekać na nabrzeżu. Zagadkowa sprawa. Nie domyśla się pan, kto aż tak źle panu życzy?

Washington zamknął walizkę i przysiadł w fotelu.

– Daję słowo, kapitanie, że do ostatniej nocy nie wiedziałem nawet, że mam wrogów. Przynajmniej takich, którzy byliby gotowi do współpracy z francuskimi tajnymi służbami. I zdolni do skrytobójstwa. – Uśmiechnął się krzywo. – O tyle dokładnie jestem teraz mądrzejszy.

## 6

### W jaskini lwa

Przejeżdżająca Trzecią Aleją ciężarówka wpadła w poślizg i odbiwszy się od jednej z podpór kolejowej estakady, wjechała na chodnik, ścięła hydrant, po czym przewróciła się i zaskłała ulicę ładunkiem. Różnokolorowe beły materiału potoczyły się we wszystkich kierunkach. Przypadek sprawił, że działo się to dokładnie naprzeciwko irokeskiego baru z grillem, miejsca nie słynącego ze spokoju i praworzędności. Bywalcy wylegli niezwłocznie za próg, by nacieszyć oczy taką ładną katastrofą. Ci i owi zaczęli brodzić w wodzie i ciekawie zaglądać do pakunków. Dzień był ciepły i słoneczny, większość miedzianoskórych mężczyzn paradowała naga od pasa w górę, ledwie w samych legginsach i mokasynach. No i w opasce z paroma piórami na głowie. Zaraz też zaczęli owijać się pasami materii i zaśmiewać do łez z tej przebieranki, chociaż nieco poobijany kierowca wygrażał im z wysokości przewróconej na bok szoferki. Na tym by się pewnie skończyło, gdyby w sąsiedztwie lokalu Wesola Woda nie posadził się w swoim



czasie pub Clancy'ego, przybytek o równie wątpliwej reputacji, odwiedzany jednak wyłącznie przez przybyszy z zielonej wyspy Hiberni. Odległe o dwie posesje lokale z dawna przysparzały kłopotów miejscowej policji i nikt nie przypuszczał, aby mogło się to zmienić w przyszłości, tak bliższej, jak i dalszej. Teraźniejszość też nie była inna. Słyszając gwar, Irlandczycy również wyszli na ulicę i z miejsca wzięli się do wygłaszania głośnych komentarzy o niektórych wrodzonych cechach Indian. Rezultaty były łatwe do przewidzenia i nie kazały długo na siebie czekać. Ktoś kogoś wyzwał, ktoś komuś przyłał i zaczęła się ogólna młócka.

Irokezi, którzy zgodnie z prawem musieli zostawiać swoje tomahawki i noże do skalpowania na rogatkach (lub w domach, jeśli byli mieszczuchami), uzbroili się szybko w oręż zastępczy pod postacią noży kuchennych i części grilla. Irlandczycy, po równi upośledzeni w tej kwestii przez przepisy, które zabraniały im pokazywać się publicznie z naprawdę ciężkimi dębowymi pałkami i tarninowymi kijami, sięgnęli po butelki i nogi od krzeseł. Okrzyki wojenne Indian zmieszały się z imionami świętych patronów i inwokacjami do Świętej Rodziny. Zabawa była przednia. Nikt nie zginął, rzecz jasna, ostatecznie cała zawierucha odbywała się tylko dla czystej rozrywki, ale odnotowano kilka złamanych rąk i żeber, zdobyto także jeden skalp, skromny wszakże, bo ograniczony do skrawka skóry i jednego pasma włosów. Przejeżdżający pociąg zagłuszył na chwilę radosną wrzawę, a gdy zniknął, było już za późno. Policyjne syreny wyły ze wszystkich stron. Ustawiona

w bezpiecznej odległości publiczność bawiła się, obserwując finał widowiska, a uliczni sprzedawcy łakoci krążyli między gapiami i powiększali skutecznie dzienny utarg. Widowisko jak trzeba.

Ian Macintosh był innego zdania. Nie tak wyglądało życie w Campbelltown czy w Machrihanish. Ci, którzy mieli szkockich górali za barbarzyńców, nie widzieli chyba nigdy kolonii. Dmuchał rozgłośnie przez nos, co łatwo mu przyszło, bo miał ten organ nader wyrazisty, jak zresztą wszyscy Macintoshe. Poza tym był mężczyzną szczupłym i jakoś szarym. Szary miał na sobie garnitur, siwoszare włosy, nawet skóra, gdy nie widywała słońca dość długo, także przybierała tę nijaką barwę. Tak więc okazały nos po prostu musiał rzucać się w oczy i nic dziwnego, że mimo pedanterii i zamyślenia do ksiąg nazwano niegdyś Iana Macintosha „Nosalem”, chociaż nikt nigdy nie powiedział mu tego prosto w oczy. Czy raczej prosto w nos.

Pospieszając Czterdziestą Drugą Ulicą, przeciął Trzecią Aleję i raz jeszcze sarknął, zegnając żalosne widowisko. Nie zwalniając kroku, zerknął na zegarek. Zdaży, oczywiście, że zdaży, przecież nigdy się nie spóźniał. Nawet na tak krępujące spotkania jak dzisiejsze. Ale trudno. Jak mus, to mus. Nie czekając na portiera, pchnął drzwi hotelu Commodore, sarknął na speszzonego biedaka na wypadek, gdyby mimo wszystko beczelnie domagał się niezасłużonego napiwku, i dokładnie o drugiej wszedł do środka. Niechętnie skonstatował, że Washington już czeka.

Uściskali sobie dłonie. w przeszłości bowiem snotykali się

już wielokrotnie, i dopiero teraz Macintosh zauważył opatrunek na twarzy Gusa. Washington nie czekał na wiadome pytanie.

– Świeży nabytek, niestety. Opowiem ci wszystko w taksówce.

– Nie wziąłem taksówki. Sir Winthrop przysłała po nas swój wóz. Niech tam, chociaż to wstyd wsiadać do czegoś tak pomalowanego.

– Samochód niekoniecznie musi być czarny – stwierdził rozbawiony Augustus, gdy wychodzili na podjazd od strony Park Avenue. Długi i żółty jak kanarek cord landau już na nich czekał. Rury wydechowe miał pokryte chromem, szprychy w kołach lśniły jak srebrne, a szofer przytrzymał drzwi. Gdy wsiadli, Gus podniósł szybę oddzielającą ich od kierowcy i zdał relację z wypadków na pokładzie liniowca.

– A to nie wszystko – zakończył. – Kuk nie potrafi powiedzieć nic więcej, policja zaś nie umie zidentyfikować jego szefa. Nie wie też, kto mógł go wynająć.

Macintosh sapnął głośno i zaraz pogładził się po nosie, jakby dziękował organowi powonienia za dobre odegranie kwestii.

– Wiedzą, wiedzą – stwierdził. – Dobrze wiedzą kto, i my też to wiemy, ale wiedzieć a udowodnić to dwie różne sprawy.

– Ale ja nie wiem – stwierdził zdumiony Gus.

– Jesteś inżynierem, Augustusie. Lepszym, niż ja będą kiedykolwiek, ale tak głęboko zagrzebałeś się w tunelu, że świata poza nim nie widzisz. Nie wiesz, co się dzieje na giełdzie czy na rynku ubezpieczeń.

Głęboko nie zagrzebałeś

– Cnyba nie nadążam.

– Pomyśl. Jeśli ktoś próbuje cię usunąć, znaczy to, że twoja praca przyprawia go o ostry ból głowy. Może to być ktoś bogaty wprawdzie, ale lękający się o utratę przyszłych zysków. Ludzie, którzy widzą nadciągające zagrożenie dla swych interesów, już teraz próbują mu się przeciwstawić. Są przy tym dostatecznie ustosunkowani, aby bez kłopotu dotrzeć do stosownych osób w Sûreté. Tamci zawsze z radością podejmują się wszystkiego, co tylko może zaszkodzić Brytanii. I kto pasuje do tego opisu?

– Nie mam pojęcia.

– Ależ ty bywasz naiwny! – Macintosh konspiracyjnym gestem położył palec na nosie. Nos jakby go wchłonił, wraz ze sporą częścią dłoni. – Pomyśl. Skoro my kopjemy pod wodą, to kto jest ponad nami?

– Statki powietrzne, ale dla nich tunel nie jest żadną konkurencją. I statki oceaniczne, ale... – Urwał nagle i spojrzał znacząco na Macintosha.

Szkot uśmiechnął się krzywo.

– Oczywiście nie znajdziesz żadnych nazwisk, żadnych oficjalnych dokumentów czy nawet notatek. Starczyło, że ktoś coś powiedział półgłosem, ktoś coś zasugerował, jakieś mgliste przypuszczenia, gdybania... Wspomnij Tomasza Becketa. Nie tyle rozkaz, ile półprywatna dyspozycja wydana przez kogoś nader ambitnego, pieniądze z ręki do ręki. Nie chciałbym cię straszyć, ale proponuję, byś zaczął na siebie lepiej uważać.

Samochód zatrzymał się przed jednym z najwyższych

budynków przy Wall Street. Gus wysiadł zamyślony. Budowa tunelu była czymś o wiele bardziej złożonym niż samo kopanie dziury pod Atlantykiem, jak sądził do tej pory. Między cienie swej profesji będzie też musiał wliczyć unikanie zabójców. Oraz potyczki z członkami rady i dyrektorami. Ale na to drugie był gotowy, w każdym razie przygotowywał się przez cały tydzień. Analizował fakty, dobierał argumenty. Owszem, ryzykował, było to jak skok w ciemność, w te właśnie mroki, które tak go niepokoiły, odkąd pojął, że będzie jednak musiał je wysondować. Jego kariera zależała od wyników dzisiejszego spotkania. Aż do wczoraj, kiedy to otwarła się pod nim otchłań o wiele groźniejsza, pełen był zwątpienia. Obecnie nabrał wiary w siebie. Trudno, jak trzeba, to trzeba. Da sobie radę.

Sir Winthrop już znał, uściśnął więc jego dłoń i został przedstawiony pozostałym członkom rady, których kojarzył tylko z nazwisk. No i otaczającej ich sławy. Dwudziestu jeden mężczyzn, sami pewni siebie indywidualiści, którzy swoje pozycje zawdzięczali tylko i wyłącznie własnej pracy. Teraz stawali się jednością, spójnym ciałem zbiorowym, które musiał przekonać. Gdy usiadł na wskazanym mu miejscu, zauważył, że spotkanie musi trwać już od jakiegoś czasu. Przynajmniej sądząc po popielniczkach. Stan spluwaczek nie był żadną wskazówką, jako że wszyscy zgromadzeni cieszyli się sławą dobrych strzelców. Wyraźnie i z rozmysłem zaproszono go na późniejszą godzinę, dając radzie czas na zapoznanie się z propozycjami dotyczącymi zmiany jego statusu. Czy była jakaś dyskusja? Atmosfera była w miarę swobodna, pomiędzy ciężkimi kotarami

unosila się woń kosztownych cygar, ten i ów wyglądał jednak na podenerwowanego. Zatem tutaj też nie osiągnięto jednomyślności. Gus spodziewał się czegoś podobnego. Potrafił wczuć się w sposób myślenia swych rodaków z kolonii i tak przygotował argumentację, by zbić po kolei wszystkie ich obiekcje.

– Panowie – zaczął sir Winthrop – już od jakiegoś czasu rozważaliśmy propozycję, bym ustąpił z mego stanowiska przewodniczącego na rzecz kapitana Washingtona, który będzie kierował pracami nad budowanym z Ameryki odcinkiem tunelu. Zmianę taką wymusza na nas katastrofalny stan finansów całego przedsięwzięcia. Z głosowaniem postanowiliśmy poczekać do chwili, gdy kapitan stawi się osobiście i będziemy mogli z nim porozmawiać. Oto on. Widzę, że pierwszy pragnie zabrać głos pan Stratton.

Pan Stratton podniósł się majestatycznie jak sęp i po sępiemu ubarwiony: czarny garnitur kontrastował ostro z bladą skórą. Spojrzał ponuro, uniósł oskarżycielsko palec i niezwłocznie zapłonął świętym oburzeniem.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli będzie nas reprezentował ktoś o nazwisku Washington. Błąd to straszny. Jeszcze trochę, a zaprosimy do rady Judasza Iskariotę, po czym pewnie przyjdzie kolej na Poncjusza Piłata i Guya Fawkesa...

– Stratton, bądź tak miły i przejdź do rzeczy. Ten wykład historyczny zostaw na inną okazję.

Słowa te padły z ust niewysokiego i raczej pulchnego mężczyzny z pokaźną białą brodą spływającą swobodnie na

niezaczyniły z pokazią białą skórą spływającą swobodnie na pierś. Kołysał się w krześle, w zębach trzymał wielkie, czarne cygaro. Przenikliwe spojrzenie przeczyło jednak pozorom – nie był to człowiek ani łagodny, ani dobrotliwy.

– Jak chcesz, Gould, ale wspomnisz jeszcze moje słowa. Niektórych spraw nie da się zapomnieć...

– A niektórych lepiej nie przypominać – rozległo się ponownie. – Minęło już prawie dwieście lat, a ty wciąż walczysz z rebeliantami. Starczy. Twoi przodkowie byli torysami, miło z ich strony, szczególnie że załapali się na zwycięstwo. Gdyby przegrali, wówczas może to George Washington kazałby ich rozstrzelać, tak jak oni namówili tego Niemca, króla Jerzego, do usunięcia Washingtona. Może to poczucie winy cię dręczy, co? I dlatego rozdrapujesz wciąż stare rany? Ja też miałem rozmaitych przodków, jeden z nich był zamieszany w sprawę. Niejaki Haym Solomon, stracił wszystko, finansując rewolucję, i skończył jako straganiarz na East Side. Czy to mi wadzi? Ani trochę. Głosowałem na tory – sów, bo to partia ludzi z kapitałem, a ja mam kapitał. Co było, nie wróci.

– Zatem dobierałeś sobie przodków równie pechowo jak Washington – warknął Stratton i zabulgotał wściekle, sugerując, że najchętniej rozwiązałby spór za pomocą broni palnej. – Na twoim miejscu nie chwaliłbym się takimi antenatami. Zresztą o ile opinia publiczna niewiele wie o twoich dziadach, to nazwisko Washington jest powszechnie znane. Ameryka zaprotestuje wielkim głosem przeciwko podobnej hańbie.

– Bredzisz jak nawiedzony, Henry – odezwał się rosły

mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem. Jedyńy przy stole nie zdjął nakrycia głowy i mówił z wyraźnym teksaskim akcentem. – Na Zachodzie dobrze pamiętamy, gdzie leży Nowa Anglia, i mało nas obchodzą wasze jankeskie swary. Jeśli ten gość jest dobrym inżynierem i potrafi jeszcze korzystnie sprzedać całą tę sprawę, to wynajmijmy go i po krzyku.

– Też jestem za – zadudnił siedzący nieco dalej miedzianoskóry. – Wszyscy Indianie wiedzą, jacy naprawdę są biali. Zbyt wielu z nas zginęło przed zawarciem pokoju w tysiąc osiemset sześćdziesiątym. Gdyby na ziemiach ludu Cherokee nie odkryto ropy, nigdy bym tu nie zasiadł. Teraz mówię: zatrudnijmy go.

Wymiana zdań trwała jeszcze dobrą chwilę, aż przewodniczący puścił młotek w ruch. Skinął na Gusa, który wstał i spojrzał na zebranych.

– Pan Stratton poruszył bardzo istotną kwestię. Jeśli nazwisko Washington zaszkodzić ma sprawie tunelu, należy pomyśleć o tym już teraz. W najgorszym razie wycofam się niezwłocznie. Mam jednak wrażenie, i jak słyszę nie jest to wyłącznie moje odczucie, że czasy się zmieniły i pora zapomnieć o dawnych urazach. Odkąd trzynaście pierwszych stanów nie zdołało utworzyć własnego rządu, ich liczba wzrosła do trzydziestu jeden.

Do rangi kolejnego stanu aspiruje obecnie Kalifornia. Żyją w tym kraju liczne plemiona Indian, których nie obchodzą nasze spory. Wódz Sunflower ma rację. Jest tu wielu uchodźców z Europy Środkowej, którzy umknęli przed wichrami wojen



bałtyckich. Są Żydzi ocaleli z pogromów w Rosji, Holendrzy, których runięcie tam zmusiło do emigracji, Szwedzi unykający z okupowanej przez Duńczyków ojczyzny. Ludzie z różnych krajów, różnej narodowości. I dla nich wszystkich nasze dawne właśnie to tylko zamierzchła historia. Usłyszawszy o możliwości zainwestowania swoich pieniędzy, pytają raczej o wysokość odsetek niż o los mojego pradziada. Dziś nie ma on już znaczenia. W przeciwieństwie do planu, który gotów jestem przedstawić. Wysłuchajcie mnie, a potem dopiero zadecydujcie, czy kwalifikuję się na to stanowisko. Nie chcę, byście kupowali kota w worku. Stoicie przed wyborem nie tyle osoby, ile koncepcji. Jeśli uznacie ją za godną uwagi, to mnie wybierzeć. Jeśli nie tego wam trzeba, to wrócę do budowy angielskiego odcinka i sprawa stanie się niebyłą.

– Wreszcie rozsądne słowa. Wysłuchajmy chłopaka.

Prawie wszyscy poparli propozycję i samotny głos Strattona zginął w zgiewku. Gus otworzył neseser i wyjął przygotowaną starannie dokumentację.

– Panowie, jedynym moich celem jest uratować tunel, i oto, jak zamierzam tego dokonać. Jestem inżynierem i staram się myśleć praktycznie. Jeśli jedynym środkiem do osiągnięcia tego celu będzie ustawienie się na froncie korporacji niczym galion, to wdrapię się na dziób i będę udawał posąg. Jednak to tunel pozostanie dla mnie najważniejszy. Brytyjska rada uznała, że jeśli kierownictwo tutejszego odcinka trafi w moje ręce, wówczas opinia publiczna Nowego Świata uzna tę inwestycję za przedsięwzięcie w znacznej mierze amerykańskie. Za swoje. Nie

prześlę więc w zbroznej formie ankiety. Za swoje. I nie pragnę zastąpić pana Macintosha we wszystkim, a jedynie wesprzeć go, abyśmy mogli działać, że tak powiem, w podwójnym zaprzęgu. Mam nadzieję, że zostanie moim pierwszym zastępcą w sprawach konstrukcyjnych i przełożonym w materii organizacji i kooperacji, w tym bowiem jest ekspertem.

Sapnięcie dało znać, że kwestia ta nie uszła uwagi stosownych uszu.

– Mój udział w pracach rady ograniczałby się zaiste do roli ozdobnego galionu, chociaż ze zrozumiałych względów wołałbym, aby ta informacja nie wyciekła poza ściany sali obrad. Nie jestem finansistą i mam nadzieję, że sir Winthrop dalej piastowałby swój urząd *pro tem*, przynajmniej do czasu, gdy będę zdolny publicznie wywiązać się i z tych obowiązków. Chciałbym zbudować tunel dobrze i szybko, aby inwestycje naprawdę zaczęły się zwracać. To moje podstawowe zadanie. Drugim jest takie przedstawienie sprawy opinii publicznej, iżby przyciągnąć pod nasze sztandary nowych inwestorów. I zwiększyć nasz kapitał.

– Słuchajcie, słuchajcie! – krzyknął ktoś. – A jak to zrobić?

– W następujący sposób. Musimy porzucić dotychczas stosowane technologie i poszukać metody tańszej i szybszej, która zaangażuje dodatkowo w budowę nowe działy gospodarki. To ożywi rynek, a o to przecież, jak wiem, chodziło od początku.

– Czy sir Isambard wie o tym zamiśle? – spytał głośno

Macintosh. Ublicze mu poczerwieniało, nozdrza rozduły się niczym miechy.

– Szczerze mówiąc, nie wie. Chociaż dyskutowaliśmy wielokrotnie o tym projekcie. Wybrał jednak technikę tradycyjną z zamiarem trwania przy niej tak długo, aż udowodni ona swoją niepraktyczność. Dopiero wtedy zamierzał spróbować innych metod. Uważałem, że to błąd, ale będąc tylko pracownikiem, nie mogłem nic zrobić. Teraz, mając szansę na uzyskanie samodzielności decyzyjnej, chciałbym skorzystać z nowej zupełnie techniki, aby...

– Wbić mu sztylet w plecy!

– Nic podobnego.

– Nie przerywaj chłopakowi, Scotty! – zawołał Tekszańczyk.

– Na razie mówi całkiem do rzeczy.

Zdobył już ich uwagę, u kilku nawet sympatię. Pozostało jeszcze przekonać szanowne grono. Sięgnął po odbitkę i na sali zapadła martwa cisza.

– Obecnie budujemy tunel z użyciem tarczy. Wwiercamy się w ziemię, potem obkładamy wykop metalowymi osłonami, montujemy zbrojenie i tłoczmy beton. Gdy ten zastygnie, przesuwamy obudowę kroczącą dalej. To nowoczesna technika. Tempo budowy jest zmienne i zależy od tego, na jakie podłoże trafiamy, nigdy jednak nie przekracza trzydziestu stóp na dobę. Całkiem sporo, przynajmniej do chwili, gdy przypomnimy sobie, jak rozległy jest Ocean Atlantycki. Jeśli utrzymamy tę szybkość, a to trudno zagwarantować, oba odcinki tunelu spotkają się pośrodku Atlantyku za jakieś sto pięć tysięcy dni. To znaczy,

panowie, że budowa dobiegnie końca za ponad dwieście lat.

Rozległ się łatwy do przewidzenia pomruk. Ten i ów sprawdził szybko obliczenia.

– Zgadza się, to może odebrać chęć do działania. Dla większości inwestorów tak długi termin nie będzie atrakcyjny. Szczęśliwie jednak sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Proponowana przeze mnie metoda znacznie przyspieszy realizację projektu, ożywiając jednocześnie wiele dziedzin amerykańskiej gospodarki, a szczególnie stocznie, stalownie, chociaż nie tylko. Czas budowy skróci się zaś do około dziesięciu lat.

W spojrzeniach członków rady pojawiła się zarówno konsternacja, jak i wyraźne podekscytowanie. Ponad gwar wybił się głos jednego dżentelmena, który przemówił za wszystkich:

– Ale jak?! Chcę wiedzieć, jak można tego dokonać!

– Oto jak. Proszę spojrzeć na rysunek. To przekrój długiej na dziewięćdziesiąt stóp sekcji wykopu. Składa się ona z dwóch równoległych tuneli kolejowych i trzeciego, znacznie mniejszego, położonego poniżej pozostałych. Ten trzeci, zwany serwisowym, drażony jest z pewnym wyprzedzeniem wobec pozostałych, co daje nam możliwość stwierdzenia, z jakim podłożem będziemy się borykać. Między tunelami kolejowymi co pewien czas kopie się poprzeczne połączenia. Powstaje struktura dość złożona i postęp trzydziestu stóp dziennie to całkiem niezły wynik. Tyle że do przebycia mamy tysiące mil. Stąd i moja propozycja. Być może widać się wam ona nabyt nowatorska. ale z pewnością że

została już sprawdzona, i to tutaj, w tym kraju. Tak właśnie zbudowano tunele pod zatoką Delaware i rzeką Missisipi. Poza Ameryką stosowano ją przy budowie tunelu pod zatoką u brzegów Hongkongu. Sedno sprawy tkwi w tym, że kolejne sekcje tunelu powstają na lądzie, potem woduje i holuje się je na miejsce przeznaczenia i tam zatapia. Konstruowane w najlepszych możliwych warunkach, kontrolowane następnie dokładnie w poszukiwaniu ewentualnych błędów, trafiają na plac budowy wolne od usterek i gotowe do montażu. Pojmujecie, panowie, co to oznacza? Wzdłuż wybrzeża atlantyckiego i nad Zatoką Meksykańską powstaną nowe stocznie, by wraz z tymi dziś już istniejącymi prefabrykować sekcje tunelu. Pracy starczy nawet dla tych znad Wielkich Jezior i Rzeki Świętego Wawrzyńca. Zapotrzebowanie na stal i cement skoczy niemal z dnia na dzień. A to oznacza zarobek, oznacza kontrakty dla wszystkich, którzy będą potrafili sprostać naszym wymaganiom. Gospodarka otrzyma niepowtarzalny bodziec do rozwoju. Tunel powstanie, a wraz z nim nasz kraj ożyje na nowo!

Rozległy się oklaski i wiwaty: Gus zaraził radę entuzjazmem. Uwierzyli mu. Wielu zabrało się do pospiesznych kalkulacji, szybko sprawdzono w „Wall Street Journal” aktualne kursy stali i cementu. Zastukały kieszonkowe telegrafy: to gracze giełdowi, nie marnując czasu, kontaktowali się ze swoimi brokerami. Tylko jedna osoba nie podzielała powszechnego entuzjazmu. Macintosh odczekał, aż gwar umilknie.

– Trzeba niezwłocznie poinformować sir Isambarda. Żadna

zmiana nie może zostać zatwierdzona bez jego aprobaty.

Propozycja została przyjęta gwizdami i szyderstwami.

– Nie sądzę, aby to było konieczne – powiedział w końcu sir Winthrop. – Spotkaliśmy się, by zażegnać widmo braku funduszy. Gdyby nie to poważne i realne zagrożenie, kapitan Washington nigdy nie stanąłby przed nami. Skoro jednak tak się stało, musimy pamiętać, że teraz to on ma wolną rękę w podejmowaniu decyzji. Tak, panowie. Pamiętajmy też, że jeśli projekt nie spotka się z żywym odzewem po tej stronie oceanu, tunelu nie będzie. Rozumiem, że proponowana metoda daje nam szansę powodzenia. Skoro tak i skoro nie możemy zaproponować żadnej alternatywy, to musimy ją przyjąć. Nie widzę innego rozwiązania.

Padło jeszcze wiele pytań, a Washington odpowiadał na każde szczerze i dokładnie. Tylko dżentelmen z Nowej Anglii nie krył niezadowolenia.

– Wspomnicie moje słowa. To będzie katastrofa. Imię Washingtona położy się haniebnym cieniem..

Krzykiem zażądano od gościa, by się przymknął. A nawet gorzej.

– Oskalpować go! – zaproponowano i chociaż trudno byłoby pozbawić czupryny kogoś, kto sam dawno się z nią rozstał, to mówca odruchowo zasłonił łysinę dłońmi i, samotny w swoim sprzeciwie, siadł jak niepyszny.

Głosowanie przebiegło w dość frywolnej atmosferze. Gdy gwar nieco ucichł, Macitnosh wstał raz jeszcze. Trząśł się ze złości.

– Niech i tak będzie. Nie będę gardłował na próżno. Ale zważ, co czynisz temu, kto zaprojektował ten tunel. – Macintosh wycelował palec w Washingtona. – Temu, kto przyjął cię pod swój dach i z którego córką, jak wiem, jesteś zaręczony. Czy pomyślałeś, że może to dotknąć i ją?

Zapadła cisza. W szlachetnym z gruntu zapale, by bronić szefa i przyjaciela, Macintosh przekroczył granice dobrego wychowania i wkroczył na obszar osobistych wycieczek. I chyba natychmiast sam zrozumiał swój błąd, bo zbłądł i usiadł. Wstał jednak, gdy Washington nań spojrzał. Był wyraźnie poruszony, chociaż gdy się odezwał, przemówił głosem spokojnym i opanowanym: – Cieszę się, że ta sprawa została poruszona już teraz, gdyż z pewnością ktoś w końcu byłby mi zadał to pytanie. Po pierwsze, wciąż niezmiennie darzę sir Isambarda wielkim szacunkiem, jako mojego mentora i pracodawcę, i nie żywię wobec niego żadnych innych uczuć. Postanowił, że nie będziemy się spieszyć z wykorzystaniem tej nowej metody i tak by się stało, gdyby nie brak pieniędzy i presja czasu. Musimy zatem sięgnąć po inną technikę, która nie jest mu wszakże obca, nawet jeśli nie jest skłonny jeszcze z niej skorzystać. Życzę sir Isambardowi jak najlepiej i rozumiem jego stosunek do mnie. Kto sam stanął na Olimpie, nie posunie się chętnie, by zrobić miejsce innym. A sir Isambard jest największym konstruktorem naszych czasów. Gdy dowiedział się o mojej londyńskiej nominacji, poczuł się osobiście urażony. I to też potrafię zrozumieć. Zakazał mi wstępu do swego domu. Trudno go winić, gdyż w swoim mniemaniu czyni słusznie.

Zażądał również zerwania moich zaręczyn z jego córką, co też się dokonało. Mogę wam jedynie powiedzieć, panowie, że żałuję, iż tak się stało. Ale trudno. W pewnym sensie może to i lepiej, nic bowiem mnie nie krępowało przy podejmowaniu właściwej decyzji. Właściwej nie tyle dla mnie, ile dla tunelu. Pieniądze napłyną i tunel zostanie zbudowany tak, jak wam przedstawiłem.



# **Księga druga**

**W głębinie**

# 1

## Niezwykła podróż

Gdyby nie szum stworzonych przez człowieka mechanizmów, w małej kabynie panowałaby cisza niemal absolutna, typowa dla głębokości trzydziestu fathomów pod powierzchnią Atlantyku. Na górze fale mogą wyrastać z hukiem jak domy, błędzące w wiecznych mgłach Wielkiej Ławicy Nowofundlandzkiej statki dąć mogą w syreny, a tutaj zawsze panuje spokój, którego nie mącą nawet jęki, piski i mlaskania typowe dla wyższych stref oceanu. Miniaturowy pojazd podwodny nie napotykał na swojej drodze ani delfinów, ani ryb, ani krewetek. Wieczne królestwo ciszy. We wnętrzu wibrował jedynie szum elektrycznych silników napędowych, szept klimatyzacji i tykanie zawieszzonego na grodzi przed sternikiem zegara z kawką. Gdy umilkły rozmowy, czasomierz udowodnił niezbicie, że jest najgłośniejszym urządzeniem na pokładzie. Sternik uchwycił znaczące spojrzenie pasażera i uśmiechnął się pod nosem.

– Widzę, że zauważył pan mój zegar, kapitanie – powiedział

z niejaką dumą.

– Istotnie – stwierdził Washington, nie dodając wprawdzie, że sztuką byłoby ptaszarnię przeoczyć. – To nie podróbka?

– Oryginalny, i to jeden z pierwszych, jakie powstały. To mój dziadek zaczął budować zegary z kawką po tym, jak ujrzał w sklepie przy O’Connell Street zegar ze Schwarzwaldu. Tamten był z kukulką, jak słyszałem, i zafascynował mojego ojca, który pomyślał zaraz, że mógłby przecież zostać zegarmistrzem. Gdy wrócił do domu w Cashel, wziął się do roboty, tyle że zamiast kukulki, ptaka paskudnego, podrzucającego jajka do cudzych gniazd, dodał kawkę wyglądającą z takiej nieco zrujnowanej wieży. Bo w takich właśnie miejscach zwykle trafia się na kawki. I już. Zrobił ten jeden, potem drugi, a potem chwyciło, głównie u angielskich turystów zaglądających w tamte strony, by obejrzeć zamek i skałę, i zanim zdążyłby pan powiedzieć „Brian O’Lynn”, zrodził się z tego cały przemysł. Teraz ojciec ma nawet swój pomnik na głównym placu w Cashel.

Jakby dla spuentowania tego panegiryku zegar wybił godzinę, kawka wychynęła z okna ruinki opactwa, za – krakała melodyjnie dwa razy i schowała dziób.

– To już druga? – zdumiał się Washington, zerkając na swój zegarek. Pokazywał mniej więcej to samo co klasztorny drób. – Czy płyniemy z maksymalną szybkością?

– Cała naprzód, kapitanie. *Nautilus* daje z siebie wszystko. – Sternik pokazał, że dźwignia przyspieszenia przesunięta została do oporu. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Wyłączył zewnętrzne światła, by poprawić widoczność.

Gdzieś w górze majaczył lekko zielonkawy poblask, w dole panowała wieczna noc. Jednak gdy oczy przywykły nieco do mroku, daleko w otchłani zabłyszczały światła. Najpierw jedno, potem kilka, w końcu cała konstelacja. Znak, że człowiek zaczął gospodarować tam, gdzie dotąd nie było niczego.

Pierwsza wyłoniła się z ciemności maszyna: wielka, przysadzista i nade wszystko szpetna. Usadzona na dnie oceanu, przypominała most, gdyż w dziewięćdziesięciu procentach tworzyły ją otwarte na wielkie ciśnienie kratownice. Miała liczne, masywne manipulatory i gaśienice pozwalające jej pełzać po dennym mule. Z tyłu lśniły krągłe komory zawierające silniki elektryczne i napędzający całość reaktor atomowy. Inne, mniejsze motory ożywiały przekładnie, z przodu zaś widniała najważniejsza część konstrukcji: sterownia i kabiny załogi. Przedziały mieszkalne były samowystarczalne. Obsada mogła miesiącami przebywać w komfortowo urządzonych, klimatyzowanych wnętrzach, nie wyglądając na powierzchnię. Jednak obszerny moduł mieszkalny karłał dziwnie w zestawieniu z całością maszyny, zupełnie jak dzwonek zamontowany na kierownicy roweru. Z rowerem całość też miała jakby coś wspólnego.

Konstruktorzy nazwali swe dzieło Challenger Mark IV Dredger, jednak pracujący na dnie nadali mu imię Pełzak. Zapewne dlatego, iż poruszała się z szybkością ledwie mili na godzinę. Obecnie jednak nie pracowała ani nie wędrowała, i dobrze, bo w takich chwilach nie dawało się jej nigdy ujrzeć snoza chmurv szlamu ciemniejszego niż nailenszv atrament

wydzielany przez największe kałamarnice. Manipulatory wgrzały się w dno oceanu, a wyrzucane pod ciśnieniem strumienie wody wypłukiwały w nim koryto. Osady i piach trafiały następnie do ssaw i na przenośniki, które wyrzucały ładunek z dala od placu budowy. Tam, gdzie znikало światło, pozostawały jeszcze dźwięki i operatorzy maszyny obserwowali pracę na ekranach sonaru. Chwilowo Pełzak milczał, jego czerpaki i ssawy sterczyły uniesione nieruchomo z dala od gotowego odcinka wykopu.

Jego miejsce zajęły inne urządzenia. Poczwarma maszynka z podajnikami jak kominy sypała żwir do bruzdy. Cofnęła się, a woda rychło odzyskała klarowność. Pora na ostatni etap. Z góry zjeżdżał powoli masywny kształt prefabrykowanej sekcji tunelu. Długi na sto stóp blok żelazobetonu pokrytego od zewnątrz wieloma warstwami odpornych epoksydów. Grube kable łączyły go z pontonami, sam bowiem nie miał żadnej pływalności. Na razie jeszcze otwarty z obu stron na morze, zbliżał się do miejsca montażu popychany przez cztery niewielkie pojazdy podwodne, siostrzane jednostki *Nautilusa*. Gdy sekcja znalazła się dokładnie tam, gdzie trzeba, napełniono zbiorniki balastowe pontonów i fragment konstrukcji osiadł na żwirowej podsypce. Mimo swoich rozmiarów trafił idealnie w złącza poprzedniej sekcji. W miejscu połączenia zaroilo się od pojazdów podwodnych. Najpierw ustawiły manipulatorami hydrauliczne obejmy, które przycisnęły do siebie oba segmenty. Nasunięto gumowe uszczelki, potem jeszcze płyty osłony, na koniec różnego rodzaju otoczki, które przykryły

koniec zas inne maszyny otoczyły złącze szybko tężejącym bekoniem, który ostatecznie utrwalił spoinę.

Wszystko odbywało się w największym porządku, zupełnie jak w dobrze zorganizowanym mrowisku. Gus jednak odbiegł myślami na bok, gdzie piętrzył się mroczny i ponury kształt. Przez krótką chwilę przyszłość budowy zawisła na włosku.

Zmasakrowana sekcja tunelu wbiła się głęboko w osady denne.

Kiedy to się zdarzyło? Ledwie dobieć temu. Wczoraj. Trudno zapomnieć coś takiego. Kable trzasnęły nagle i masa żelazobetonu runęła w dół, prosto na Pelzaka. Nie sama. Uczepiony chropawej powierzchni pozostał tylko jeden pojazd. Jego operator włączył pełną moc i odchylił tor opadania sekcji na tyle, że spadła z boku trasy. Ocalił tych na dole, sam jednak zapłacił cenę najwyższą. Uderzywszy w dno, wielotonowy fragment tunelu nie zleżał nieruchomo, tylko odbił się jeszcze i ugodził kruchą łupinkę niczym młot. Trudno powiedzieć, ilu by zginęło, gdyby nie ten jeden. Nazywał się Aloysius O'Brian. Pierwszy z poległych przy budowie. Jeśli w ogóle można uznać śmierć za chwalebna, to jego była z pewnością właśnie taka. Jego imię zostanie wyryte na specjalnej tablicy. I nie tylko jego zapewne: Washington zdawał sobie sprawę, że tak wielkie przedsięwzięcie pochłonie jeszcze wiele żywotów. Sternik zauważył, gdzie patrzy jego pasażer.

– Dobry był gość z tego Aloysiusa, chociaż pochodził z Waterford. Irlandczycy to wspaniali podwodniacy i nic w tym przesady, a gdyby ktoś kiedyś wątpił, to niech pan opowie

o tym tu i o tym, co zrobił i czemu ma nagrobek wielki jak góra. Ale nie ma się co gryźć, kapitanie.

Zastępcza sekcja jest już w drodze, minie trochę, zanim nadrobimy zaległości, ale i z tym się справimy.

– Oby tak było, O’Toole. Oby.

W górze zamajaczył następny odcinek. Gus wiedział, że tuż za nim ciągną kolejne, a holowniki wyciskają całą moc z maszyn. Spoczął miękko za dwiema gotowymi już sekcjami prowadzącymi z kesonu, który pewnego dnia utworzy przystanek Wielka Ławica. Ocean miał w jej okolicy ledwie kilkadziesiąt metrów głębokości i usypanie sztucznej wyspy nie było zadaniem ponad siły. Rzesze barek tak długo wysypywały kolejne ładunki piasku i kamieni, aż wierzchołek wyjrzał ponad fale. Gus spojrzął na zegarek i wskazał na górę.

– Wychodzimy – rozkazał.

Wynurzyli się tuż obok pływającego doku. Magnetyczne obejmy stuknęły o kadłub i przeniosły go na stanowisko. O’Toole otworzył zdalnie włazy i świeże, oceaniczne powietrze owiało twarz Gusa, który wspiął się zaraz na pokład. Słońce zaszło, gdy byli pod wodą; rozpraszana sztucznie za dnia mgła napływała gorliwie, jakby chciała nadrobić stracony czas. Nawet w doku pochłodziło, ale ostatecznie byli daleko na północy, był już wrzesień. Z góry opuszczono drabinkę i Gus wspiął się na galerijkę doku. Czekający tam marynarz zaszalutował przed nim.

– Kapitan pozdrawia, sir, i mówi, że statek już czeka i że odbijamy, jak tylko wejdzie pan na pokład.

Gus poszedł za nim. Po drodze ziewał mało dyskretnie, miał

bowiem za sobą długi dzień. Wstał jeszcze przed świtem, jak zwykle zresztą od niepamiętnych miesięcy. Gdy spojrzął przy goleniu w lustro, ledwie poznał to blade indywiduum z podkrążonymi oczami i siwizną na skroniach. Zmęczenie, brak słońca... Ale nie żałował, bo gra warta była świeczki. Szkoda tylko, że tę właśnie noc, jedną z nielicznych nadających się do przespania, spędzić miał na pokładzie HMS *Boadicea*, jednostki zwanej z czułością przez załogę Falolamaczem, jako że nawet mocno wzburzone wody nie były dla niej żadną przeszkodą. Poduszkowce weszły na służbę Królewskiej Amerykańskiej Straży Wybrzeża zupełnie niedawno. Nawet w umiarkowanym sztormie osiągały prędkość pięćdziesięciu węzłów i mogły poruszać się zarówno po oceanie, jak i na lądzie czy mokradłach. Marzenie agentów celnych i zmora przemytników, jednak przy pełnej szybkości jednostka trzęsła niczym wóz drabiniasty na polnej drodze i nie dawała najmniejszych szans na spokojny wypoczynek. Kapitan Stokes czekał u szczytu trapu. Uśmiechnął się szczerze i ucisnął mocno dłoń Washingtona.

– Miło pana gościć na pokładzie, kapitanie Washington – powiedział spokojnie. – Oddać cumy! – huknął niczym armata. – Zapowiada się umiarkowany stan morza, więc wyciągniemy z pięćdziesiąt pięć węzłów. Na miejscu powinniśmy być o świcie. A, mamy na pokładzie reportera, uparł się, że zabierze się z nami. Chyba to panu nie przeszkadza?

– Ani trochę, kapitanie. Opinia publiczna to dla nas wszystko i reporterzy zawsze są mile widziani.

Dziennikarz czekał w mesie oficerskiej. Wstał widząc



DZIECIUKAŁZ CZERKAŁ W HESIE OUCIEŚKIEJ. Wstał, wzięc Washingtona. Był mężczyzną rudawym i mocno zbudowanym, ubranym w kraciasty garnitur i melonik, które to nakrycie głowy stało się tradycyjnym znakiem wszystkich ludzi prasy. Należał wyraźnie do nowego gatunku reporterów elektronicznych. Z plecaka wystawał mikrofon magnetofonu. Miał też aparat fotograficzny.

– Biamonte z nowojorskiego „Timesa”. Szczęściarz, który wyciągnął zapalkę bez łebka i zagarnął całą pulę, bo miejsce było tylko dla jednego. Tak więc reprezentuję też AP, UP, Reutersa, „Daily News” i jeszcze wielu innych. Mam kilka pytań...

– Na które z miłą chęcią zaraz odpowiem, tyle tylko, że nie byłem jeszcze nigdy na pokładzie poduszkowca i chciałbym zobaczyć najpierw, jak rusza w rejs.

Wszystko poszło bardzo sprawnie. Nim jeszcze oddano wszystkie cumy, dwa wielkie śmigła na rufowych wieżach zaczęły się już obracać. Równocześnie uruchomiono wirniki nośne, a wielka jednostka drgnęła i uniosła się na przeszło dziesięć stóp nad powierzchnię wody. Śmigła napędowe zmieniły się w srebrzyste dyski i *Boadicea* odbiła od nabrzeża. Obie wieże obróciły się lekko i silniki zawyły pełną mocą. Poduszkowiec przyspieszył gwałtownie, biorąc kurs na południe. Płyty pokładu, szyby i wszystko w miarę ruchome lub sprężyste zadzwoniło od gwałtownej wibracji. Gus czym prędzej schronił się na kanapie. Biamonte usiadł naprzeciwko i włączył swoje urządzenia.

– Jak będzie, kapitanie Washington? Zwycięzimy? To pytanie jest obecnie na ustach wszystkich.

– Tu nie chodzi o zwycięstwo czy przegraną. Przypadek sprawił, że amerykański odcinek dochodzi do krawędzi szelfu kontynentalnego niemal w tym samym czasie co brytyjski. Anglicy kończą już swoją stację na ławicy Great Sole. Ale to nigdy nie był wyścig. Obie ekipy pracują w innych warunkach, różną mają nawet odległość do pokonania.

– Właśnie, i dlatego ten wyścig, którego pan wyścigiem nazwać nie chce, jest taki ekscytujący. Amerykański tunel jest trzykrotnie dłuższy od angielskiego...

– Nie trzykrotnie.

– No, ale i tak jest dłuższy, to musi pan przyznać. Zbudować aż o tyle więcej w tym samym czasie to prawdziwe zwycięstwo. Zwycięstwo w amerykańskim stylu. Powód do dumy. A będzie jeszcze piękniej, jeśli przejedzie pan cały nasz tunel i zdąży do Londynu akurat w porę, by wsiąść uroczyście do pierwszego angielskiego pociągu. Czy zamierza pan nim pojechać?

– Jak najbardziej.

Poduszkowiec osiągnął maksymalną szybkość i trzął się jak zdezelowana ciuchcia na rozjazdach. Nieco spocony z wrażenia Biamonte połuźnił kołnierzyk. Doprawdy, ludzie o delikatnej kondycji nie powinni korzystać z tego środka transportu. Tak czy inaczej dziennikarz nie przerwał indagacji.

– Czy zniszczenie jednego z segmentów nie zmniejsza naszych szans na zwycięstwo?

– Naprawdę, wolalbym, aby nie traktował pan sprawy

w kategorii wygranej lub przegranej. A co do pytania, to ten wypadek nie zmienia zasadniczo niczego. Już wcześniej zleciliśmy budowę rezerwowych sekcji na wypadek jakichkolwiek nieprzewidzianych zdarzeń. Ostatnia jest już w drodze i zostanie zamontowana w nocy.

– Jak skomentuje pan fakt, że J. E. Hoover z Kolonialnego Biura Śledczego, konkretnie z filii CBI na Long Island, twierdzi, że był to akt sabotażu i że ma już podejrzanego pod kluczem?

– Nie skomentuję tego. Wiem o sprawie tyle samo, ile pan.

Gus zacisnął zęby, aby nie zdradzić, że nie była to wcale pierwsza próba zaszkodzenia projektowi, jednak dziennikarz i tak niczego by nie zauważył. Zieleniał z wolna, głos mu się załamывał, oczy robiły się jakieś szkliste.

– Od czasu wypadku wasze szansę u bukmacherów spadły z pięciu do trzech przy tych samych stawkach. Interesuje pana, jakie sumy postawiono na pańskie punktualne przybycie do Londynu?

– Ani trochę. Wśród licznych moich wad nie ma zamiłowania do hazardu.

– A jakie są te wady?

– Między innymi skłonność do nieudzielania odpowiedzi na tak sformułowane pytania.

Uśmiechnęli się, chociaż grymas dziennikarza był dość wymuszony. Wiosenna trawka na jego obliczu dojrzała soczystą zielenią. Słowa ledwo wydostawały się z ust:

– A mówiąc poważnie... czy może pan wyjaśnić... czemu maia służyć te stacje na dnie oceanu

...mają stacje w stacji... na dnie oceanu.

– Jasne. Gdyby spojrział pan na plastyczną mapę świata z zaznaczoną rzeźbą dna oceanów, wtedy zauważyłby pan, że wody otaczające Amerykę Północną Wyspy Brytyjskie są dość płytkie. Szelf kontynentalny jagnię się wzdłuż brzegów Kanady, Nowej Fundlandii z do Wielkiej Ławicy, gdzie mamy urwisko bardziej strome niż jakakolwiek góra na lądzie. Widział pan sztuczną wyspę zwaną stacją Wielka Ławica. Usypano ją na głębi liczącej sześćdziesiąt sześć stóp. Za urwiskiem dno opada jednakże o piętnaście tysięcy stóp, trzy mile. Brytyjska stacja Dwusetna Miła na ławicy Sole Bank stoi na czterdziestu dwóch stopach i też ma przed sobą trzymilowy spadek. Te dwa punkty wyznaczają kres płycizn, dalej przyjdzie nam budować inny tunel i korzystać z innych pociągów. Stąd konieczne są stacje węzłowe oraz...

Urwał, bo reporter przycisnął nagle dłonie do ust i jednym skokiem wypadł za próg. Gus wiedział, że niektórzy źle znoszą kołysanie, sam jednak nigdy niczego podobnego nie doświadczył. Wszelako mdłości nawiedziły dziennikarza akurat w porę, by nieco odetchnąć. Porozmawiawszy z kapitanem o nowej jednostce, Washington skorzystał skwapliwie z propozycji zajęcia kajuty kapitańskiej. Łóżko było niemal wygodne i Gus zaraz zasnął. Głęboki sen nie był jednak w tych warunkach możliwy. Washington otworzył oczy, zanim jeszcze pojawił się chłopak z mesy. Przyniósł pękaty pojemnik z kranikiem.

– Kawa świeżo z termosy, sir. Z cukrem i śmietanką, mam

nadzieję że pan taką lubi. Proszę tylko zassać ten zaworek na górze i można pić bez ryzyka, że się człowiek ochłapie. To bardzo proste, przynajmniej gdy złapie się metodę.

Istotnie, kawa była dobra. Gus umył się, ogolił i odświeżony wkroczył na mostek. Niebo na horyzoncie jaśniało zapowiedzią świtu, chociaż przed dziobem panowała jeszcze rozgwieżdżona noc. Tam też ciemniała niska sylwetka Long Island i światło latarni morskiej na Montauk Point. Kapitan, który przez całą noc nie opuszczał mostka, wręczył Washingtonowi kartkę.

– Otrzymaliśmy to przez radio kilka minut temu. Gus rozłożył depeszę i przeczytał:

KPT. G. WASHINGTON NA POKŁADZIE HMS  
BOADICEA. OSTATNIA SEKCJA UŁOŻONA.  
USZCZELNIAMY ZGODNIE Z PLANEM. OSIEM STÓP  
JAK W P. STRZELIŁ. GOWAN ODROBI WSZYSTKO NA  
CACY. SAPPER.

– Nasz radiooperator był cokolwiek zdezorientowany, jednak gdy poprosił o powtórzenie treści depeszy, wszystko się zgadzało.

– Z pewnością. To bardzo dobra wiadomość. Wszystkie sekcje tunelu zostały już ułożone i zahermetyzowane. Jak pan pewnie wie, tunel ciągnięty od strony Wielkiej Ławicy miał się spotkać z odcinkiem prowadzonym od stałego lądu. Geodezja dna morskiego to coś nader trudnego, na dodatek chcieliśmy mieć odrobinę luzu przy dopasowywaniu ostatniego fragmentu.

Możemy dorobić coś na dzień, ale nijak nie da się skrócić gotowego prefabrykatu na pełnym morzu. Błąd w obliczeniach wyniósł osiem stóp, niemal dokładnie tyle, ile ostatnio przewidzieliśmy. Obecnie luka zalewana jest szlamem, który zmrozimy następnie płynnym azotem z modułu Gowana. Wszystko zgodnie z planem.

Gus nie zauważył, że wszyscy obecni na mostku, czyli sternik, marynarze i oficerowie, słuchają go w skupieniu. Dopiero gdy skończył, zwrócił uwagę na ich ogłuszający aplauz.

– Cisza! – ryknął kapitan. – Zachowujecie się jak prze-kupy, a nie jak marynarze! – Uśmiechał się jednak. – Osłabia pan morale mojej załogi, kapitanie Washington, ale dziś mniejsza z tym. Chociaż Królewska Straż Wybrzeża na równi ze wszystkimi podlega królowej, to przede wszystkim jesteśmy Amerykanami. To, co pan zdziałał i co robi pan dalej dla naszego amerykańskiego dziedzictwa, to więcej, niż cokolwiek dotąd zrobiono. To wielki dzień i popieramy pana w stu procentach.

Gus mocno uściśnął podaną dłoń.

– Nigdy nie zapomnę pańskich słów, kapitanie. Znaczą dla mnie więcej niż wszystkie nagrody i zaszczyty. Wszystko, co robię, robię dla mojego kraju i po to jedynie by go zjednoczyć. Więcej mi nie trzeba.

Wchodzili już na zewnętrzną redę Bridgehampton. Poduszkowiec zwolnił i opadły kurtyny wody u jego burt. Senne, małe miasteczko usadzone na cyplu Long Island zmieniło się radykalnie od czasu roznoczenia budowy tunelu iako że tutaj

właśnie umieszczono centrum koordynacji amerykańskiego odcinka. Wzdłuż brzegu wznosiły się jeszcze nieliczne białe domy miejscowej ludności, jednak większość terenów pochłonęły nabrzeża, przystanie, magazyny, warsztaty, pochylnie, biura, baraki i kamienice. *Boadicea* skierowała się ku plaży i miękko spłynęła na piasek. Gdy tylko wirniki przestały wznosić tumany pyłu, policyjny wóz podjechał po ubitym terenie i zahamował ostro przy burcie. Kierowca otworzył drzwiczki i przywitał służbistę schodzącego po trapie Washingtona.

– Wysłano mnie po pana, sir. Pociąg specjalny już czeka.

Prócz pociągu czekał także rozentuzjarmowany tłum składający się nie tyle z rannych ptaszków, ile nocnych marków, ludzi, którzy spędzili chłodną porę dnia przy wygasłych już koksownikach i śledzili uważnie każdy komunikat przekazywany z biura prasowego Washingtona. Byli po jego stronie i powitali go radośnie, tłocząc się i pokrzykując. Już wcześniej wzniesiono tu podwyższenie udrapowane flagami i proporcami. Usadzona na nim orkiestra dęta dawała z siebie wszystko, ale i tak nikt jej nie słyszał. Kto żyw pragnął uścisnąć dłoń Washingtona lub choćby dotknąć jego ubrania, byle tylko móc pochwalić się bezpośrednim kontaktem z wielkim człowiekiem w tym jednym dniu. Policja nie dawała sobie rady, jednak wezwana na pomoc grupa robotników szybko utorowała drogę do pociągu. Twarde łokcie i ciężkie buty miały dużą siłę perswazji. Po drodze Washington przywitał się jeszcze pospiesznie z wystrojonymi jak na paradę miejscowymi dygnitarzami i pomachał tłumowi, który odzewiadził jeszcze obłędnie wulgiem. Jednak gdy *Cyrcis*

odpowiedział jeszcze głośniejszym rykiem. Jednak gdy Gus się odezwał, wszyscy umilkli.

– Dziękuję wam. To wielki dzień dla Ameryki. A teraz jadę dalej.

Krótko i nad wyraz słusznie. Wsiadł, a właściwie został wciągnięty do wagonu podczepionego samotnie do wypucowanego elektrowozu. Ledwo stanął na stopniach, skład ruszył i szybko nabrał prędkości. Stukając na złączach szyn, pognął ku czarnej jamie okolonej dumnym transparentem TUNEL TRANSATLANTYCKI.

Gus usiadł i natychmiast ta sama miedzianoskóra dłoń, która wwindowała go do wagonu, pojawiła się z otwartą butelką lekko pieniącego się piwa. Washington dawno już przywykł do tej samej diety, która stanowiła podstawę żywienia robotników: piwa i wołowiny. Podobnie jak oni jadał o rozmaitych porach, nie raz oszukując głód chmielem. Właściciel miedzianoskórej dłoni zajął się własną butelką. Wychylił z połowę zawartości i westchnął z wyraźnym ukontentowaniem.

Sapper Complanter był Irokezem, pochodził z plemienia Oneida. Pracował jako szef brygadzystów, zasługiwał też w pełni na miano przyjaciela. Liczył sobie siedem stóp mięśni i mocnych kości, włosy miał intensywnie czarne, podobnie jak oczy. Zwykle spokojny, rzadko się złościł, ale w razie czego potrafił puścić w ruch swe pięści, wielkie jak szynki z Wirginii i twarde jak granit. W lewym uchu nosił złoty kolczyk z zębem łosia. Gładził go palcami w chwilach zamyślenia. Wyraźnie pomagało, bo jego zmysł analityczny był najwyższej próby.



– Kończysz to w pięknym stylu, kapitanie. – Wyobraź sobie, że też do tego doszedłem, Sapper.

A co, myślisz, że może mi się nie udać?

– Nie, chociaż nie zostawiłeś sobie wiele swobody. Żadnej rezerwy czasu na wypadek niespodziewanego, a przypomnę, że w naszym fachu nigdy nic nie wiadomo do końca. Sekcje zostały ułożone, uszczelnione i tak dalej, ale w ostatnich pięciu odcinkach jest jeszcze woda. Robota na parę godzin. Mam zadzwonić do nich i pogonić ekipy osuszające?

– Nie, mamy akurat dość czasu. Upewnij się tylko, czy przygotowali wszystko jak należy, byśmy zaraz mogli wziąć się do roboty. Jak z połączeniem na stację?

– Helikopter RAF-u już czeka z pełnymi bakami. Czeka też wellington w Gander. Porwą cię, gdy tylko Wielki Duch ześle na ciebie swe błogosławieństwo. Chociaż na błogosławieństwie się zapewne nie skończy. Kiepska pogoda nad Atlantykiem. Wiatr o sile dziewięciu stopni, śnieg i tak dalej. Niż ciągnie ku Nowej Fundlandii. Będą kłopoty.

– No, to obym je wyprzedził!

– Wypiję za to – stwierdził Sapper i wydobył ze skrzynki pod siedzeniem następne dwie butelki sitting bulla.

Pociąg pędził tunelem, pokonując na dnie tę samą trasę, którą Washington dopiero co przebył poduszkowcem. Tutaj jednak, na gładkich torach i z dala od kaprysów pogody, szybkości były nieporównanie większe. W kilka minut skład przyspieszył do prędkości dwakroć takiej, jak osiągnięta przez poduszkowiec. Wypili jeszcze kilka piw, zjedli po krwistym

steku z ziemniakami, który to posiłek przygotowano im na patelni podgrzewanej lampą lutowniczą, i już zaczęli zwalniać.

Przejęty zadaniem maszynista wyhamował ledwie parę cali przed końcem torów. W mgnieniu oka Washington i Sapper przesiedli się do elektrycznej ciężarówki, która zawieźć ich miała na czoło robót. Lampy sufitowe zły się zaraz w jeden sznur.

– Lepiej będzie to nałożyć – powiedział Sapper, podając Gusowi parę wysokich do pół uda butów. – Tam jest jeszcze naprawdę mokro.

Washington wciągnął buty. W samą porę, bo już zwalniali. Wskoczył czym prędzej, ale Sapper i tak go wyprzedził. Przypadł do dziwnej maszyny z mnogością dźwigni i przełączników i coś tam zaczął poprawiać. Gus dołączył do małej grupki robotników, przywitał się z nimi, pozdrawiając każdego po imieniu. Sapper zawołał o pomoc i razem podtoczyli maszynę do zamykającego tunel czopu, ułożyli starannie wlokące się za nią kable.

– Czekamy na rozkaz, kapitanie.

– Odpalaj.

Szef brygadzystów przekręcił główny włącznik i w pordzewiałą osłonę uderzył wąski, rubinowy promyk światła. Nitka musiała mieć wielką moc, gdyż stalowa płyta zajaśniała i zaczęła się topić.

– Odsunąć się – polecił Washington. – Tunel przed nami jest już szczelny, ale wciąż pełen wody, i to pod olbrzymim ciśnieniem. Gdy laser wypali otwór, będziemy tu mieli...

Reszta wzięcia utonek w odurzającym światł...

Z otworu trysnął strumień wody tak silny, że opadał na podłogę dopiero sto stóp dalej. Sapper nie czekał bezczynnie. Manewrował laserem w taki sposób, aby wyciąć w górnej części osłony wielki krąg. Nie dokończył pracy; woda sama wysadziła dysk i runęła kaskadą. Obecni osłonili uszy, w tunelu wyraźnie pochłodziło i pociemniało od rozbryzgów. Sapper tymczasem zajął się poszerzaniem otworu ku dołowi. Gdy poziom wody opadł do połowy, Washington zadzwonił do ekipy z Wielkiej Ławicy. Chociaż odlegli byli ledwo o jedną dziesiątą mili, porozumiewać musieli się jeszcze za pośrednictwem Bridgehampton.

– Otwierajcie – nakazał. – Woda opada i wszystko dobrze trzyma.

– Pompy niezbyt sobie radzą – mruknął Sapper, spoglądając na wzbierającą mu koło butów wodę. Pompy tłoczyły ją aż do sztucznej wyspy osiemdziesiąt mil dalej, gdzie wypływała szybem wentylacyjnym.

– Nie utoniemy – usłyszał za całą odpowiedź i na wszelki wypadek musnął zęb łosia. Jednocześnie pracował nad tarczą. Woda syczała i parowała w zetknięciu z promieniem lasera, ale rychło otwór był dość obszerny na dorosłego mężczyznę.

– Chwilowo niżej nie opadnie – powiedział Gus, patrząc na wodę sięgającą mu już do pasa. – Idziemy.

Pojedynczo przycisnęli się przez otwór. Washington prowadził, brodząc pod prąd. Niewiele trwało, a przemokli wszyscy ze szczętem i przemarzli do kości. Ale nikt nie narzekał.

Drogę oświetlali elektrycznymi reflektorkami, komentarze ograniczyli do uwag na temat stanu tunelu. Miejsca złączeń nie ciekły, pierwszy odcinek tunelu był prawie gotowy. Drogę blokowało jedynie osiem stóp zmrożonego na skałę szlamu. Robotnicy wzięli ze sobą szuffe, które rychło się przydały. Nie cały szlam zamarł, naddatek rozlał się po podłodze tunelu i należało go uprzętać. Pracowali szuffami miarowo, unosząc ręce niczym tłoki, aż odrzucili błocko na bok. Łopaty nie mogły, rzecz jasna, ruszyć zmarzliny, jednak z drugiej strony docierał już pomruk maszyn. Kilka chwil i prysnęły odłamki i z głębi wyłonił się srebrzysty czubek wiertła.

– Przebite! – rzucił Sapper i wydał przejmujący okrzyk wojenny, który pozostali zaraz podchwycili.

Świder zniknął. Gus wspiał się do otworu i wrzasnął weń. Dojrzał błysk światła, a gdy przytknął ucho, doleciały go głosy.

– Przebite – powtórzył i oczy zaśniły mu jak nigdy dotąd. Robotnicy rozjazgotali się beztrósco i czekali, aż średnica otworu rozrośnie się z kilku cali do dwóch stóp.

– Starczy! – krzyknął Sapper. – Dawajcie linę!

Po chwili pojawiła się zakończona obszerną pętlą lina. Washington zacisnął ją sobie pod pachami, pochylił głowę i wpasował się z wolna w otwór. Twarze z drugiej strony zajaśniały uśmiechem, silne ręce pociągnęły pewnie, aż Gus wychynał po drugiej stronie. Łapał ciężko powietrze, twarz miał zarumienioną, ale jakoś to wytrzymał. Kolejne dłonie pochwyciły go i praktycznie zaniósły do czekającego już pojazdu. Ten ruszył natychmiast. Na siedzeniu Gus pozbył się liny i zaraz potem

skoczył do windy. Chwilę później wyszedł na słoneczne popołudnie Wielkiej Ławicy. Nie doszedł jeszcze do siebie, gdy ujrzał, co czeka nań tym razem.

Słowo pisane i fotografie powiedzieć potrafią wiele ale nie oddadzą nigdy w pełni rzeczywistego majestatu niektórych rzeczy. Gus czytał wiele o pracach nad tym wynalazkiem i długo miał go raczej za kaczkę dziennikarską. Teraz przyszło mu przekonać się na własne oczy, że niewczesne sądy były z gruntu błędne. Omal nie potknął się z wrażenia. Zwalniając kroku, podszedł do maszyny i spojrzał na nią z czymś na kształt nabożnego podziwu.

Przede wszystkim była o wiele większa, niż oczekiwał, coś jakby londyński piętrowy autobus ustawień pionowo na tylnych zderzakach. Z kształtu jajowata, wspierała się na grubszym końcu. Miała trójnogie, składane w locie podwozie i przeszkloną kabinę na szczycie. Jeszcze wyżej sterczały dwa przeciwbieżne i współosiowe wirniki, po cztery łopaty każdy. Gus ledwo zarejestrował wszystkie te szczegóły, gdy odemknął się włącz kabiny i spłynęła po burcie sznurowa drabinka. Z otworu wychylnęło uśmiechnięte oblicze.

– Gdyby tak pan wsiadł, to moglibyśmy startować.

Głos zdradzał niejaki walijskie naleciałości, coś jakby z Merioneth lub Caernarvon. Gus bez zdumienia przywitał się z ciemnowłosym i drobnym oficerem RAF-u, który przedstawił się jako porucznik Jones.

– Proszę tu usiąść, sir, i zapiąć te pasy.

Zanim jeszcze Gus rozosił się na fotelu pasażera Jones

uruchomił potężne silniki. Coś syknęło im pod stopami, zaryczało, a wirniki w górze poruszyły się, każdy w innym kierunku. Helikopter drgnął niczym zwierzę i skoczył w przestworza. Naciśnięcie odpowiedniego guzika spowodowało schowanie podwozia. Sztuczna wyspa małała w dole, aż w końcu ze wszystkich stron rozpościerał się wyłącznie ocean.

Skoro sam pan jest inżynierem, kapitanie Washington, to najpewniej potrafi pan docenić tę maszynę. Turbina o mocy dwóch tysięcy koni napędza dwa przeciwbieżne rotory – Maksymalna szybkość postępową to dwieście siedemnaście mil na godzinę. Lecimy prosto na radiolatarnię Gander i starczy pilnować, by ta wskazówka stała wciąż na czerwonym punkcie.

– A paliwo?

– Ciekły butan. Bardzo wydajny.

– Istotnie.

Kilka minut później osiągnęli linię brzegową Nowej Fundlandii i przelecieli nad miastem St. John. W dole przesuwały się niezliczone zatoczki. Jones zerknął na krajobraz i zaraz wrócił do tablicy kontrolnej.

– Pierwszy zbiornik jest już prawie pusty, przełączam na drugi.

Turbina umilkła.

– To chyba niezupełnie normalne – powiedział pilot i zmarszczył czoło. – Ale spokojnie. Mamy jeszcze zbiornik numer trzy. – Przełączył coś, ale silnik nie zaskoczył.

– Niech to. A czwórka? Znowu wielkie nic.

– Ale tak czy tak nie rozbijemy się. Sprowadzę go na autorotacji do miękkiego lądowania.

– Raczej mokrego. – Gus wskazał na ocean.

– Słuszna uwaga. W pierwszym zbiorniku winno być jeszcze dość paliwa, aby dotrzeć do brzegu zatoczki.

Pilot uśmiechnął się, gdyż tym razem proroctwo się spełniło. Turbina zawyła i helikopter przyspieszył. Kierując maszynę do brzegu, Jones postukał kolejno we wszystkie wskaźniki poziomu paliwa i pokręcił bezradnie głową.

– Wszystkie pokazują, że zbiorniki są pełne. Nic nie rozumiem.

– Może tak powiadomilibyśmy bazę w Gander przez radio o sytuacji?

– Świetny pomysł, sir, ale nic z tego. Maszyna doświadczalna, wie pan, jak to jest. Nie dali radia. Ale widzę, że zaraz za tym polem jest jakaś farma. Pewnie mają tam telefon, to nawiążemy kontakt.

Jakby chcąc zadać kłam jego słowom, turbina prychnęła i umilkła. Zaczęło się powolne opadanie. Jones czym prędzej wypuścił podwozie, akurat w porę. Ledwie zaskoczyło, już siedzieli. Dokładnie pośrodku zaoranego pola. Pilot zaraz zszedł na dół i zaczął sprawdzać coś we wnętrzu maszyny.

– Ciekawa sprawa – powiedział, stukając w zbiornik. – Pusty. Wszystkie są puste.

– Ciekawe, owszem. Jeśli tylko znajdę telefon, zaraz wszystko przekażę.

Gus bez trudu znalazł zamek wjazdu, wyrzucił drabinę i zszedł, nie czekając nawet, aż rozwinie się do końca. Poszukał wzrokiem kępy drzew, za którymi kryło się gospodarstwo i ruszył biegiem przez pole. Wiedział, że nie zostało mu wiele czasu. Londyński pociąg odjechać miał o dziewiątej rano, a on wciąż był tutaj i oddawał się wieczornym przebieżkom po roli. Nikt jeszcze nie przebył oceanu świńskim truchtem. Washington po raz pierwszy zwątpił w powodzenie przedsięwzięcia. Jeszcze trochę, a cały wysiłek wielu ludzi pójdzie na marne. Ale nie zwykł się poddawać i biegł dalej.

Polna droga, drewniany płot i wreszcie te drzewa i chata. Drzwi były zamknięte, okiennice opuszczone, nikogo wkoło. Opuszczone gospodarstwo? Nie może być. Załomotał pięścią w drzwi. Prawie porzucił już nadzieję, gdy zgrzytnęły rygle i w szparze pokazało się podejrzliwe oko. Potem równie podejrzliwa twarz i broda. Broda też była chyba podejrzliwa, a co najmniej podejrzana.

– Tak? – szepnął nieufny głos.

– Nazywam się Washington, proszę pana, mam kłopot. Moja maszyna wylądowała przymusowo na pańskim polu i bardzo zależy mi na skorzystaniu z pańskiego telefonu. Zostanie to panu wynagrodzone.

– Nie ma telefonu.

Drzwi zatrzasnęły się o wiele szybciej, niż przedtem uchyliły. Washington natychmiast załomotał ponownie. Z dobrym skutkiem.

– Może notrafi nam nan nowiedzieć. gdzie mieszka



najbliższy sąsiad z telefonem...

– Nie ma sąsiadów.

– Albo jakieś miasteczko, gdzie...

– Nie ma miasta.

– No to może chociaż wpuści mnie pan do siebie, abym mógł wywiedzieć się dokładnie, gdzie ten telefon może być! – ryknął Washington głosem przywykłym do wydawania rozkazów nawet w najwścieklejszym łomocie. Uznał, że skoro dobre maniere zawodzą, trzeba sięgnąć po bardziej zdecydowane środki. Drzwi otworzyły się szerzej. Gus wszedł do skromnie urządzonej i ledwo oświetlonej kuchni. Krążył przez chwilę w tę i z powrotem i założywszy ręce na plecach, dumął nad następnym krokiem. Po pięciu minutach dokładnego wypytywania wydobył wreszcie z gospodarza sekret największy, czyli wniosek, że nic nie da się zrobić, a jeśli nawet, to na pewno nie dzisiaj. Miasto było daleko, sąsiadów nie było w ogóle, a za jedyny środek transportu służyły tu konie.

– No to przegrałem – powiedział i uderzył pięścią w otwartą dłoń. Potem przysunął dłoń do lampy, by sprawdzić godzinę. Szosta po południu. W tejże chwili winien już lecieć na pokładzie odrzutowego super wellingtona. Lądowanie w Londynie przewidziano na jedenastą w nocy. Pociąg odjeżdża o dziewiątej rano. Płomyk lampy syknął z lekka i zamrugał. Z późno. Znów mrugnięcie. Washington zwrócił wreszcie baczniejszą uwagę na lampę.

– Co spala ta lampa? – spytał z wahaniem.

Coś... może... wreszcie odpowiedź... I tak...?

– Gaz – padła wyczerpująca odpowiedź. – Jaki gaz?

– Z butli. Ciężarówka przyjeżdża i napełnia.

Gus poczuł przypływ nadziei.

– Propan? Czy to może być propan? Słyszał pan kiedyś to słowo?

– Coś w tym guście – przyznał w końcu farmer, nie mając już naprawdę innego wyjścia.

– No tak, propan to jedyny gaz nadający się do wykorzystania na północy, bo skroplony butan nie paruje w tak niskich temperaturach. Może się uda. Chcę kupić od pana tę butlę gazu i wynająć mocny wóz i konia, aby przewieźć ją do helikoptera. Co pan na to?

– Nie.

– Zapłacę sto dolarów.

– Może.

– Dwieście dolarów.

– Niech je zobaczę.

Gus wyciągnął portfel i cisnął banknoty na stół. Głowa i broda pokiwały przecząco.

– Kolonialne pieniądze. Nie biorę. Tylko kanadyjskie zieleńce lub funty.

– Nie mam.

– To nie sprzedam.

Gus nie zamierzał rezygnować. Nie po to pokonał ocean, aby uziemiło go uparte chłopstwo.

– A może coś w zamian.

– Ma zegarek?

– Proszę. – Gus zdjął zaraz swój czasomierz i podetknął tamtemu pod nos. – Wodoodporny zegarek za dwieście trzydzieści siedem dolarów. Cztery wskazówki i siedem pokręteł.

– Ee, mam zegarek.

– Ale nie taki. Odporny na wstrząsy, sam się nakręca, pokazuje dzień, tydzień i miesiąc, głośno podaje godzinę, jak tu nacisnąć... – rozległo się sześć uderzeń dzwoneczka – ma też miniaturowe radio odbierające rządowe prognozy pogody. Tutaj.

– „...ostrzeżenie dla małych statków: spodziewane śnieżyce i wiatr o wielkiej szybkości..”

Washington wolałby nie słyszeć tej prognozy. Czekał dość długo, aż w końcu gospodarz wyciągnął powoli rękę i z wahaniem jak stąd do Anglii dotknął wreszcie czasomierza.

– Dobiliśmy.

Trzeba było jeszcze przetaszczyć ciężką butlę, załadować ją Przy świetle lampy na wóz, zaprząc niechętnie zwierzę, zjechać z drogi na pole, przepchnąć pojazd przez bruzdy. Jones wyjrzał z oświetlonego kokpitu, dopiero gdy stanęli pod maszyną.

– Znalazłem usterkę, sir, chociaż to wciąż dziwne, bo sam napełniałem zbiorniki. Nie dość, że były puste, to jeszcze ktoś uszkodził wskaźniki, by pokazywały wysoki poziom. To mógł być jedynie...

– Sabotaż. Ale znalazłem coś. Propan, może starczy go, by dolecieć do Gander.

W kilka chwil zdjęli fragmenty poszycia. Jones poplął

w dłoń i sięgnął po pudło z narzędziami.

– Nie da się inaczej, kapitanie, jak tylko zamontować butlę zamiast zbiorników, bo nie przelejemy tu butanu bez odpowiedniego sprzętu. Skręcę zawory szybciej, niż zdoła pan powiedzieć „Rhosllanerchrugog”.

Pracowali wytrwale, pobrzękując narzędziami i przeklinając z cicha, gdy krew płynęła z knykci. Wyjęli zbiorniki, złożyli je na ziemi, aż w końcu przysłała pora na najcięższe zadanie, czyli uniesienie i wsunięcie butli.

– Nasz wóz odwiezie panu butlę i zabierze zbiorniki – powiedział Jones.

Chłop tylko skinął głową.

Przyszło im jeszcze unieruchomić butlę pasami, dopasowanie zaworów też trochę trwało, ale zmieścili się ze wszystkim w godzinie. Pozostało zamocować osłony.

Wiatr zrywał się coraz silniejszy i w świetle latarni migać zaczęły pierwsze płatki śniegu. Gus dostrzegł je, ale nic nie powiedział: pilot zwijał się jak w ukropie. Washington spojrział odruchowo na nagi nadgarstek. Na pewno jest jeszcze dość czasu. Te nowe wellingtony rozwijają podobno szybkość sześciuset mil na godzinę. Musi zdążyć. Pilot uporał się ze wszystkim, dokręcił ostatnie śrubki, coś tam jeszcze sprawdził i czym prędzej wspięli się obaj do kabiny. Silnik ożył. Jones włączył światła lądowania. Ujrzeli wyraźnie, że śnieg pada coraz gęstszy. Koń spłoszył się i odbiegł w ciemność, gospodarz pognął z krzykiem za nim. Rotory zaczęły się obracać, szybko, coraz szybciej, aż maszyna wystartowała prosto w ośleniająca

coraz szybciej, aż maszyna wystawiała prosto w osiepiającą biel.

– Polecimy na przyrządach – powiedział spokojnie Jones. – Między nami a lotniskiem nie ma nic wyższego niż pięćset stóp. Utrzymam grata na tysiącu, nie ma co marnować paliwa na wyższy pułap. Tylko radiokompas i wysokościomierz, więcej nam nie trzeba.

Pogoda pogarszała się jednak z każdą chwilą i rychło zaczęło rzucać nimi jak dziecinnym latawcem. Pilot ledwo trzymał maszynę na kursie i choć pozornie był całkiem spokojny, kołnierzyk koszuli zwilgotniał mu od potu. Gus wczepił się tylko kurczowo w fotel i patrzył na migający za owiewką śnieg. Starał się nie myśleć o przeciekających mu przez palce minutach. Wciąż jeszcze jest czas, nie może być za późno.

– Proszę spojrzeć! – krzyknął radośnie Jones, odrywając na sekundę wzrok od harcującej po tarczy wskazówki radiokompasu.

– Zepsuł się!

– Żadne takie. Jesteśmy dokładnie nad radiolatarnią i lotniskiem. Schodzimy, proszę trzymać się mocno.

Wysokościomierz twierdził, że ziemia jest coraz bliżej, ale tuman śniegu ciasno utulał kabinę.

– Widzi pan coś, kapitanie?

– Mrok i śnieg, śnieg i... Chwilę... jest! Z lewej burty jakies światła. I jeszcze więcej ich pod nami.

– Gander. Widać czekają, żeby nas powitać i zakotwiczyć maszynę. Teraz uwaga, bo pogoda nie sprzyja manewrom.

Mimo wszystko wyłądownał. Poruszył na próbę sterami i dźwignią gazu, potem powoli opuścił maszynę, aż dotknęła ziemi. Zaraz też wyłączył turbinę.

– Nigdy nie zapomnę pańskiego wyczynu, poruczniku Jones – powiedział Gus i uściśnął dłoń pilota.

– Normalna służba, kapitanie. Cieszę się, że mogłem pana gościć na pokładzie. Jeszcze pan wygra.

Czy naprawdę? Washington przebiegł do ogrzanego budynku i błyskawicznie nawiązał znajomość z siedzącymi tam oficerami. Z jakiegoś powodu unikali jednak patrzenia mu prosto w oczy.

– Co się stało? – spytał odpowiedzialnego za służby podpułkownika.

– Przypuszczam, sir, że udzielenie zgody na start podczas takiej śnieżycy nie jest najlepszym pomysłem, ale to da się zrobić. Pas można odśnieżyć. Obawiam się jednak, że czekający na pana wellington może okazać się niezdolny do lotu, gdyż silny wiatr, a wiało już ponad sto na godzinę, podważył jedno skrzydło i cisnął maszyną o płytę tak silnie, że uszkodziła podwozie. Naprawiamy, oczywiście, ale zapewne nie ukończymy roboty przed północą. W najlepszym razie przed północą. Owszem, zostanie jeszcze dość czasu, aby dotrzeć do Londynu, jednak jeśli zawieja potrwa do północy, a nasz meteo mówi, że tak właśnie będzie, to śnieg zakorkuje nam pasy na amen. Proszę o wyrozumiałość, ale naprawdę problemy nas przerosły.

Gus odmruknął coś, sam dokładnie nie wiedział co, i przyjął

przeprosiny razem z parującym kubkiem herbaty. Spojrzał na płyn równie ciemny jak jego rozpacz i pociągnął łyk gorzkiego napoju. Lotnicy wyczuli jego ponury nastrój i zajęli się skwapliwie swoimi sprawami. Tak blisko, tyle wysiłku. I w ostatniej chwili taka frustracja. Sabotaż sabotażem, ostatecznie pokonały go siły przyrody. Gus ledwie zauważył nowego oficera, który wszedł do pomieszczenia i stanął przed nim w milczeniu. Był naprawdę cierpliwy, bo zmanifestował swą obecność dopiero po paru minutach. Washington podniósł wzrok i spróbował nieco rozpuścić twarz.

– Nazywam się Clarke, kapitan Clarke, sir. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym podzielić się z panem pewnym pomysłem.

Był to mężczyzna szczupły, z lekka łysiejący, w okularach ze złotymi oprawkami. Wyglądał na szczerze życzliwą duszę. Wymawiał „r” w sposób typowy dla mieszkańców Devonshire, gdzie musiał chyba spędzić wczesną młodość, obecnie bowiem zupełnie nie przypominał wiejskiego chłopaka.

– Słucham, kapitanie Clarke. Każda sugestia będzie mile widziana.

– Chyba prościej będzie, jeśli to panu pokażę. Gdyby był pan łaskawy udać się ze mną...

Szeregiem osłoniętych przejść dotarli do innego budynku. Śnieg był tu zjawiskiem aż za częstym i konstruktorzy bazy dobrze o tym wiedzieli. Weszli do laboratorium pełnego przewodów i elektrycznych urządzeń. Jedną z wyłożonych ciemną boazerią ścian kręła jakieś większe urządzenie przez

małe okienka widać było fragmenty kół zębatach i kratownic. Clarke poklepał drewno z nie skrywaną czułością.

– Maszyna Brabbage’a, jedna z największych i najsprawniejszych, jakie kiedykolwiek zbudowano.

– Piękna sprawa! – odparł szczerze Gus, zapominając na chwilę o własnych kłopotach. – Tak wielkiej nigdy jeszcze nie widziałem. Pewnie dodaliście jej wielkie banki pamięci?

– Pojemniejsze, niż potrzebujemy. Zresztą niech pan sam zobaczy. – Otworzył drzwi, ukazując zespół z wolna obracających się srebrzystych, perforowanych dysków. Metalowe szczoteczki przesuwają się po ich powierzchni, postukując na otworkach. Dla Clarke’a ten metaliczny szum musiał brzmieć jak najpiękniejsza muzyka, nastawił bowiem z lubością ucha i wychwyciwszy jakiś fałsz, uniósł jedną z osłon i sięgnął po olejarkę. – Cudowne urządzenie, chociaż wymaga troskliwej opieki. – Kapnął nieco oleju na szynę, po której wędrował czytnik. – Teraz robią już takie maszyny całkiem elektryczne, nazywają je komputerami, jakby to stanowiło jakąś różnicę. Owszem, są mniejsze, ale ciągle zawodne. Ja już wolę solidną budowę, chociaż wciąż mamy kłopoty z luzem międzyzębnym w przekładniach napędu.

– Ciekawe.

– Ale przepraszam pana, nie o to mi chodziło. – Clarke speszył się wyraźnie, odstawił olejarkę, znów ją podniósł, odłożył na ławę, zamknął osłonę i wskazał na drzwi. – Skoro widział pan już naszą maszynę, proszę dalej. Tamto zaciekwawi



pana jeszcze bardziej.

I rzeczywiście. Drzwi prowadziły do wielkiego hangaru. Pośrodku stała smukła, przypominająca włóczęgi rakieta. Musiała mieć z pięćdziesiąt stóp wysokości, może nawet więcej. Gruba na sześć stóp u postawy, ze statecznikami, pomalowana na czarno i niebiesko. Robiła wrażenie.

– To nasza najpotężniejsza rakietka, *Black Knight*. W pełni sprawna i niezawodna, z silnikiem na paliwo ciekłe. Nafta oczyszczona plus utleniacz, oczywiście. Bardzo precyzyjne urządzenie. Sterujemy nią przez radio z pomocą tej maszyny Brabbage'a, którą widział pan przed chwilą. Nie ma prawa zejść z kursu. Program jest eksperymentalny, ale rozwija się tak dobrze, że niebawem zostanie uznany za użytkowy. Rakiety pocztowe, na przykład... poczta już jest zainteresowana... latające regularnie stąd do Croydon. Tam mają jeden z tych elektrycznych komputerów, który wyłapuje sygnał *Black Knighta*, gdy ten jest jeszcze nad Atlantykiem, i przejmuje prowadzenie. Gdy trzeba, wyłącza silnik i sprowadza raketę na spadochronie...

Urwał, ujrawszy, że Washington wpatruje się w niego przenikliwie i jakby z przerażeniem. Gdy znów się odezwał, mówił tak szybko, że co rusz się jąkał:

– Nie, to tylko eksperymentalny program, nic nadto. Jak dotąd działa bez zarzutu, poczta dochodzi, ale kto wie. Przyspieszenie jest naprawdę olbrzymie, może zabić, chociaż.. Raz wystrzeliliśmy szympansczkę, Daisy, kochane stworzenie, jest teraz w zoo w Regent's Park, nawet się nie przejęła: jak

tylko wyszła, zaraz zjadła kiść bananów...

– Skoro tak, panie Clarke, to ma mnie pan. Jeśli potrzebuje pan ochotnika, by przeleciał na tym fajerwerku przez ocean, zgłaszam się natychmiast. Pod warunkiem jednak, że dotrę na miejsce przed dziewiątą rano.

Inżynierowi o to właśnie chodziło. Gus nabrał przekonania, że wciąż jeszcze ma szansę. Zwołano zebranie reszty inżynierów, zaproszono dowódcę bazy i po dyskusji, w której również brał udział Londyn, głosy na tak zdecydowanie przeważały. Większość aż się paliła do tego nowego eksperymentu.

Przygotowania potrwały aż parę godzin, ale nie nastąpiły kłopoty. Na zewnątrz huczała arktyczna zgoła wichura, ale rakieta miała pokonać nie tylko śnieżycę, ale również czas i przestrzeń, i po to jedynie, aby przesłać w kilkanaście minut ponad oceanem jednego tylko człowieka. Napelniono zbiorniki, sprawdzono obwody sterujące, na szczycie zaś zamontowano wyściełaną kabinę. Przygotowano też wiele galonów wody, która miała zostać wlana do środka.

– To sekret – powiedział pełen zapału Clarke. – Sekret wykradzony naturze. Wystarczy patrzeć tam, gdzie można coś znaleźć. Płyn owodniowy. Jak pan wie, przyciąganie ziemskie wynosi jeden  $G$ , czyli przyspieszenie, inaczej mówiąc, tak twierdzi przynajmniej ten Niemiec, Einstein, którego słuchałem kiedyś w Oksfordzie, znaczy, że przyciąganie i przyspieszenie to jedno i to samo. Ale nic, rzecz w tym, że dwa  $G$  znosimy bez kłopotu, trzy  $G$  jako tako, lecz przy pięciu czy sześciu zaczynają się problemy z widzeniem i pracą serca. Jednak od takiej osoby

znajdzie się w środowisku wodnym, a zrobiliśmy testy, głównie na małpach, to przetrwa bez szkody nawet pięćdziesiąt G. I z panem będzie podobnie. Poleci pan niczym kosmiczny płód.

– Cały zanurzony w wodzie? Ale nie będę musiał wstrzymać oddechu?

– To by nie było możliwe... Żartuje pan sobie ze mnie, Co, kapitanie Washington? Będzie całkiem wygodnie. Woda wychłodzi szybko, ale dostanie pan kombinezon z maską tlenową.

Wygodnie akurat nie było. Z pomocą kilku osób wcisnął się do kosmicznej kąpieli, zanurzył się całkowicie i zgodnie z instrukcją przypiął pasy. Powoli i głęboko oddychał przez maskę. Gdy twarze zniknęły, zrobiło mu się trochę nieswojo. Z głuchym szcęknięciem przymocowano stożek dziobowy. Woda dobrze przenosiła dźwięki, i usłyszał stuk blokowanych bolców, a potem zapadła cisza.

Oczekiwanie w ciemności było najgorszym doświadczeniem. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny jak w tej chwili, usadzony na szczycie kolumny wypełnionej nader łatwopalnym paliwem. Oczami wyobraźni widział rozsuwający się dach, ostatnie kontrole przedstartowe, błyskające przełączniki. Uprzedzono go, że samo odliczanie potrwa kilka minut, ale rychło stracił poczucie czasu. Ile to już trwa? Minuty? A może godziny? Może coś się zepsuło? Jakiś wypadek? Zdaży uciec czy zginie w ognistym piekle? Wyobraźnia podpowiadała wizje tak plastyczne, że gdyby nie maska i pasy Gus zerwałby się

z krzykiem.

Nagle coś zawibrowało i zawyło niczym chór dusz potępionych i Washingtonowi włosy zjeżyły się na karku, zanim pojął, że to pompy paliwowe tłoczą mieszankę do komory spalania. Zaczęło się! Ledwo to pomyślał, ryk narósł do nieznośnego poziomu. Musiał zakryć uszy dłońmi. Niemal w tej samej chwili poczuł nieznośny nacisk na klatkę piersiową. Start!

Przeciążenie narastało dość długo, chociaż ile minut dokładnie, tego nie wiedział. Potem umilkły silniki. Rakieta szybowała po krzywej balistycznej. Gus miał świadomość, że wzleciał ponad stratosferę i przemierza obecnie zimne obszary kosmicznej próżni. Atlantyk by} ponad dwieście mil w dole, przed nim czekała Anglia i Croydon, port lotniczy na przedmieściach Londynu z komputerem podobno nie tak niezawodnym jak mechaniczny. Może jednak kapitan Clarke nie będzie miał racji i maszyna nie popełni błędu.

Washington uspokoił się. Serce nie waliło już jak oszałałe, poczuł nawet pewne uniesienie. Uda się czy nie, to wspaniała podróż, coś jakby urzeczywistnienie wizji z powieści owego Francuza, który kazał swym bohaterom okrążyć świat w osiemdziesiąt dni. Na czym to oni nie jechali! Ale czegoś takiego *monsieur* Verne nie wymyślił. Zaiste, gra warta jest świeczki.

Uśmiechnął się, poczuwszy, że silnik ożył na moment. Rakieta weszła w atmosferę gdzieś nad Surrey. Szarpnęło, to chyba spadochron. Znów szarpnęło, raz i drugi, teraz o wiele słabiej. Czy jest już na miejscu?

Nie czekał długo na potwierdzenie domysłów. Coś szcęknęło metalicznie i stożek zniknął, ustępując miejsca błękitnemu niebu. Oczywiście! Przecież tutaj jest już dzień! Wstał, wynurzył się z wody, zdarł maskę z twarzy i wciągnął głęboko słodko pachnące powietrze. Z góry spojrzała nań jakaś twarz o niezupełnie zadbanych zębach, ale za to uśmiechnięta od ucha do ucha. Obok pokazał się ktoś w służbowej, granatowej czapce. W dłoni trzymał zadrukowany karton.

– Urząd celny Jej Królewskiej Mości, sir. Czy zna pan listę towarów podlegających oczeniu? Czy ma pan coś do zadeklarowania?

– Nic. Podróżuję bez bagażu.

Silne ręce wydzwignęły go na ruchomą platformę przystawioną do rakiety. Stali na płycie z białego betonu, w dali zieleńły się drzewa, wiwatowała niezbyt liczna grupa czekających. Gus spojrzał na celnika.

– Czy mogę spytać o godzinę?

– Właśnie minęła za kwadrans dziewiąta, sir. Zdąży jeszcze? Jak daleko stąd do dworca w Londynie? Co najmniej dziesięć, dwanaście mil. Wyrwał się życzliwym opiekunom, na wpół zszedł, na wpół ześliznął się po drabinie i ledwo stanął na ziemi, ujrzał biegnącą ku niemu znajomą postać.

– Jack!

– We własnej osobie. Szybko, a jeszcze się uda. Tu mam ubranie. – Wcisnął mu w dłonie opakowaną w papier paczkę i pogonił do niezwykłego pojazdu, który nadjeżdżał już z tyłu. – To Luigi Lambretta zwany Błyskawicą, dobry kierowca, chociaż

makaroniarz. Wsiadaj pan i zabijcie się po drodze.

– Miło mi pana poznać, *signore* – powiedział kierowca, gdy Gus siadał na wolnym fotelu. Poducha rąbnęła go w siedzenie. Ruszyli. – Ten wóz wygrał Mille Miglia i nie ma się czego bać. *Duecento*, znaczy ma dwieście waszych koni, gna jak wiatr. Turbina parowa, za paliwo służy benzyna z domieszką freonu. *Polizia* oczyściła drogi stąd do Putney Bridge, a nawet dalej. Miły dzień na przejażdżkę.

Z piskiem opon wyjechali na szosę londyńską i zaraz rozpędzili się do stu mil na godzinę. Migający po bokach kolorowy krajobraz sugerował zaiste świąteczną atmosferę. Skulony na siedzeniu Gus zdołał jakoś zdjąć mokry kombinezon. Pęd powietrza zaraz wyrwał mu go z dłoni i uniósł diabli wiedzą gdzie. Paczkę otwierał o wiele ostrożniej. Spodnie, koszula, krawat, garnitur klubowy i mocne buty. Zakładanie ich było trudnym przedsięwzięciem, ale przecież je założy. Nawet krawat zawiązał całkiem, całkiem.

– Czas?

– Minuta po dziewiątej. – Zatem przegrałem..

– Jeszcze nie, *signore* – powiedział kierowca, pokonując Putney Bridge z szybkością stu trzydziestu pięciu mil na godzinę. – Rozmawiałem wcześniej przez telefon, trochę się pozmieniało. Cała Anglia jest po pańskiej stronie, nawet królowa, wspaniała kobieta. Opóźniła swój wyjazd z pałacu Buckingham i teraz zmierza powoli w konnym powozie ku stacji. Nic jeszcze nie jest stracone.

Wszystko było zatem w rękach bogów i można było mieć

wszystko było zaciemnione w tękach bogów i można było mieć nadzieję, że są to bogowie ogólnie życzliwi. Hamulec, gaz, pisk opon, kluczenie wąskimi uliczkami, lekki skręt kierownicy, by ocalić życie wałęsającemu się psu znów zakręcił i już stacja. Podjazd na peron. Prawie pusty. Pociąg właśnie ruszał.

– Spokojnie, *dottore* Luigi pana nie zawiedzie!

Z szatańskim chichotem wjechał na peron, rozpędził na boki liczne delegacje oficjeli i jadąc o parę ledwie cali od skraju podwyższenia, zrównał się pociągiem. Tuż przed sobą Washington ujrzał otwarte drzwi wagonu.

– Gdyby był pan tak miły i się przesiadł... Zaraz peron nam się skończy.

Gus stał już na siedzeniu. Jedną dłoń wsparł na głowie kierowcy, drugą chwycił czyjaś wyciągającą się z wagonu rękę i już był w środku. Z przerażeniem obejrzał się jeszcze na stojącego na hamulcach Luigiego. Wóz obrócił się i wyrzwał bokiem w stalowe podpory na końcu peronu. Jednak kierowca wygramolił się błyskawicznie z dymiącego wraku, krzyknął coś i pomachał na pożegnanie.

– Tędy, sir – powiedział konduktor. – Miejsce czeka na pana zgodnie z rezerwacją.

## Dwusetna Mila

Zielona Anglia migąła za oknami łąkami pól, nitkami rzek, czarnymi mostami i kamiennymi wioskami przycupniętymi pod wieżycami kościołów. Wszystko znikało błyskawicznie z tyłu, tak jak wiwatujące tłumy, spłoszone konie na pastwiskach i rozszczekane psy. Można by sądzić, że cały kraj przybył na szlak życzyć pasażerom milej podróży. I faktycznie, „Latający Kornwalijczyk” trwał w miejscu, a ziemia przesuwała się pod nim, dla niego i na jego chwałę.

Gromadka wyróżnionych zaproszeniem na ten przejazd non stop z Londynu do stacji Dwusetna Mila, zbudowanej na sztucznej wyspie daleko od brzegu, na pełnym Atlantyku, była zaprawdę nieliczna. Królowa, książę Filip (książę Walii wrócił właśnie pociągiem specjalnym z oficjalnej wizyty w Moskwie) i garstka najznamienitszej szlachty, mniejsza niż w dniu Derbów czy podczas uroczystego otwarcia tego czy tamtego. Ten dzień był dniem triumfu nauki, zatem przedstawiciele Królewskiej Akademii występowali liczniej niż członkowie Izby Lordów. Byli



też dyrektorzy kompanii, najważniejsi uczestniczący w przedsięwzięciu finansisci oraz pewna znana aktorka, która okazała się obecną towarzyszką życiową jednego z bankierów. Był też szampan, serwowany do woli, jako że zabrano pełną chłodnię butelek. Był to niemal cały plon wspaniałego rocznika 1965 z pewnego mniej znanego, ale znamienitego *château*. Kompania Tunelu Transatlantyckiego płaciła hojnie, trunk płynął strumieniami. Wszędzie, w przedziałach i na korytarzach, nieustannie unoszono kieliszki w toastach za chwałę brytyjskiej inżynierii, za mocny kurs funta, stabilność Imperium, pokój na świecie i pamiętność tego dnia.

Brak zbyt wielu miejsc siedzących odbił się głównie na dziennikarzach, których zabrano nader niewiele. Ze wszystkich sił starali się utrwalić historyczną chwilę. Samotny kamerzysta krążył po pociągu, przekazując obraz wprost do studia. Widzowie BBC mieli pierwszeństwo, jednak ta sama transmisja szła z niewielkim opóźnieniem na cały świat. Wśród prasy prym wiodł przedstawiciel Reutera, był też dziennikarz z „Timesa”, jako że kompanii zależało na dobrych kontaktach z Printing House Square, i paru jeszcze Anglików oraz barczysty gość z „New York Timesa”, boć tunel powstawał po części za amerykańskie pieniądze. Za całą tą gromadką krył się niepozorny Francuz, który trafił do pociągu wyłącznie skutkiem potężnej łapówki i już teraz było wiadomo, że co najmniej jedna głowa spadnie za jego przyczyną w dyrekcji kompanii, jeśli nie z karku, to co najmniej ze stanowiska.

A wszyscy chcieli na wyścigi porozmawiać z Washingtonem,

gdyż jego szalona podróż przez ćwierć świata stała się już sensacją dnia. Żądali odeń wszystkich możliwych i niemożliwych do spamiętania szczegółów. Pomiędzy łykami szampana opisał wydarzenia na pokładzie helikoptera, lot rakieta i zwariowaną przejażdżkę po Londynie zakończoną złapaniem pociągu dosłownie w ostatniej chwili. Z przyjemnością usłyszał, że Lambretta nabawił się ledwie paru siniaków i nijak tego nie żałuje, gdyż co większe dzienniki zakupiły już jego opowieść za sumy zawrotne, bo pięciocyfrowe. Gus odpowiadał na pytania całą drogę do Penzance i uratowało go jedynie to, że dziennikarze musieli jeszcze zredagować swoje teksty. Pociąg wyposażony był tylko w jeden telefon i samotny telegraf, do których reporterzy nie mieli swobodnego dostępu, tylko przedstawicielowi „Timesa” dozwolono wysłać krótką depezę. Reszta miała załadować swe dzieła do mocnych worów z napisem PRASA. Wyrzucano je w umówionych miejscach. Na polach i drogach obok torów pojawiały się szybkie samochody z proporcjami i transparentami różnych tytułów i czym prędzej przejmowały przesyłki. Jeden motocyklista tak się przejął rolą, że przechwyciwszy sprawnie torbę, nie wyhamował i skończył wyścig w stawie. Pod mostami czekały z kolei szybkie łodzie wyposażone w całkiem zgrabne zestawy sieci.

Uwolniony się chwilowo od indagacji, Gus odnalazł swój przedział i po raz pierwszy od dłuższego czasu rozsiadł się wygodnie na kanapie. Przyjął gratulacje od współpasażerów, nie pogardził kolejnym kieliszkiem szampana i razem z innymi spojrzął w okno. Pociąg zwalniał. by minac pełna wiwatuiacvch

tlumów stację w Penzance. Nad głowami powiewał cały las Union Jacków. Na peron poleciała wielka, zbiorcza torba prasowa, pomocnik telegrafisty zaraz się nią zaopiekował. A pociąg znów przyspieszył, minął miasto i zanurkował w czarną otchłań tunelu. Po drodze minął stojące na bocznicach inne, pełne już pociągi, które miały za czas jakiś pojechać śladem pierwszego. I wciąż przyspieszał, przy wtórze kobiecych pisków mknąc przez wieczną noc. Gus, który dość się już napatrzył tunelowi, przymknął oczy jeszcze przed wjazdem, i gdy reszta pasażerów uznała ostatecznie, że czarna pustka za szybami nie jest zbyt ciekawa i odwróciła się od okien, on spał snem sprawiedliwego. Towarzysze z przedziału wykazali pełne zrozumienie i nie rozmawiali od tej chwili inaczej niż szeptem. Wiedzieli, że kapitan Washington ma prawo być nieładzko zmęczony. Obudzili go dopiero po zapowiedzi, iż do stacji Dwusetna Mila zostało ledwie dziesięć minut jazdy.

Podróżni ożywili się i nawet ci najbardziej cyniczni i światowi dali się ponieść nastrojowi. Co rusz ktoś wstawał i zerkał za okno, pociąg zaś zwalniał, aż z przodu pojawiła się szara poświata. Zupełnie nagle skład wytoczył się na pełny blask słońca. Przejechał przez puste przedpole stacji, zastukał na rozjazdach i zatrzymał się przy peronie. W tejże chwili czekający w gotowości zespół zagrzmiał żywą melodią *Tunel pod głębiną*, zamówioną specjalnie na tę okazję u sir Bruce'a Montgomery'ego, i teraz właśnie wykonywaną publicznie po raz pierwszy. Dworzec był obszerny i czysty i jeśli nie liczyć

muzyków, wyglądali jak wymarły aż do cniwił, gaj pasażerowie wylali się peron i zaczęli wśród achów i ochów podziwiać konstrukcję. Dach hali dworcowej wykonano całkowicie ze szkła, przez które przeświecało błękitne niebo, widać też było krążące z wolna mewy. Całość wspierały pomalowane na biało metalowe kolumny, ozdobione na złączach i u głowic żelaznymi podobiznami ryb, kałamarnic i wielorybów. Te z kolei pomalowano na niebiesko i ten właśnie zestaw kolorów – biel i błękit – dominował na całej stacji, nadając masywnej konstrukcji pozory lekkości.

Pasażerowie odsunęli się z szacunkiem, gdy rozwinięto czerwony chodnik dla królowej i jej świty. Błyszcząca orszak zaczął zwiedzanie. Reszta podążyła jego śladem.

Dzieło inżynierów musiało wywołać podziw nawet u najbardziej wstrzemięźliwych. Wyjście ze stacji okalały alabastrowe kolumny i takież portyk. Ze szczytu białych schodów roztaczał się widok, jakim nie mógł się pochwalić żaden dworzec na świecie. W dole biegła promenada z mozaikami, łukami i barierkami wzorowanymi wyraźnie na promenadzie nad zatoką Copacabana. Dalej ciągnęła się zieloniutka łąka schodząca łagodnie ku błękitnemu i nad wyraz spokojnemu oceanowi. Ledwie małe fale łamały się na brzegu. Nic nie mąciło sielskiego obrazka, a jak okiem sięgnąć, widać było tylko wodę, białe żagle jachtów i ani śladu lądu na horyzoncie. Im dalej postępowali zwiedzający, tym więcej cudów odkrywali.

Najpierw ukazał się wielki hotel otaczający długimi skrzydłami pełen kwiatów ogród. Niebieskie wieżycy strzelały

wysoko w niebo. Na tarasie orkiestra grała utwory taneczne, kusząc w ten sposób pasażerów do stołów, obok których czekali już z herbatą wyfraczeni kelnerzy. Czuło się atmosferę wielkiego święta, wszystko pachniało jeszcze świeżością. Hotel wzniesiono w optymistycznym uniesieniu i w nadziei, że tunel zostanie ukończony i przyciągnie z czasem tłumy podróżnych i turystów. Poza dostojnymi restauracjami i salami tanecznymi wzniesiono wkoło całe wesole miasteczko z różnymi atrakcjami, dokładnie w myśl zasady „coś miłego dla każdego”. Za jarmarkami, beczkami śmiechu, salonami gry i domami publicznymi ciągnęły się białe plaże. Nie trwało długo, a pojawili się na nich pierwsi chętni. Z początku nieśmiało sondowali wodę, potem jednak zakrzyknęli z radości. Nic dziwnego, wyspa bowiem leżała w nurcie Prądu Zatokowego i woda była tu cieplejsza i czystsza zarazem niż w Brighton czy Blackpool. Obok plaży wybudował się Obóz Wakacyjny Butlina. Już teraz witano tam pierwszych gości, zachwalając przez megafony oczekujące ich rozmaite rozrywki grupowe. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie coś się działo lub miało się dziać. Po drugiej stronie wyspy utworzono przystań dla jachtów, już teraz pełną łódek, które przyplęły na ten wielki dzień. Promenada kończyła się na zalesionym wzgórzu z klasycznym amfiteatrem, gdzie szykowano się do rozpoczęcia przedstawienia. W programie był klasyczny grecki dramat, idealny na tę okazję. Krajobraz cieszył oko, tym bardziej że wzgórze przesłaniało widok na drugą część wyspy, tę mniej reprezentacyjną, bo kryjącą zaplecze techniczne, bocznicę kolejową i nabrzeża

z dźwigami do przeładunku. Dzieło porywało urokiem i rozmachem, inwestorzy mogli więc uznać spokojnie, że nie zmarnowano ich pieniędzy.

Washington cieszył się cudzą radością na równi z kupcem z Hove czy lordem, który wychynał ze swego zamczyska. W końcu zmęczony łągą kierował kroki do hotelu Transatlantic Towers, gdzie czekał już na niego pokój. Wysłany kilka tygodni temu bagaż został otwarty i rozpakowany, stół ugiął się od kwiatów i depesz gratulacyjnych. Przeczytał kilka, ale szybko je odłożył. Łyknął trochę szampana i czym prędzej zanurzył się w wannie. Nieco odświeżony, wdział jedwabny tropikalny garnitur, o wiele lepiej pasujący do dzisiejszej pogody niż ciężki tweed, i wiązał właśnie krawat, gdy zadzwonił telefon. Gus położył mikrofon na stole, słuchaweczkę wetknął do ucha i włączył urządzenie. Rozległ się znajomy głos Drigga, sekretarza lorda Cornwallisa. Pogratulował udanej podróży i przekazał w imieniu markiza zaproszenie na taras. O ile tylko Washington czuje się na siłach, oczywiście.

– Niebawem dołączę – powiedział Gus, przerwał połączenie i wsadził kwiatek do butonierki. Tuż przed wyjściem dopił jeszcze szampana.

Na tarasie z widokiem na morze zebrała się nieliczna, ale nader elitarna grupa. Dżentelmeni łapali popołudniowe słońce i rozkoszowali się świeżym powiewem od oceanu. Zastawiony bogato butelkami stolik pozwalał obyc się bez kelnerów, a i tak każdy znajdował coś dla siebie. W razie przyływu apetytu starczyło sięgnąć do kryształowej wazy z przekładanym

stańczył się, sięgając do kryształowej wazy z przekąsnianymi kawałkami lodu kawiozem z bielugi. Powyżej zawieszono szczegółową mapę dna północnego Atlantyku z zaznaczonym planowanym przebiegiem tunelu. Ten i ów zerkał na szkic i zwykle uśmiechał się potem triumfalnie. Sir Isambard Brass-Brunel siedział w rozpiętej do połowy kamizelce, co w jego wypadku oznaczało całkowite odprężenie. Wciągał w nozdrza słonawy wiaterek, czasem sączył łyk czy dwa z trzymanej w dłoni szklanki z wodą Perrier. Naprzeciwko lord Cornwallis raczył się nieco mocniejszym napojem, siedmiogwiazdkowym Hannesym, co parę chwil urozmaicając sobie wypoczynek kłębami dymu z imponującego jamajskiego cygara. Musiało być rzeczywiście najprzedniejszej marki, gdyż zostawiało popiół biały jak śnieg. Sir Winthrop Rockefeller uznał, że pora jest jeszcze zbyt wczesna na ostre spirytualia i zaopiekował się dyskretnie butelką kłaretu. Wszyscy trzej dżentelmeni gawędzili beztrudnie, ciesząc się z dokonanego dzieła. Zbierali siły, by podjąć kolejne wyzwanie. Zewsząd napływały dziś same dobre wieści i zaprawdę nic nie mąciło milej atmosfery.

Gdy Augustus Washington pokazał się na tarasie, wszyscy trzej wstali jednocześnie i kolejno mocno uścisnęli mu dłoń. Pogratulowali młodemu inżynierowi szczęśliwego ukończenia dramatycznej podróży, która tylko dodała dramatyzmu i tak niezwykle wydarzeniu, zwiastującemu przecież początek nowej ery. Washington z kolei podziękował uroczyście bankierom za zaangażowanie, starszemu inżynierowi za projekt i włożoną w dzieło pracę. Sir Isambard przyjął hołd skinieniem

głowy. Dobrze wiedział, że w pełni nań zasłużył. Gdy usiedli, Washington przyjął kieliszek wina z butelki sir Winthropa, a sir Isambard poruszył temat, który od dawna nie dawał mu spokoju.

– Dość długo się już na siebie wzajem boczyliśmy, Washington. Wprawdzie osobiste animozje nie przeszkodziły nam pracować wydajnie dla kompanii, jednak obecnie mam wrażenie, że sprawa dojrzała. Wrzód trzeba przeciąć i niech się dzieje, co ma się dzieć. Rockefeller znów przewodniczy amerykańskiej radzie, ja zaś chciałbym przy wszystkich panach powiedzieć, że w Ameryce spisałeś się doskonale. – Upił łyk ze szklanki, tymczasem jego dwaj towarzysze z napięciem czekali na ciąg dalszy. – Potrafię przyznać się do błędu, oddaję ci teraz sprawiedliwość. Twoja metoda zatapiania prefabrykowanych sekcji tunelu nie jest wcale niebezpieczna i pozwala na o wiele szybsze tempo budowy. Dzisiejsza podróż jasno tego dowiodła. Mam nadzieję, że będzie nam dane współpracować w przyszłości. Pragnę też dodać, że z miłą chęcią ujrzę cię znów pod moim dachem.

To ostatnie zaskoczyło Gusa do tego stopnia, że zamarł w pół gestu i zamiast wstać, zapadł się ponownie w fotel. Dreszcz go przebiegł, znak niezawodny, że ta jedna sprawa dokuczyła mu bardziej niż wszystkie zamachy na jego głowę. Upił jednak wina i szybko odzyskał kontenans.

– Przyjmuję te słowa z wdzięcznością, sir, jak bowiem wiadomo, niezmiennie uznaję pana za największego budowniczego naszych czasów i możliwość pracy z panem



traktuję jak wyróżnienie. Chętnie też zawitam w pańskie progi. I zobaczę się z pańską córką, jak przypuszczam..

– Iris ma się dobrze i zabrałem ją ze sobą. Oboje chętnie cię powitamy, ale jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem. A teraz pora przejść do sprawy. Dzisiaj święcimy jeszcze sukces, jutro jednak przyniesie nam sporo problemów i musimy się na to przygotować. Po pierwsze, jeśli kalkulacje mnie nie mylą, dwa gotowe odcinki tunelu będą już teraz same na siebie zarabiać. Dwusetna Mila rozrośnie się niebawem w wielki i nowoczesny port przyjmujący towary przeznaczone dla Anglii, by szybko i bezpiecznie dostarczyć je na wyspę. Armatorzy z miłą chęcią zrezygnują z kierowania statków na niebezpieczne wody Kanału i z usług przestarzałych londyńskich doków. Mam też wrażenie, że od dzisiaj ta wyspa stanie się również modnym ośrodkiem wypoczynkowym. Stacja Wielka Ławica po drugiej stronie Atlantyku spełniać będzie podobne funkcje, dodatkowo będzie bazą dla tamtejszych flotylli rybackich. Będą mogły rozładowywać tam ryby, by szybciej przewieźć je na sprzedaż do kolonii. Wszystko to pięknie, ale zwiemy się kompanią transatlantycką. Musimy przekroczyć ten ocean. Przygotowaliśmy już stosowne plany, przyszła pora, aby je urzeczywistnić.

Wszyscy zgodzili się radośnie, gdyż pragnęli tego samego: ujrzeć całość gotową i działającą. Na początek zdano sprawę z finansów. Obaj bankierzy wstali i kolejno zapoznali grono ze stanem kont. Wyszło na to, że rosną jak na drożdżach. Ostatnie noczenia kompanii i wywołane nimi ogólne ożywienie

gospodarcze po obu stronach oceanu zrobiły swoje i ci, którzy już na tym zarobili, aż się palili, by zainwestować w tunel. Tym razem nie wszyscy przytaknęli równie gorąco, ale na razie nie zwrócono na to uwagi.

Trójka dżentelmenów wyraźnie uważała, że wszystkie przeszkody zostały już pokonane, Gus jednak zerkał w zamyśleniu to na mapę, to na błędzące po krawędzi szklanki własne palce. Zupełnie jakby dojrzał coś ciekawego w głębi naczynia. Wyraźnie toczył wewnętrzną walkę. Dopiero co otwały się przed nim zatrzaśnięte parę lat temu drzwi, a to, co zamierzał powiedzieć, mogło z powodzeniem przywrócić poprzedni, nieciekawy status jego osoby. Ale nie mógł odejść, nie ujawniwszy swoich myśli. To nie była sprawa ambicji, tylko nauki. Serce starło się z rozumem w bezgłośnej batalii, nie mniej dotkliwej niż toczona na frontach. Ostatecznie Gus zdecydował. Na wszelki wypadek dopił wino i poczekał na stosowną chwilę, by przemówić. Nie czekał długo. Omawianie finansów dobiegło końca i przyszła pora na szczegóły techniczne. Podeszedł do mapy i przesunął palcem po linii planowanej trasy.

– Jak panowie wiecie, najdłuższy i najtrudniejszy odcinek budowy jest wciąż przed nami. Sir Isambard zaproponował zupełnie nowy, wręcz nowatorski system napędu pociągów używanych na tej trasie i badania potwierdziły, że pomysł jest zaiste genialny. Będzie to napęd elektryczny zwany liniowym, prawdziwa rewolucja w dziedzinie transportu.

– Przepraszam, że przerywam – powiedział Cornwallis – ale

nie jestem pewien, czy rozumiem to należycie. Byłby wdzięczny za kilka wyjaśnień. Wprawdzie rynek międzynarodowych finansów nie ma dla mnie tajemnic, głowa jednak zaczyna mi puchnąć, gdy próbuję rozgryźć, coż to takiego te elektrony.

– Bez sensu gadasz, Charles. Tuzin razy wyjaśniałem ci, jak to działa – zachnął się z uśmiechem sir Isambard. – Przejdźmy lepiej do sedna sprawy.

– Jeśli można, ja też prosiłbym najpierw o krótki wykład – wtrącił sir Winthrop. – Z ulgą konstatuje, że nie jestem osamotniony w mej ignorancji, której czasem nieco się wstydzę. Czy będzie pan tak uprzejmy, Washingtonie?

Sir Isambard złożył broń i pomruczał tylko coś o marnowaniu cennego czasu. Ze wzburzenia wychylił od razu całą szklankę wody. Gus zaś wziął się do wyjaśnień.

– Teoria, na której wszystko się wspiera, jest dość złożona, ale nie trzeba w nią wnikać. Starczy powiedzieć, jak to działa. Proszę sobie wyobrazić tunel jako długą rurę. Rura pełna jest powietrza, którego ciśnienie nie odbiega zbytnio od tego, które panuje na powierzchni morza, czyli wynosi około piętnastu funtów na cal kwadratowy. W naszym wypadku powietrze to spełnia w tunelu tylko jedną funkcję: służy pasażerom do oddychania. Dla nich to bardzo ważne, oczywiście, ale dla samego tunelu ani trochę. Te kilka funtów ciśnienia, czy są, czy ich nie ma, nie zmienia właściwie niczego, gdyż konstrukcja i tak jest nieustannie wystawiona na ciśnienie o wiele większe: nieporównanie większe ciśnienie oceanicznych głębi. Co więcej, obecność powietrza jest raczej przeszkodą, ogranicza bowiem

ono drastycznie prędkość pociągów. Gdy je usuniemy, pociągi pojadą o wiele szybciej, i to kosztem mniejszych wydatków energii.

– Ale pasażerowie nam się wtedy poduszają!

– To im nie grozi, gdyż pociągi będą hermetyczne. Zastosujemy w wagonach kabiny ciśnieniowe, takie same jak w nowoczesnych samolotach, które latają na wysokości wielu tysięcy stóp. W ten sposób będziemy mogli rozpędzać składy do szybkości, jakich nikt nigdy jeszcze w kolejnictwie nie osiągał. Nie ma żadnych istotnych przeszkód, by pokonywały trasę w tempie ośmiuset, dziewięciuset czy nawet tysiąca mil na godzinę.

– Koła i osie nie zniosą takich obciążeń.

– Zgadza się. Sir Winthrop ma rację i to prowadzi nas do kolejnej modyfikacji. Te pociągi nie będą miały kół. Będą się unosić podtrzymywane potężnymi magnesami. Jeden komplet w podwoziu składu, drugi w podłożu. Wszyscy widzieliśmy, jak to działa w mikroskali. W tunelu próżniowym pociąg nie tyle pojedzie, ile polecą. Ale w takim razie powstaje pytanie, jak go rozpędzić? Sir Isambard dostarczył nam odpowiedzi. Liniowa trakcja elektryczna. Nie wdając się w skomplikowane szczegóły, odwołam się do porównania z silnikiem elektrycznym, tyle że przenicowanym i rozmontowanym. Jedna część w lokomotywie, druga rozciągnięta na całej długości dna tunelu. Żeby zadziałać, nie muszą się wcale stykać. Co więcej, zjeżdżając trzy mile na dno oceanicznej głębi, pociąg zyska dodatkowe przyspieszenie. I tak. prosze panów. otrzymujemy

hermetyczny pociąg poruszający się na poduszce magnetycznej wewnątrz długiej na tysiące mil komory próżniowej. Pociąg napędzany najpierw przez, powiedzmy, siłę ciężenia, potem przez elektryczność. Koncepcja równie nowoczesna i odważna jak pomysł samego tunelu.

Finansiści odetchnęli z ulgą. Mieli tylko kilka drobnych pytań. Przechodząc do ciągu dalszego, Gus przemawiał już do publiczności nie dość, że zainteresowanej, to jeszcze należycie doinformowanej.

– Tak zatem, skoro opanowaliśmy już technologię budowy samego tunelu i rozwiązaliśmy problem trakcji, pozostaje nam wybrać trasę. Sprawa nie jest łatwa, gdyż rzeźba dna oceanu jest bardzo zróżnicowana. To nie piaszczysta płycizna, którą można przeciąć prostą linią. Tak drastycznych zmian krajobrazu nie spotykamy nigdzie na suchym lądzie. Owszem, natrafimy na kilka basenów o równym dnie, wszystkie na średniej głębokości szesnastu tysięcy stóp, to jednak nie wszystko. Środkiem oceanu biegnie Grzbiet Północnoatlantycki, tworzony w rzeczywistości przez dwa bliźniacze łańcuchy górskie przedzielone przepastną doliną ryftową. Całość przecinają pod kątem prostym liczne, głębokie uskoki. Trafimy też na kaniony, podmorskie góry, wyspy i rowy oceaniczne, jak ten tutaj, zaznaczony na mapie i głęboki na ponad pięć mil. Musimy liczyć się także z podwodnymi trzęsieniami ziemi, występującymi w niektórych rejonach wulkanami, które znacznie zwiększają ciepłość rejonów przydennych, szczególnie zaznacza się to w dolinie ryftowej. Na i z tym jeszcze, że woda z prądami...

w dolinie ryftowej. NO 1 z tym jeszcze, że wedle znanych nam wyników badań, kontynenty oddalają się od siebie w średnim tempie około dwóch cali na rok. To właśnie w owej dolinie wydobywa się z głębi Ziemi nowy materiał wypełniający lukę po rozpychanych płytach kontynentalnych. Są to poważne utrudnienia, ale wszystkie je możemy przewyciężyć. Jak możecie zauważyć, zaznaczona na mapie trasa omija liczne pułapki. Zaczynamy od Dwusetnej Mili na szelfie kontynentalnym i obieramy kierunek północ – północny zachód, by wzdłuż klifu szelfowego dotrzeć do wielkiej bramy pomiędzy Grzbietem Północnoatlantyckim a grzbietem Reykjanes na południe od Islandii. W ten sposób omijamy wspomnianą gorącą dolinę ryftową. Dalej skręcamy na zachód i na południe, skrajem Basenu Labradorского okrążamy podmorską górę Milne, aż dopiero z Basenu Nowofundlandzkiego kierujemy się znów na północ, by po stromym podejściu dotrzeć do istniejącej już stacji Wielka Ławica. Można powiedzieć, że tak wytyczona trasa ma jednak kilka minusów.

Od strony sir Isambarda doleciało coś jakby pomruk odległej jeszcze burzy, ale Gus zignorował ostrzeżenie.

– W związku z wysoką temperaturą panującą na niektórych odcinkach w co bardziej górzystych terenach tunel zostanie ułożony tam nie w wykopie, ale ponad dnem. Dodatkowe chłodzenie zapewni krążąca w dodanych przelotach konstrukcji woda. Tak czy inaczej, skutkiem geologicznych trudności tunel będzie dwukrotnie dłuższy, niż gdyby przebiegał w linii prostej. I dwukrotnie droższy.

– No i dobrze – nie wytrzymał sir Isambard. – Rozmawialiśmy już o tym i wiesz dobrze, że nie możemy poprowadzić go bezpośrednio. Co zatem sugerujesz?

W martwej ciszy Gus wyciągnął z kieszeni kartkę. Rozłożył ją powoli. W dali grała orkiestra, na niebie pokrzykiwały mewy.

– Oto, co proponuję – powiedział pewnym głosem Washington. – Niechby tunel kierował się z Dwusetnej Mili niemal prosto na południe, by po płaskim dnie Basenu Zachodnioeuropejskiego dotrzeć do archipelagu Azorów. Tam spotkałby się z odcinkiem biegnącym z Wielkiej Ławicy i przecinającym Grzbiet Północnoatlantycki. W porównaniu z obecną trasą taka byłaby o ponad połowę krótsza, a dodatkowo przyniosłaby jeszcze jedną korzyść. Na Azorach można by rozładowywać ładunki przeznaczone dla Afryki i Europy, skracając znacznie szlaki handlowe. Na dodatek można by z czasem pomyśleć o budowie odnogi tunelu wiodącej z Azorów do Hiszpanii. W tenże sposób, wsiadając do pociągu na pacyficznym krańcu Kolei Transsyberyjskiej, można by przez Syberię, Rosję i Europę, a dalej Tunelem Transatlantyckim dotrzeć do Ameryki, aby tam koleją amerykańską i Transkanadyjską dojechać znów na Alasce nad brzeg Pacyfiku. To oznacza okrążenie Ziemi aż w dziewięćdziesięciu procentach.

Finansiści zarzucili Gusa pytaniami, aż sir Isambard rąbnął pięścią w stół i mało subtelnie poprosił o głos.

– To rojenia, nic więcej. Sprawa byłaby wykonalna, gdyby nie Grzbiet Środkowoatlantycki i przedzielająca go rozpadlina.

Z tego, co wiem, jest co najmniej na milę szeroka i na wiele mil głęboka. Praktycznie nieprzebyta. Plan nie ma szans realizacji.

– Niezupełnie. Dolinę można pokonać i wiem już, jak to zrobić. Trzeba zbudować podwodny most.

Sir Isambard zabalgotał.

– Nonsens! Zupełne androny! Nie da się zbudować długiego na milę mostu bez podpór. Nie na tej głębokości i przy tej masie sekcji tunelu.

– Ma pan rację, sir. Nie da się. Nasz most będzie unosić się w wodzie. Segmenty otrzymają zbiorniki wypornościowe, przez co straci on w wodzie na wadze dokładnie tyle, by, że tak powiem, nie ważyć nic. Grube kable utrzymają go w miejscu.

Tym razem nikt nie przeszkadzał już Gusowi w wyjaśnieniach, jak sprawić, by konstrukcja nie ucierpiała skutkiem narastających naprężeń i mogła przyjąć coroczne wydłużenie o dwa cale. Odpowiedział na wszystkie pytania i wyglądało na to, że jeśli nie pojawią się nowe, nieprzewidziane czynniki, dzieło będzie wykonalne. Stojący z boku, ponury i zacięty sir Isambard zrozumiał to pierwszy, nie podzielił jednak entuzjazmu finansistów. Gdy umilkły zachwyty, spojrzał lodowato na Washingtona.

– Celowo to zrobiłeś. Przedstawiłeś konkurencyjny plan, by przyćmić mój i osiągnąć jakieś swoje cele.

– W żadnym razie! Daję słowo...

– Nie ma wątpliwości, że twoja propozycja zostanie przyjęta – ciągnął inżynier, nie zwracając uwagi na słowa Gusa. – Tunel przebiegnie przez Azory. Osiągniesz swoje. Ponieważ



przebieganie przez Azory. Osiągniesz swoje. Dlatego przedkładam to dzieło ponad moje osobiste ambicje, nie zaniecham pracy. Ale mój szacunek dla twojej osoby znalazł do zera. Przyjmij do wiadomości, że nie chcę cię już widzieć w progach mojego domu.

Gus przytaknął ze smutkiem. Spodziewał się tego.

– Wiedziałem, że tak będzie – powiedział z przejęciem. – Żywię do pana jedynie szacunek, sir, i nie zamierzam nijak pana ranić. Chciałbym móc przekonać pana, że dobro tunelu stawiam ponad wszystko, nawet ponad sprawy osobiste. Jednak wobec pańskiej uwagi nie mam innego wyboru, jak tylko zrezygnować z mojej funkcji w Kompanii Tunelu Transatlantyckiego. Poszukam sobie innej pracy. Jeśli moja obecność ma utrudniać zwińczenie dzieła, to lepiej będzie, jeśli odejdę.

Wywiedziona spokojnie kwestia zdumiała obecnych. Sir Isambard otrząsnął się jednak już po paru sekundach.

– Rezygnacja przyjęta. Może pan odejść.

Gus podniósł się z fotela i ruszył do drzwi. Dopiero wtedy lord Cornwallis otrząsnął się na tyle, by przemówić.

– Washington, chwileczkę. Nie tak od razu, do diabła, sam nie wiem, co zrobić, ale co nagle... – Zastanawiał się przez chwilę, zbierał myśli. – Musimy rozważyć pańską propozycję, co zaś do sir Isambarda... z całym szacunkiem, ale nie może przemawiać w imieniu pełnych składów obu rad, nawet nie w imieniu moim i Winthropa. Co chciałbym zaproponować, co proponuję, to byśmy zajęli się sprawą razem, a pana, Washington, poinformujemy o wyniku naszej debaty. Niezależnie

od tego, do czego dojdziemy. Gdzie będziemy mogli pana znaleźć?

– W moim pokoju.

– Dobrze. Skontaktujemy się z panem, jak tylko do czegoś dojdziemy.

Gus zamknął ciężkie drzwi. Wreszcie miał to za sobą.

### Krótkie spotkanie

Wkoło panowała atmosfera wesela i ogólnej życzliwości: krążyły pogodne pary, przyjaciele rozmawiali z ożywieniem, przez tłum przeciskali się posłańcy z depeszami o milej, bez wątpienia, treści. Mało kto się nie uśmiechał, nawet mewy zdawały się krzyzczeć jakoś bardziej radośnie. Pośród tak świątecznego zgromadzenia jeden tylko człowiek odczuwał smutek i zgorzknienie – architekt całego przedsięwzięcia. W godzinie największego triumfu pozostał całkiem sam.

Washington był zbyt przygnębiony, by cokolwiek jeszcze odczuwać. Odrętwiały krążył bez celu. Tunel stał się dla niego wszystkim i bez tego jednego celu życie straciło sens. Miał też pewien żal do siebie, ale wiedział, że postawiony raz jeszcze przed tym wyborem postąpiłby tak samo. Zmiana miała sens i jeśli trzeba było poświęcić dla niej życie osobiste, należało to uczynić. Miarowym krokiem dobiegł do drzwi windy i poczekał, aż się otworzą. Nie czekał długo, jako że winda była z tych szybkich, hydraulicznych. Poruszała się na szczycie długiego

tloku tkwiącego w cylindrze zakopanym głęboko w podziemiach hotelu. Washington wszedł i posunął się, by zrobić miejsce dla jednej jeszcze osoby. Los sprawił, że był to nie kto inny, ale jedyna córka sir Isambarda.

– Iris – powiedział zaskoczony i tylko tyle, bo oczy niespodziewanie zaszyły mu łzami.

– Postarzałeś się, Gus – stwierdziła mało skłonna do romantycznych uniesień dziewczyna. – Chociaż muszę przyznać, że ta lekka siwizna jakby dodawała ci uroku.

Dystans dystansem, ale rozmowa urwała się w tym momencie. Przez dłuższą chwilę tylko stali i patrzyli na siebie. Dopiero windziarz przywołał ich do rzeczywistości.

– Czy mam jechać na ostatnie piętro?

Wysiedli, robiąc miejsce innym. Chociaż wkoło wciąż przepływała cizba ludzi, oni nie zauważali innych. Piękna jak zwykle, pomyślał Gus. Nawet piękniejsza, jeśli to możliwe, bo dorosła przecież. Mimowolnie przesunął spojrzeniem po jej lewej ręce, by zerknąć na palce, ale skrywała je cienka rękawiczka. Domyśliła się, o czym myśli, i uśmiechnęła się.

– Żadnego zaręczynowego pierścionka, Gus. Wciąż mieszkam sobie spokojnie z ojcem.

– Właśnie z nim rozmawiałem. W zasadzie już się pogodziliśmy i nagle znów się zaczęło. Jeszcze gorzej niż przedtem.

– Cały ojciec.

– Pogodzenie obejmowało ponowne zaproszenie do waszego domu. Co zaś do reszty...

– Potem mi opowiesz. Niech nacieszę się choć przez chwilę tym pierwszym – mruknęła dziewczyna, czując, o co chodzi. Chciała wykorzystać chociaż tę krótką chwilę, kiedy wolno im było oficjalnie porozmawiać. – Czy możemy gdzieś przysiąść?

– Znam takie miejsce – odparł Gus, nie wiedząc wprawdzie, gdzie tu się skierować, ale i on chciał uchwycić ten moment. Przeprosił, zagadnął jednego z portierów, dał mu kilka banknotów i już po chwili zaprowadzono ich do dyskretnej alkowy na tyłach jednej z sal restauracyjnych. Kelner przyjął zamówienie, błyskawicznie je zrealizował i czym prędzej zniknął. Nie była to herbata, jak niegdyś, Iris bowiem poczuła się tymczasem na tyle dorosła i wyzwolona, by sięgnąć w publicznym miejscu po alkohol. Zamówiła sherry Tio Pepe, Gus zaś podwójną brandy.

– Za twoje zdrowie, Iris.

– I za twoje, bo dużo ci go trzeba, skoro wciąż dopisuje ci kawaleryjska fantazja.

– Myślisz o tej ostatniej podróży? Czasem trzeba zaryzykować.

– Dla kogoś, kto siedzi tylko w swoim pokoju w Londynie, to trochę za wiele. Ile razy słucham wiadomości boję się, że usłyszę tę ostatnią i fatalną...

– Wciąż cię obchodzę?

– Ja cię wciąż kocham.

Powiedziała to tak szczerze, że w jednej chwili zniknęły te lata przymusowej rozłąki. Ścisnął jej dłonie pod stolikiem.

– I mnie iakoś nie przeszło. Ani na chwilę. Może skończy

się już to czekanie. Wciąż mam ten pierścionek i chciałbym ci go pewnego dnia znów wręczyć.

– A teraz byś nie mógł?

Odsunął na chwilę dłoń, jakby chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał.

– Mógłbym, ale tylko jeśli zerwiesz kontakty z ojcem.

– Okrutna perspektywa. Wolałabym tego nie słyszeć, ale cóż, chyba cię rozumiem.

Wychyliła zawartość kieliszka, aż policzki jej poczerwieniały. Gus wpatrywał się w nią z zachwytem.

– Zaproponowałem pewne zmiany w projekcie tunelu. Wobec planu twego ojca dość drastyczne. Odmiennie widzimy tę sprawę. On uważa, że ta propozycja to w rzeczywistości atak na jego osobę. Pewnie ma rację. Chociaż chwilę przedtem zaproponował pojednanie, zaraz wycofał się ze wszystkiego. I już.

W tej chwili żadna siła na Ziemi nie wydobyłaby z niego informacji, że zgłosił rezygnację ze stanowiska. Nie chciał budzić jej współczucia.

– Zaiste szybko poszło. Zamów jeszcze jedną kolejkę, dobrze? Nie każda dziewczyna może się pochwalić, że w ciągu kilku minut odzyskała i zaraz potem straciła całą nadzieję.

Dostała kolejną sherry. Ledwie ją uniosła do ust, zadał pytanie, z którym od dawna już się nosił:

– Czy to musi tak wyglądać? Skończyłaś już dwadzieścia jeden lat. Jesteś panią siebie. Czy wyjdiesz za mnie mimo

sprzeciwu ojca:

– Mogłabym, kochany, ale nie zrobię tego. Nie mogę go ot tak opuścić.

– Dlaczego? Możesz to wytłumaczyć?

– Tak. Winienesz wiedzieć, że to nie z niedostatku miłości, ale poczucia obowiązku. Matka, jak wiesz, nie żyje, a obaj bracia, także inżynierowie, są w domu tylko gośćmi. Ma tylko mnie. I tu dochodzę do czegoś, co znam tylko ja, jego lekarz i paru zaufanych służących. Z moim ojcem nie jest dobrze. Robi wprawdzie wrażenie aż nadto energicznego, jednak lata odcisnęły swoje piętno. Miał jeden zawał, poważny, tak poważny, że przez wiele dni trwał potem między życiem a śmiercią. Muszę troszczyć się o niego i łagodzić burze. Lekarz twierdzi, że następnego zawału ojciec nie przeżyje. Gdybym teraz go zostawiła, odeszła wbrew jego woli, po prostu bym go zabiła. Równie pewnie, jak przystawiając pistolet do głowy.

Zapadła cisza, bo i co więcej można było powiedzieć. Posiedzieli jeszcze chwilę, potem Iris wstała, ucałowała czule Gusa w policzek, on odpowiedział jak mógł na tę jedyną dostępną im pieśczoć. Pożegnali się i wyszła. Patrzył za dziewczyną, aż zniknęła za kolumnami. Usiadł następnie i czym prędzej opróżnił szklaneczkę brandy. Tylko w ten jeden sposób mógł się dziś rozgrzać. Zamówił następną podwójną, a po niej całą butelkę, by kelner nie musiał co chwila biegać tam i z powrotem.

Pił, ale jakimś dziwnym trafem nie mógł się upić. Poziom trunku opadł niemal do dna, a lekarstwo prawie nie działało.

Stracił pracę, ukochana odeszła na dobre, została tylko wszechogarniająca rozpacz. Siedział dość długo, aż w pewnej chwili zauważył czekającego spokojnie obok kelnera z przenośnym telefonem podłączonym już do gniazdka w ścianie.

– Rozmowa do pana, kapitanie Washington. Rozległ się dudniący głos Cornwallisa:

– To pan, Washington? Co za ulga, od paru godzin usiłuję pana złapać.

– Tak?

– No, szukam pana. Niełatwo było, daję słowo. Sir Isambard to trudny człowiek. Ale tyle to sam pan wie. Jednak się dogadaliśmy. Jak dla nas wszystkich, dla niego tunel też jest najważniejszy. Mam nadzieję, że dotyczy to także pana, Washington.

– Ależ, sir!

– Tak myślałem. Proszę wobec tego, aby zechciał pan wycofać rezygnację i dalej ciągnąć to z nami. Człowieku, my cię potrzebujemy! Sir Isambard zajmie się tym łatwiejszym odcinkiem do Azorów, a pan zbuduje amerykański, włącznie z mostem przez tę dolinę. Podejmie się pan? Zostanie pan z nami?

Zapadła cisza. Słysząc było tylko ciężki oddech Cornwallisa. Mimo sporej ilości brandy w żyłach Washington momentalnie ze szczętem wytrzeźwiał. Gdy udzielił odpowiedzi, uczynił to głosem mocnym i zdecydowanym.



# **Księga trzecia**

## **Sztorm**

# 1

## Miasteczko Angra

W dali morze hurkotało niczym wielki drewniany wóz na bruku, opony czarnych chmur błyskały złowieszczo raz za razem. Podobna krainie potępionych burzowa ławica przeciągała ponad ołowianym morzem. Pierwsze, ciężkie krople deszczu znacznie wyprzedziły sztorm i już teraz padały na szarpane wiatrem nadbrzeżne palmy. Wchodzące do przystani holowniki zakwitły białymi kłębami pary z syren, których dźwięk doleciał dopiero po dłuższej chwili. Stateczki pospieszały, jak mogły, fale bowiem podnosiły się coraz wyżej, coraz więcej piany dźwigały na wierzchołkach. Jednak wielka, wążąca setki ton masa sekcji tunelu zmuszała do ostrożności. Ledwie wyglądała ponad powierzchnię wody, zupełnie jak wynurzający się z głębin potwór, szarzała w dolinach fal. Ostatecznie udało się ją wprowadzić na spokojny akwen i przymocować do solidnie zakotwiczonych boi.

Washington obserwował to wszystko z wysokiej platformy Biur Nadzoru. Widział stamtąd nie tylko przystań, ale i nabrzeża,

stocznie, wiecznie zapracowane żurawie portowe, magazyny i gmatwaninę prowadzących do nich torów kolejowych. Typowy krajobraz przemysłowy, wszystko jednak starannie zaplanowane. Miejsce pracy wielu tysięcy ludzi. Gus widział to już nie raz, ale wciąż jeszcze mu się ów widok nie nudził. Z głośniczka przymocowanego do ramienia radia usłyszał meldunek o pomyślnym zabezpieczeniu sekcji tunelu, jednocześnie przez lornetkę ujrzał, jak holowniki dają syrenami znak do rzucenia cum. Odłożył mocną lornetę i przetarł zmęczone oczy. Potem rozejrzał się po bliższej okolicy. Tu też życie toczyło się wartko. Gdzieś niedaleko huczała stalowym pogłosem nitownica, poskrzypywały liny żurawi, lokomotywy przetokowe gwizdały i stukały na płataninie rozjazdów. Deszcz nadciągał kurtyną, aż ogarnął i Washingtona, który z lubością wystawił opaloną twarz na chłodny prysznic, jako że dzień był parny i gorący. Chociaż nosił tu jedynie koszulę i spodenki z najcieńszej bawełny, gorąco dawało się we znaki. Zdjął hełm tropikalny i cieszył się spływającą po włosach wodą tak długo, aż deszcz zamienił się w ostro zacinającą ulewę. Wtedy wrócił do biura i wytarł się ręcznikiem. Urzędnicy jak zwykle robili swoje, wyjąwszy nowego tu szefa brygadzystów, Sappera Cornplantera, który pojawił się z plikiem papierów w dłoni.

– Mam zestawienie z kart zegarowych wszystkich brygad. Godziny pracy, zwolnienia chorobowe, wszystko. Marnujemy masę czasu.

– Obawiam się, że tym razem muszę podzielić twój brak entuzjazmu. – Washington spojrział na zegarek i podjął szybką

decyzję. – Niech posłaniec zanieś to wszystko do hotelu i położy na moim biurku, popracuję nad tym w nocy. Nowy Jork niepokoi się rosnącymi kosztami, może dowiem się z tych papierów, skąd aż takie wydatki. Zobaczymy, co powie statystyka. Najlepiej będzie, jak wyjdę od razu, przed końcem zmiany. Inaczej mogą mnie stratować.

– W tym klimacie kopanie tunelu wzmaga pragnienie. Robotnicy muszą mieć pod dostatkiem piwa, wina i taniej whisky.

– Tego nie kwestionuję. Wiesz, co robić i gdzie mnie znaleźć.

Ulewa miała się ku końcowi. Gdy szedł przez stocznie, tylko kilka kropel spadło mu na kask, jednak wysokie buty były naprawdę niezbędne, gdyż ciężarówki niezmiennie nawoziły cały teren błotem. Skręcił w Avenida Atlantica, szeroką ulicę biegnącą wzdłuż plaży i wmieszał się w mocno zróżnicowany tłum, który wylegał z wolna na popołudniową sjęstę. Gus lubił tę porę dnia oraz widok ludzi, którzy przybyli tu niemal ze wszystkich zakątków świata. Senne, tropikalne miasteczko Angra ożyło za ich przyczyną, cała zaś wyspa Terceira w archipelagu Azorów zmieniła się w tętniący życiem, światowy port.

Kręcący się wkoło robotnicy po szychcie pochodzili z obu stron Atlantyku. W kolorowych kamizelkach, wysokich butach i szerokich kapeluszach przepychali się bez pardonowo, przytłaczając swą liczbą oliwkowoskórych tubylców, którzy jednak wcale nie wwoładali na zmartwionych. Nigdy jeszcze nie

zaznali takiego bogactwa jak teraz. Dotąd trudnili się głównie połowem ryb, co dawało dochody nijak nie porównywalne z płacą robotników tunelowych. Kiedyś musieli wysyłać swe ananasy, banany i pomarańcze daleko za morze, podobnie jak tytoń i herbatę, teraz wszystkie te dobra sprzedawały się świetnie na miejscowym rynku i na eksport mało co zostawało. Na dodatek wśród kupujących byli nie tylko robotnicy, gdyż budowa przyciągała coraz to nowe rzesze mężczyzn, a nawet kobiet, które nie miały nic przeciwko wydawaniu pieniędzy uczciwie pracujących mężów. Pojawili się też na ciemno ubrani gracze, zwykle z niewielkimi wąsikami i starannie utrzymanymi, białymi dłońmi i schowanymi dyskretnie pistoletami. To ostatnie na wypadek, gdyby ktoś chciał kwestionować ich uczciwość lub wynik padły w rzucie kośćmi. Za nimi nadciągnęli lichwiarze gotowi pożyczyć potrzebującym każdą praktycznie sumę. Proponowane przez nich odsetki, czasem nawet trzysta lub czterysta procent, pozwalały łatwo zrozumieć sens i słusność biblijnych przypowieści. Potem przybyli kupcy. Nie ci bogaci i ustabilizowani, ale biedacy z pudłami, torbami i sekretnymi kieszeniami tu i ówdzie. Wyciągali z nich pierścionki, zegarki, diamenty i rubiny i próbowali je sprzedać za śmiesznie niskie ceny, uzasadniając szeptem, że towar jest gorący, *lava*, czyli że pochodzi z kradzieży. Chociaż pierścionki szybko zieleniały, zegarki przestawały tykać, gdy zdychały wepchnięte do kopert karaluchy, a diamenty i rubiny tłukły się ledwo upuszczone nie znaczyło to, że paserzy nie znają się na rzeczy. Wręcz

przeciwnie. Obrzydliwiej jeszcze jedna grupa, zasadniczo kobieca tym razem. Nocne istoty, na których życiorys atramentu by nie starczyło, na wszelkie sposoby zdradzane, maltretowane i niewolone. Ich proceder kwitł nie gorzej od innych.

Wśród przechodniów pojawiali się ponadto Maurowie, którzy przybyli na Azory sprzedawać żywność z Afryki i Iberii, jako że archipelag był zbyt mały, aby wykarmić się samodzielnie. Byli też ciemnoskórzy i ostronosi mężczyźni w białych burnusach, błądzący w tłumie z dłońmi wiecznie na rękojeściach noży, bo przecież nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, jednak ciekawość gnała ich między tych dziwnych chrześcijan. Czasem mignął ktoś ubrany z europejska, być może poważniejszy biznesmen załatwiający incognito jakieś swoje interesy, bo i różnych transakcji zawierano tu wiele. Czarny strój zapewniał anonimowość, finansisci świata całego ubierali się podobnie i nie dało się powiedzieć, czy ten dżentelmen to Francuz, Prusak, Rosjanin czy Polak, Duńczyk czy Holender. A wciąż napływało ich więcej.

Gus uwielbiał obserwować to niepowtarzalne widowisko i gdy doszedł do swego ulubionego przybytku, El Tampico, zajął stolik na werandzie, ledwie kilka stóp nad poziomem ulicy. Oparł rękę na grubej, mosiężnej barierce, kiwnął właścicielowi i uśmiechnął się do kelnera, który niósł już schłodzoną butelkę miejscowego wina, ulubionego wina Washingtona, *vinho de cheiro*, lekko perfumowanego i słodkiego, przywodzącego na myśl woń ogrodu różanego. Upił łyk i poczuł, jak spływa nań spokój. Praca szła dobrze i nie było powodów do narzekań. Po

chwili jednak kątem oka dostrzegł, że ktoś dosiada mu się do stolika. Odwrócił głowę od ulicy. Obcy przysunął się bliżej. To nie mógł być przypadkowy gość, gdyż zaraz zaczął mówić, i to specjalnie cicho, żeby tylko Gus go słyszał.

– Masz dobrych robotniki, panie Washington, ciężko pracują i dużo jeść muszą. Ty ich żywisz, a dużo żarcia wielka forsa. Tak się zdarza, że mam masę szynki w puszkach, tak dobra, że nie do wiary, wziąłem trochę na próbę. – Coś pacnęło mokro na stół. Gus mimowolnie spojrzął na leżący tuż obok jego łokcia kawał wędliny. Zignorował jednak tak szynkę, jak i jej właściciela. – Spróbuj, jaka dobra, porządna świnina z Bałkanów. Sprzedam ci te szynki za dobrą cenę i tobie jeszcze pod stołem odpalę. Najlepiej w złocie...

I tutaj musiał przerwać przemowę, gdyż Sapper Cornplanter, który tymczasem zaszedł osobnika od tyłu, ujął go jednocześnie za kark i za siedzenie i łukiem cisnął na ulicę, skąd tamten momentalnie zniknął. Pstryknięciem Gus posłał porcję szynki w ślad za obcym. Zniknęła równie szybko za sprawą jednego z licznych długonogich wyspiarskich psów.

– Znowu beton oszukany piaskiem? – spytał Sapper. Nie siadł, ale nalał sobie nieco wina.

– Nie tym razem. Z tego, co zdążyłem zrozumieć, to raczej transport mięsa. Skradziony, przeterminowany lub coś w tym rodzaju. Wciąż próbują.

Sapper mruknął coś w odpowiedzi i zniknął w lokalu. Gus pociągnął łyk wina. Różni szemrani przedsiębiorcy nachodzili go nieustannie, nauczeni dotychczasowym doświadczeniem, że

każdy ma swoją cenę. Nie potrafili przyjąć do wiadomości, że Gus jest po prostu nieprzekupny. Od dawna już nie próbował nawet podejmować z nimi konwersacji, dbał jedynie, by zawsze był w pobliżu ktoś z jego ludzi, gotów na dyskretny znak usunąć natręta. Washington przywykł już do podobnych sytuacji i zaraz o wszystkim zapomniał. Ze szklanką wina w dłoni rozkoszował się wieczornym, chłodnym uspokojeniem. Pewien czas później przeszedł zatłoczonymi ulicami do hotelu Terra Nostra, gdzie wynajmował pokój. Był on najlepszy na wyspie, co nie wiązało się ze szczególnymi wygodami, gdyż wszystkie hotele i restauracje od czasu rozpoczęcia budowy przeżywały okrutne obłędzenie. Właściciel, który dumny był cały z tego, że gości Gusa, skłonił się nisko i wręczył mu czekającą nań paczkę. Washington poszedł do pokoju popracować jeszcze trochę przez obiadem, który zgodnie z miejscowym zwyczajem jadał dopiero wieczorem.

Otworzył drzwi i spostrzegł, że pokojówka znów musiała zapomnieć o włączeniu światła, co zdarzało się jej aż za często. Zamknął drzwi za sobą i poszukał kontaktu. Przekreślił i nic. Widocznie znów zabrakło prądu, prowizoryczna elektrownia na węgiel co rusz meldowała o awariach. Chociaż nie, na korytarzu światło było. Nieco zdezorientowany Gus obrócił się ku drzwiom, gdy nagle oślepił go ostry strumień światła latarki. Nie był więc w pokoju sam, a tajemniczy gość nie przybył raczej w dobrych zamiarach. Washington już chciał się rzucić na intruza, ale zastygł w miejscu na widok wysuniętego przed latarkę rewolweru



– Chce mnie pan obrabować? – spytał. – Niezupełnie – odparł tajemniczy gość z akcentem,

który zdradzał niechybnie Amerykanina. – Powiedzmy, że wołałem przekonać się najpierw niezbitcie, kim pan jest i czy przyszedł pan sam. Broń mam po to jedynie, by zażegnać gorszące sceny i pochopne czyny. Za co przepraszam, ale widzę, że faktycznie gotów był mi pan przyłożyć.

– Daję panu mój portfel, a teraz proszę się wynosić. W pokoju nie ma nic wartościowego.

– Dziękuję, ale nie skorzystam – doleciał z ciemności głos, a za nim nikły śmiech. – Źle mnie pan ocenia. – Nie spuszczać promienia latarki z Gusa, gość zapalił wreszcie światło.

Nocny intruz miał chyba ze trzydzieści parę lat i nosił się jak typowy amerykański turysta za granicą: kolorowa indiańska koszula, spiczasta czapeczka z plastikowym daszkiem obwieszona znaczkami i wizytówkami różnych miejsc, które taki turysta mógł odwiedzić. Szorty do kolan, nabijane ćwiekami mocne buty, na szyi kamera i aparat fotograficzny, a przy pasie nieodzowny, zastępujący przewodnika odtwarzacz drutowy z nagranyimi tekstami krajoznawczymi.

Twarz miał całkiem miłą, przynajmniej gdy się uśmiechał, jak w tej chwili, poza tym jednak kojarzył się z gotowym do uderzenia drapieżnikiem. Chłodne, błękitne oczy, szeroka szczęka i złamany już chyba parokrotnie nos. Gus przyjrzał się uważnie gościowi, czekając na chwilę, gdy będzie mógł mu wytrącić rewolwer i odmienić nieco rozwój wypadków. Jednak

nie musiał. Chwilę później tamten otworzył magnetofon i z jakiejś sekretnej wyraźnie przegródki wyjął coś niewielkiego, potem schował w to miejsce broń i zamknął urządzenie.

– Miło mi pana poznać, kapitanie Washington. Nazywam się Richard Tracy i jestem szefem nowojorskiego biura Pinkertona. Zgodnie z poleceniem zdradziłem już panu moją tożsamość i mam jeszcze dla pana wiadomość.

Sztywna koperta została zalakowana i odcisnięto na niej pieczęć sir Winthropa. Brakło śladów manipulacji. W środku tkwiła odręczna notatka Rockefellera. Gus od razu poznał charakter pisma.

*Przedstawiam szanownego R. Tracy'ego, którego wynająłem prywatnie. Można go darzyć całkowitym zaufaniem. W. Rockefeller*

– Zna pan treść listu?

– Tylko ogólnie. Stwierdza się w nim, że zostałem wynajęty do poprowadzenia śledztwa i informuje pana o mojej osobie. Poproszono mnie, abym dodał, że sir Winthrop wynajął mnie całkiem prywatnie, za własne fundusze, i że poza nim jedynie pan wie o moim zadaniu.

– Zapewne powie mi pan, czego dotyczy śledztwo?

– Już do tego przechodzę. Sabotaż to paskudna sprawa. Mógłbym sporo powiedzieć o tych wypadkach, które pan zna aż za dobrze, i dodać jeszcze kilka, o których pan nie słyszał.

– Jak ten tajemniczy brak paliwa w zbiornikach helikoptera

w Kanadzie?

– Właśnie. I podcięcie kabli podtrzymujących segment tunelu nad Wielką Ławicą, zawalenie się pewnej lokomotywni i jeszcze inne. Jestem na wyspie już od pewnego czasu i pora przejść do konkretów. Ma pan przeciwko sobie całkiem silną i dobrze zakonspirowaną organizację, która działa bezlitośnie i przed niczym się nie cofnie. Jest też sownie finansowana.

– Ale kto się za tym kryje? I dlaczego?

– Na obecnym etapie skazani jesteśmy jeszcze na snucie domysłów, czego wołałbym nie robić, na razie interesują mnie tylko i wyłącznie fakty. Zapewne wkrótce dowiemy się i tego, bo przyszedłem prosić pana o pomoc. Razem z podwładnymi prowadzimy śledztwo już od paru miesięcy...

– Ale ja nic nie wiem!

– I wcale pan nie musi, bo mam do dyspozycji naprawdę najlepszych z najlepszych. Kilku z nich widział pan zapewne w tunelu, skierowałem ich bowiem na różne stanowiska pracy. Jeden z nich, przewiskiem Cap, bo szpetny jak rzadko, został ostatnio zagadnięty przez sabotażystę. Oczywiście przystał na współpracę. I dlatego właśnie trzeba nam pańskiej pomocy. Musi nam pan dostarczyć okazji do dokonania jakiegoś spektakularnego aktu sabotażu, tak aby Cap zyskał w oczach spiskowców. Gdy dowie się już, kim są, złapiemy nie tylko płotki.

– Pomyślę o tym. Chyba coś znajdziemy, porozmawiam z...

– Nie sir leniei z nikim nie rozmawiać. Zbyt cenie sobie

swe życie.

– Chyba nie rozumiem.

– Będę szczery. Nie jestem pierwszym wynajętym detektywem. Tamci albo odchodzili z kwitkiem, albo znajdowano ich zabitych w tajemniczych okolicznościach. Sir Winthrop jest przekonany, a ja się z nim zgadzam, że w spisku uczestniczy jakaś wysoko postawiona persona z kompanii.

– Nie może być!

– Ale jest. Ktoś, kto ma dostęp do wielu informacji, może zresztą takich osób jest więcej. Dopóki się nie dowiemy, nie możemy ryzykować, dlatego właśnie postanowiłem złożyć panu wizytę w tak niezwykły sposób. Poza sir Winthropem i panem nikt nie może o mnie wiedzieć.

– Ależ mogę zaręczyć za...

– Nikt! To zasadniczy wymóg.

Gus przystał na to, ustalili system haseł i sposób nawiązywania kontaktu, wymyślili idealną okazję do sabotażu. Dopełniwszy ustaleń, konspirator otworzył coś, co wyglądało na zwykłą obręcz identyfikacyjną noszoną na nadgarstku i uruchomił całkiem zgrabną, skrytą tam radiostację. Porozumiał się ze współpracownikiem, usłyszał, że nikt niepowołany nie obserwuje pokoju, i dopiero wtedy zgasił światła i wymknął się cichutko na korytarz.

Gus pracował potem do późna, nie mógł jednak przestać myśleć o tajemniczych sabotażystach. Kim są? I kto z kompanii powziął zamiar zniweczenia jej planów?

Skonczywszy pracę, długo przewracał się niespokojnie w pościeli. Nowo uzyskana wiedza wyraźnie mu ciążyła.

## Spisek zde maskowany

Słoneczne popołudnie trwało w absolutnej niemal ciszy. Nie było słycać ani stukotu młotów, ani warczenia silników, ani odgłosu pospiesznych kroków, wszystkie ludzkie odgłosy zamarły, jedynie fale uderzały miarowo o brzeg i mewy krzyczały w górze. Wszyscy porzucili pracę, odeszli od swych warsztatów i wspięli się, gdzie kto mógł, by obserwować dramatyczny rozwój wydarzeń. Dachy, szczyty murów i dźwigi pełne były gapiów wpatrzonych w nisko wystający ponad fale grzbiet łodzi podwodnej, która na pełnej szybkości wychodziła z przystani. Tylko w Biurze Nadzoru panowało niejakié ożywienie. Radiooperator ścisnął kuczowo mikrofon, drugą dłonią manipulował przy przełącznikach i cedził słowa, po czole zaś spływał mu pot i niezauważenie skapywał na ławę.

– Powtarzam, to rozkaz kapitana Washingtona. Powtarzam, musisz natychmiast opuścić pokład. Rozumiesz? *Nautilus*, słyszysz mnie?

Głośnik buchnął trzaskami, ale po chwili rozległ się

wzmocniony głos:

– Jasne, ale co tu do rozumienia? Słyszę, jakbyś sterczał mi za uchem. Trzymam kurs.

Coś jakby westchnienie wyrwało się z ust obecnych. Gus przepchnął się do przodu i przejął mikrofon.

– Mówi Washington. To rozkaz, O’Toole. Włącz autopilota i zmykaj. Wyłowimy cię. Odbiór.

W głośniku znów zatrzeszczało.

– Rozkazy są po to, by je wykonywać, ale za przeproszeniem, kapitanie Washington, chyba nie słyszałem zbyt dobrze, co pan powiedział. Wie pan, te zakłócenia... Ale robię starym *Nautem* więcej węzłów, niż kiedykolwiek dotąd ta balia wyciągała. Ciągnie jak potępieniec! Wskazówka wciąż leży na czerwone pole, ale zanim dolezie, będziemy daleko na pełnym morzu.

– Możesz wygasić stos?

– Obawiam się, że nie, sir. Gdy go włączyłem i wyciągnąłem prety sterownicze zablokowały się i ani drgną. Nawet ręcznie nie mogę ich wsunąć. Nie jestem atomistą i za diabła nie wiem, jak to naprawić, no to pomyślałem, że najlepiej będzie wyjść w morze.

– Włącz autopilota i wyskakuj...

– Trochę za późno, kapitanie, bo coś grzeje mi się ostro na rufie. Na dodatek autopilota mogę ustawić tylko na trzymanie kursu, a nie na zanurzenie, a mam chęć zejść tak głęboko, jak tylko się da. No to na razie, bo pod wodą już was nie złapię...

Głos ucichł i zamarł, a mikrofon wypadł Gusowi z dłoni.

Daleko na oceanie woda zapieniała się nad schodzącą w głębinę łodzią i po chwili fale toczyły się spokojnie jak zwykle.

– Wywołaj go przez telefon sonarowy.

– Już próbowałem, sir. Chyba nie włączył przystawki.

Ponownie zapadła cisza. Przekazywana szeptem wiadomość, co zamierza ten jeden człowiek, rozeszła się błyskawicznie. Wszyscy wiedzieli, co się teraz stanie i ile mu zawdzięczają. Patrzyli na morze, aż dopełni się ostatni akt dramatu. Mało który z nich miał jakiegokolwiek pojęcie o energii atomowej, ale oczekiwali czegoś niesamowitego.

I zdarzyło się. Morze nagle zawrzało i woda strzeliła w górę, jakby z głębi usiłował wypłynąć jakiś potwór lub zgoła nowa wyspa zamierzała wyrzeć na świat. Chwilę potem dał się wyczuć wstrząs, który zbił ludzi z nóg i zakołysał dźwigami, aż zadźwięczały kratownice, a z oceanu podniósł się wysoki na setki stóp wał wodny. Gdy opadł, wychynęła zza niego kolumna pary i rosła tak długo, aż wzniosła się ponad najwyższy szczyt wyspy, górę Pico. Tam rozkwitła gigantycznym kapeluszem. Było to widowisko piękne i straszne zarazem. Śmiertelny grzyb zawisł nad wyspą na wiele długich chwil.

Obserwatorzy wzroku nie mogli od niego oderwać, aż w końcu, jeden po drugim, zdjęli z głów czapki i kapelusze i przycisnęli je do piersi ku pamięci tego odważnego człowieka, który ocalił ich wszystkich, ale sam właśnie zginął.

– Koniec z pracą na dzisiaj – powiedział Gus, przerywając milczenie. – Ogłoście to i sami też możecie iść.

Wicher już się usnokaiał. fale wylaadzały. Powiew brwzv



odpędzał złowrogą chmurę od wyspy. Gus tylko rzucił na nią okiem, nasadził kask na głowę i wyszedł. Znajomym szlakiem dotarł do El Tampico. Kelner przybiegł z winem i masą pytań, cóż to takiego właściwie parę chwil temu wszyscy widzieli, ale Gus podziękował machnięciem i za wino, i za pytania i zażądał whisky. Na początek osuszył porządną szklaneczkę, potem znów sobie nalał i zapatrzył się w głębie trunku. Po paru chwilach uniósł zdecydowanie głowę. W drzwiach pojawiła się znajoma sylwetka.

– Dziś nie trzeba nawet nikogo wyrzucać – powiedział Sapper.

– Widzę. Siadaj i wypij sobie.

– Dobry bimberek. – Indianin wypił jednego i sapnął z satysfakcją. – Prawdziwa woda ognista.

– No to nalej sobie więcej. Właściwie możesz zatrzymać całą butelkę. Posiedź tu trochę i nie idź za mną. Wyjdę tylnymi drzwiami.

Indianin zastanawiał się przez chwilę, po czym uśmiechnął szeroko.

– Prawdziwie dobry pomysł. Niech kobiety płaczą z żalu. Prawdziwie indiański pomysł. Mogę ci wskazać najlepszy dom...

– To miło z twojej strony, ale jestem już dużym chłopcem i potrafię o siebie zadbać. Siedź tu i tyle.

Gus wstał, tłumiąc uśmiech. Gdyby tylko Sapper wiedział, gdzie się wybiera jego szef i przyjaciel. Na wszelki wypadek Washington przystanął jeszcze w korytarzu i upewnił się, że jest sam. Potem minął okno, gdzie widać było jakby na niebie

sam. Potem minął główną salę, wszedł po schodach na piętro i sprawdził okno na końcu korytarza. Nie było zamknięte, a nasmarowane zawiasy chodziły bez szmeru. W parę chwil był już na gzymsie na zewnątrz. Przymknął okno za sobą i zeskoczył w ciemną uliczkę. Nikt nie mógł go tutaj widzieć, za jedynych świadków miał ślepe ściany i stare beczki. Przechodzący pobliską aleją ludzie nie zaglądali w tak zapuszczone kąty, jednak dla pewności Gus odczekał, aż ulica opustoszeje i dopiero wtedy wszedł na chodnik. Jak najciszej przebiegł do przeciwnego budynku. Drzwi otworzyły się na jego powitanie i zamknęły, ledwie wszedł.

– Dobrze poszło? Nikt cię nie widział? – spytał Tracy.

– Wszystko w porządku. Sapper pilnuje tyłów.

Człowiek od Pinkertona skinął głową i poprowadził Washingtona do sąsiedniego, dobrze oświetlonego pokoju. Okiennice były opuszczone, na stole zaś stało porządne radio, przy którym siedziała znajoma postać, która wstała na widok Gusa.

– Czuję się jak pokutujący duch – powiedział O’Toole.

– Spisałeś się wspaniale.

– Bo jestem urodzonym aktorem, sir, a i pan nie wypadł najgorzej. Przez chwilę naprawdę miałem wrażenie, że siedzę na pokładzie starego *Nauta* i wyprowadzam go w ostatni rejs pod wodę. Aż mnie zatchnęło. Dobra była łajba i trochę jej szkoda.

– Szlachetny koniec był jej pisany. Lepsze to niż stocznia złomowa, gdzie już ją kierowaliśmy. Spawy ciekły, reaktor puszczał i kadłub sztywny zaczynał pękać. Do samego końca

dobrze nam służyła.

– Jasne, ma pan rację, chociaż nie wiem, jak będzie z opadem radioaktywnym. Czy nam nie zagrozi...

– Nie ma się czego bać. Ci z meteo zapewnili mnie, że wiatr znosi chmurę nad morze i wszystko opadnie z dala od linii żeglugowych. Prądy szybko rozwłócą resztki i stężenie nie sięgnie nigdzie nawet granicy niebezpiecznych wartości.

– To pocieszające. A co do reszty zamierzeń na dzisiejszy wieczór: czy mogę pójść z panem? Niech śmierć *Nautiego* nie będzie daremna...

– Nie! – warknął Tracy, kładąc odruchowo dłoń na rękojeści rewolweru. Jeszcze jeden mężczyzna, który dotąd siedział spokojnie na krześle w kącie pokoju, teraz wstał powoli. Okazało się, że przez cały czas trzymał broń w dłoni. Tracy uspokoił go machnięciem.

– Nie trzeba, Pickering, ten pan nie będzie nalegał. Kapitanie Washington, gdy zgodziłem się na udział jeszcze jednej osoby, jasno dałem do zrozumienia, że do końca operacji zostanie ona w tym pokoju.

– I tak też będzie, Tracy. Dałem słowo. – Gus spojrzał na niewiele rozumiejącego sternika pojazdu podwodnego. – Tak musi być, O’Toole. Wszedłeś w to na ślepo, zaufałeś mi, że to ważne, aby udać akt sabotażu na twoim *Nautilusie* i posłać go na dno, niby z tobą na pokładzie. Wiesz także, iż ta sprawa jest niezwykle tajna. Pewnie domyślasz się niejednego, ale na razie zachowaj te przypuszczenia dla siebie. I zostań w tym pokoju z panem Pickeringiem. Jeśli nie dla innych powodów, to chociaż

dla własnego dobra. Idziemy na spotkanie naprawdę niebezpiecznych ludzi i pewien jestem, że obaj nasi towarzysze woleliby cię zastrzelić, niż po dobroci wypuścić na ulicę.

Detektywi skinęli głowami, O'Toole zaś wzdrygnął się na podobną perspektywę.

– Niech tak będzie, sir. Jedno samobójstwo już dzisiaj popełniłem i jakoś nie mam ochoty na następne.

– Proszę usiąść pod tą lampą. – Tracy wskazał ją Gusowi. – Nikt nie powinien pana rozpoznać, dopóki nie skończymy ze sprawą.

Pod wprawnymi palcami Washington zmienił się w kogoś zupełnie innego tak szybko, że przyglądający się temu O'Toole co rusz przywoływał jakiegoś świętego od nagłych zdumień. Najpierw wtarł mu w twarz i dłonie brunatny barwnik, potem wypchał poduszczkami policzki, zaznaczył cienką kredką rysy twarzy, rozszerzył dyskretnymi pierścieniami nozdrza i dokleił pod nosem parę czarnych wąsów. Na głowę nasadził pasującą do nich perukę i gdy Gus spojrział w lustro, ujrzał obcego osobnika, który mógł pochodzić z Ameryki Łacińskiej, mógł też być rodowitym wyspiarzem. Podziwiał jeszcze nową fizjonomię, gdy Tracy dokonał podobnej operacji na sobie i wyciągnął skądś dwa garnitury w paski, oba z wypchanymi ramionami i ogólnie kontynentalnego kroju, oraz czarne buty z ostrymi czubkami. O'Toole tylko gwizdnął przez zęby.

– Na ulicy bym pana nie poznał.

– Musimy już iść – oznajmił Tracy, zerkając na zegarek i przejmując przełotnie wraży wzrok dla swego kunsztu

i przejmując przelotnie wyrazy uznania dla swego kuliszowego charakteryzatora. – Mamy jeszcze kawałek do przejścia, nim dotrzemy na miejsce spotkania.

Tymczasem zapadła już noc i spokojnie mogli przemykać co ciemniejszymi alejami, które Tracy wybierał z taką wprawą, jakby znał całe miasto na pamięć. Przystanęli przed mrocznymi drzwiami, które niczym nie różniły się od setek innych.

– To krwawe zbiry – powiedział Gusowi do ucha. – Na pewno będą uzbrojeni. Mam zapasowy rewolwer, gdyby pan chciał..

– Nie, dziękuję, jestem raczej pokojowego usposobienia.

– To tylko narzędzie obrony. Ale słyszałem, że pański prawy sierpowy budził kiedyś lęk i w uczelnianych czasach namawiano pana nawet na zawodowstwo. Jakby co, to silne pięści też mogą się przydać.

– Z niecierpliwością będę czekał na stosowną okazję. Ruszajmy.

Drzwi okazały się tylnym wejściem do średnio zaplutej speluny, jakich wiele było na nabrzeżu. Tę odróżniała od pozostałych jedynie galeria, z której można było śledzić poczynania gości na parterze lub zaglądać do kociołka. Zajęli stolik zaraz przy barierce, a Tracy zdecydowanie odprawił próbujące się dosiąść ciemnokie i obdarte kobiety. Kelner przyniósł butelkę tego, co tutaj uchodziło za najlepszy trunk, czyli cieniutkiego i kwaśnego szampana, który choć nigdy nie widział Szampanii, to droższy był niż porządna whisky. Zamoczyli jedynie wargi, bo pić tego nie mieli ochoty.

– Jest – szepnął Tracy znad szkła. – Przy stoliku obok drzwi. Pije sam. Nie oglądaj się na niego, bo inni siedzą tuż za nami.

Gus przyjął od Tracy'ego podejrzenie czarne krótkie cygaro, zapalił je i rzucił zapalną na podłogę, a przy okazji przyjrzał się dyskretnie otoczeniu. Towarzystwo piło, krzyczało, grało i kleło ile wlezie. Typowe nocne życie: miejscowi twardziele, robotnicy, wilki morskie i wszelkie szumowiny. Po zauważonym przez Tracy'ego mężczyźnie przesunął jedynie okiem, jak po wszystkich. Facet był szpetny, z wiecznie zaciętą twarzą, zaiste Cap, jak opisał go Tracy. Ubrany był tak samo jak inni robotnicy, bo na co dzień robił to samo co oni: pracował przy budowie tunelu. Mógł mieć dostęp do pojazdu podwodnego i stąd też wziął się pomysł Gusa. Rzekomy akt sabotażu udał się znakomicie i gość oczekiwał teraz na zapłatę. Ostatecznie tragedia była spektakularna, a on dowiódł swojej wartości.

W tejże chwili przez zgiełk na dole przebił się czyjś donośny, dziwnie znajomy głos. Gus spojrział przez barierkę i ledwo się opanował. Spokojnie uniósł szklankę.

– Tam na dole jest mój robotnik, Bitny Jack – powiedział, chowając usta za szkłem. – Szef brygadzystów brytyjskiego odcinka. Jeśli mnie rozpozna...

– Oby nie, bo inaczej po nas i wszystko na marne. Wiem, że przybył dziś razem z grupą brytyjskich robotników, ale czemu przylaź akurat do tej speluny? Pech.

Najgorsze jednak dopiero miało nadejść. Na ulicy rozległy

się jakieś krzyki, drzwi huknęły o ścianę i do środka wkroczył Sapper Cornplanter, zalany w trzy dywizje i z niemal pustą, zafundowaną wcześniej przez Washingtona, butelką whisky w dłoni. Na wypadek, gdyby ktoś jednak go nie zauważył, Indianin wrzasnął głośno a wojowniczo, zgodnie z tradycją swego plemienia, aż szklanki zadzwoniły na barze:

– Potrafię załatwić każdego pod tym dachem! Potrafię załatwić trzech, jeśli jeden mi nie stanie! Potrafię załatwić sześciu, jeśli...

– Wielki wór indiańskich smrodów.

Słyszając te słowa, Sapper zamarł. Szukając spojrzeniem tego, który je wypowiedział, obracał głową niczym wieżą pancernika, tyle że miast otworów dział ziała w niej para przenikliwych, czarnych oczu. Bitny Jack wstał, a Gus w ostatniej chwili stłumił jęk.

– Cuchnący angielski łgarz.

Ledwie Sapper to powiedział, pewnym ruchem stłukł butelkę o framugę i uczynił to gestem tak pewnym, jakby był zupełnie trzeźwy. Jack odkopnął krzesło i wyszedł na parkiet.

– Bez różyczki nie potrafisz, co Indiancu? Boisz się gołych pięści? – powiedział i uniósł jedną z wielkich jak bochny dłoni.

Sapper cisnął szkło i też podszedł bliżej.

– Byle biały potrafi walczyć na pięści, ale co powiesz na indiańskie zapasy?

– I tak we wszystkim będę lepszy od ciebie! – ryknął Jack.

Goście pierzchnęli na boki, gdy tych dwóch postąpiło ku sobie z takim imnetem że aż się cała buda zatrzęsa. Staneli

stykając się niemal twarzami, niczym dwa parowozy na jednym torze, i wyraźnie żaden nie miał zamiaru się cofnąć. Na mocy niewypowiedzianego porozumienia odstępili zaraz na bok, do opustoszałego dopiero co stołu, stracili szkło i butelki z blatu, zdjęli marynarki i zaczęli podwijać rękawy. Potem przysiedli, oparli łokcie o wyszczerbione drewno i patrząc sobie uważnie w oczy, zwarli dłonie. Była to popularna i stosunkowo bezpieczna metoda rozstrzygania większości sporów, pozwalająca na szybkie wyłonienie zwycięzcy.

Tym razem jednak sprawa się przeciągała. Obaj byli potężnie zbudowani i chociaż twarde jak stal mięśnie nabrzmiały im pod skórą, żaden nie potrafił skłonić przeciwnika do ustępstwa choćby o cal. Aż nazbyt równi siłą, trwali w wysiłku, a tłum w milczeniu obserwował ten pojedynek tytanów. Wszyscy wyraźnie usłyszeli, jak pęka rozsadzony bicepsiem rękaw Jacka, chwilę potem identycznie rozdarła się w ramionach koszula Sappera. A oni nic.

Nagle rozległ się trzask. To stół nie wytrzymał i rozleciał się w kawałki. Obaj wstali, nadal szczeni, chociaż łokcie ich straciły punkty oparcia. Zdało się, że ludzkie mięśnie i kości nie zniosą takiego naporu.

Po sali rozszedł się szmer podziwu. Czegoś takiego jeszcze tu nie widziano. Szmer urósł po paru chwilach do głośnej wrzawy, szczególnie wiele hałasu czynili wydający okrzyki wojenne Indianie z plemienia Onondaga, którzy obsiedli całą grupą stolik pod ścianą. W odpowiedzi jeden z angielskich



robotników krzyknął:

– Złam go w pół, Bitny Jacku!

Inni też dodali swoje, najdziwniejsza była jednak reakcja Sappera. Przyjrzał się przeciwnikowi z nowym zainteresowaniem i poluził odrobinę mięśnie szczęk.

– Ty jesteś... szef brygadzystów... Bitny Jack? – spytał z niejakim wysiłkiem.

– Jestem – odparł Jack po chwili potrzebnej na ożywienie krtani.

Rezultat tej wypowiedzi był co najmniej zaskakujący. Sapper przestał stawiać opór i pozbawiony przeciwwagi Jack stracił na chwilę równowagę i obrócił się gwałtownie wkoło własnej osi. Uznawszy to za zniewagę, zacisnął pięści, gotów poczęstować nimi Indianina, ale zanim doszło do czegokolwiek, ten znów się odezwał:

– Ja też jestem szefem. Nazywam się Sapper Complanter.

Bitny Jack opuścił pięści, wyprostował się i zdumiał się nie mniej niż jego oponent chwilę wcześniej. Spojrzeli znów na siebie, uśmiechnęli się i już po paru sekundach gruchnęli rechotem. Widzowie niczego nie pojmowali, gdy obaj giganci objęli się ramionami, złapali z najbliższych stołów po butelce i w najlepszej komitywie wyszli z tawerny.

– Mam nadzieję, że potrafisz wytłumaczyć ich zachowanie – szepnął agent Pinkertona.

– Jasne – odparł Gus. – Jak wiesz, Sapper to mój główny brygadzysta na Azorach, a Bitny Jack był moim podwładnym przy budowie angielskiego odcinka. Obaj słyszeli o sobie

wzajem sporo dobrego, obaj są moimi przyjaciółmi, a dla robotnika przyjaźń to nie w kij dmuchał. Gdy się rozpoznali, obaj zrozumieli, że mają wiele wspólnego, tyle wspólnego, że miast walczyć, winni raczej napić się razem. Pewnie już zaczęli.

Skończywszy wyjaśnienia, Gus spojrzął na stolik Capa. Zupełnie o nim zapomniał.

– Zniknął! – szepnął wstrząśnięty. – Zagapiliśmy się!

Całą operację szlag trafił, przez przypadek stracili szansę na pojmanie sabotażystów. Gus poczuł się nader nieciekawie, Tracy jednak zachował spokój. Spojrzął na wielki kieszonkowy zegarek.

– To ty się zagapiłeś – powiedział chłodno. – Za stary wróbel jestem, by dać się złapać na plewy. Kontakt Capa wykorzystał zamieszanie i wyszli dyskretnie w trakcie pojedynku.

– Czemu nie powiedziałaś? Teraz nigdy ich nie znajdziemy.

– Wręcz przeciwnie. Wszystko idzie zgodnie z planem. Wspomniałem ci, że przeciwnik obstawił knajpę. Gdybyśmy wyszli zaraz za nimi, zostałoby zauważone i kłopoty murowane. Teraz zapłacimy spokojnie za te szczyzny – rzucił kilka monet na stół – bo część artystyczna dobiegła już końca. I możemy sobie pójść. Bez ogona.

Znów spojrzął na zegarek i wstał.

Zdumiony spokojem detektywa (wobec takiej kłęski!) Gus podążył za nim. Z ciemnego zaułka wyszli na ulicę, potem skręcili w główną aleję i Tracy poprowadził ku nabrzeżu.

– Pora. by cie oświecić. Washington – odezwał się

przewodnik. – Wy macie swoje sekrety, my też, a Pinkerton jest najlepszy. Nasz agent, Cap, ma w podeszwie buta specjalne urządzenie, tak wbudowane, że normalne przeszukanie niczego nie ujawni. Gdy zaczyna stąpać nieco mocniej, uruchamia to specjalną błonę pośrodku zbiorniczka w obcasie. Kwas przepływa z jednej części do drugiej, tworząc ogniwo. Prąd zasila wtedy miniaturowy, ale potężny nadajnik z anteną w pasku. Całość łączy drucik wpleciony w szew spodni. Widziałeś, jak zerkałem na zegarek?

– Owszem. Nawet zdumiałem się, skąd ten przyływ zainteresowania.

– To nie zegarek, ale odbiornik fal krótkich nastrojony na nadajnik Capa. Pokazuje precyzyjnie kierunek, z którego dochodzi sygnał. Sam zobacz.

Wyciągnął zegarek i ułożył go na dłoni. Najbliższa latarnia gazowa dawała dość światła, aby dojrzeć tarczę. Za naciśnięciem guzika wskazówka godzinowa poruszyła się i skierowała ku morzu. Potem wróciła do normalnego położenia i znów pokazywała jedynie czas.

– Genialne, prawda? Wyprzedzili nas mocno i lepiej się pospieszmy. Nie widzimy ich, i dobrze, bo to znaczy, że oni też nas nie dostrzegą. Moment zaskoczenia po naszej stronie. Sygnał wskaże drogę.

Dopóki trop wiódł przez gwarną ulicę, szli normalnie, jak wielu przechodniów. Aleja kończyła się jednak koło mrocznych doków, gdzie zawrócili do najbliższego rogu i przystanęli tam, obserwując barktaczkę. Tęcza unosiła się, nie widać było śladu

rozmawiając bezironii. Tracy upewnił się, że nikt ich nie siedzi, i dopiero wtedy wniknął z Gusem w mroczne okolice.

– Wedle odbiornika są gdzieś na nabrzeżu. Przejdziemy wzdłuż przystani, by ustalić dokładniej ich położenie.

Potykając się o śmieci i rupiecie, przeszkadzając zajęтым swoimi sprawami kotom i płosząc gdzieś tam szczury przeszli całkiem spory kawałek drogi, aż Tracy znów się zatrzymał i zerknął na tarczę urządzenia.

– Ciekawe. Chyba ich minęliśmy. Jesteś inżynierem, Washington, i masz oko do takich rzeczy. Cofniemy się nieco, a ty spróbuj się rozejrzeć, co to może być za kryjówka, dobrze?

– Za podobną robotę mi płacą – mruknął Washington i zawrócił.

Gdy powtórzyli spacer, Washington zastanowił się chwilę i poprowadził detektywa ku pobliskiemu nabrzeżu, przy którym cumowała jakaś jednostka.

– Tam – pokazał palcem.

– Na statku? Jesteś pewien?

– Ty znasz się na swojej robocie, ja na swojej.

– No to przyjmuję. Zaczynamy ostatni akt.

Tracy cofnął się o kilka kroków, wyjął z kieszeni gwizdek i ku zaskoczeniu Gusa zadał weń z całej siły. Powietrze przepłynęło przez szczeliny, nie wydając jednak żadnego dźwięku prócz lekkiego syku. Washington zrobił chyba niezbyt mądrą minę, bo detektyw aż się uśmiechnął.

– Ultradźwięki. Ludzkie ucho ich nie odbiera.

Zaraz pojawiło się dwóch mężczyzn, z których jeden

prowadził na smyczy niewielkiego psa. Tracy pochylił się, by poklepać zwierzaka.

– Jest tak wytresowany, że prowadzi do źródła dźwięku. To moi ludzie. Śledzili nas z dala i czekali na sygnał.

– Nawet ich nie zauważyłem.

– To zawodowcy.

Tracy szybko wydał polecenia i wysforował się z Gusem przed agentów.

– Otoczą teren i podejną jak blisko się da, ale to ja muszę zaatakować. Nie musisz iść ze mną...

– Jestem na rozkazy.

– Dobrze. Taką też miałem nadzieję. Chciałbym, abyś na własne oczy ujrzał ostatnią odsłonę dramatu.

Tracy poszedł pierwszy, cicho niczym kot, Gus parę jardów za nim. Z dali widzieli już mgliście oświetlony trap. Detektyw przystanął, spojrzął na statek i w tejże chwili jakiś cień oddzielił się od muru za jego plecami i runął na agenta.

Gus miał tylko sekundę na działanie, a że nie chciał wywoływać alarmu, też skoczył, uniósł pięść i zatoczywszy nią łuk wyrzwał z całej siły w szczękę tajemniczego osobnika. Chrupnęło i dopiero wtedy Tracy się obrócił. Zagrzechotała na bruku wypuszczona przez napastnika pałka. Potem obaj ułożyli nieprzytomnego powoli na nabrzeżu.

– Dobrze mieć cię za plecami, Washington – szepnął Tracy, co w ustach zawodowca zabrzmiało jak najwyższa pochwała. – Solidnie dostał, zajmą się nim moi ludzie, zanim odzyska zmysły. Zacieśniają krąg, by wylapać wszelkich uciekających

kryminalistów. Od morza ubezpieczają nas szybkie łodzie. Miałeś rację. Sprawdziłem namiernik. Cap jest na tym statku. Idziemy.

Jak duch popłynął dalej. Minęli pordzewiałą rufę statku z nazwą i portem macierzystym: *Der Liebestod, Lucerne*. Szwajcarska bandera, armator z Lucerny – najpewniej jedynie przykrywka. Na pokładzie panowała cisza, samotna żarówka nad wejściem nie dawała wiele blasku. Weszli po trapie i Tracy rozejrzał się wkoło tak pewnie, jakby codziennie plątał się po podejrzanych pokładach. Zachowywali się jak najciszej, ale i tak ich zauważono. Ktoś wyszedł z cienia i zamamrotał coś do Tracy'ego. Ten odpowiedział, idący jeszcze po trapie Washington nie słyszał ani słowa, jednak gdy tamten się odwrócił, detektyw uderzył go czymś w kark. Bezwładne ciało spoczęło na pokładzie.

Gus spojrział niedowierzająco. Tyle szczęścia? Już dwóch oprychów usuniętych z drogi i nikt jeszcze niczego nie podejrzewa? Oby nie zapeszyć.

Tracy czekał już w otwartych drzwiach.

– Pokład pusty, nikogo na mostku – szepnął Washing – tonowi do ucha. – Muszą być na dole. Idź za mną jak najciszej.

Pchnął żelazne drzwi. Weszli na ledwo oświetlony korytarz. Pierwsza kajuta była pusta i ciemna, toteż tylko do niej zajrzeli. Następna podobnie. Kolejne drzwi były jednak zamknięte. Tracy pochylił się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza, potem wyjął lekarski stetoskop i przytknął go do drewna. Skinął głową z satysfakcją i pokazał na schody. Weszli niżej i przez doczekali

z satysfakcją i pokazał na sceny. Zszedł niżej i zaraz doznał się nagrody: drzwi jednej z kajut pod pokładem były uchylone, bił stamtąd silny blask i dolatywał gwar głosów. Tracy ruszył ku nim, minął ziewające czernią wejście do sąsiedniej kabiny. Gdy Gus chciał już iść za nim, z mroku wyłoniła się dłoń z nożem.

Washington zawdzięczał ocalenie jedynie wyrobionemu refleksowi. Odchylił się, chwycił napastnika za nadgarstek i padł wraz nim na podłogę. Dwa ciała rąbnęły z hukiem o grodz. Napastnik ucierpiał bardziej i pięść Gusa szybko pozbawiła go przytomności. Nóż zadzwonił na płytach pokładu.

– Co się dzieje? – spytał ktoś głośno z oświetlonej kabiny. – Słyszałem jakiś hałas na korytarzu.

Tracy nie czekał dłużej. Wyjął rewolwer i kopnął drzwi.

– Jesteście aresztowani! – wrzasnął i skoczył do środka.

Gus bez wahania poszedł w jego ślady. Kabina była spora i najwyraźniej zatłoczona. Któryś z mężczyzn próbował uciekać, ale Gus stanął mu na drodze. Jeden cios i uciekinier zgiął się w pół, a hak w podbródek dokończył dzieła. Zaraz potem Washington uchylił się przed ostrzem mierzącym w jego gardło i poczuł, jak stal głęboko rozcina mu biceps. Jednak zdrowa ręka i tak spisała się nieźle. Znów jednego mniej.

Walka nie trwała długo. Nie zważając na ból, Gus wyprostował się i ujrzał całkiem spore grono porozrzucanych swobodnie po kabynie postaci. Ostatni przytomny dołączył do kolegów za sprawą Capa, który chwycił zbira za łeb i przyrznął nim w grodz. Tracy czym prędzej nałożył kajdanki tym, którzy robili jeszcze wrażenie żywych, a Cap otrzepał ręce i wskazał na

drzwi w drugim końcu kabiny.

– Siwy, ten najważniejszy, umknął tamtędy.

Tracy ogarnął całą scenę spojrzeniem i rzucił Capowi broń. Cap złapał ją zręcznie.

– Pilnuj tych tutaj. Im więcej ich dostaniemy żywcem, tym lepiej.

I ruszył do drzwi. Nabrał rozpędu, rozniósł ramieniem sklejkę w drzazgi. Gus obwiązał tymczasem ramię chustką i zaraz poszedł za detektywem. Ten unosił akurat broń.

– Nie ruszaj się. Zabawa skończona – powiedział do mężczyzny, który próbował wtłoczyć jak najwięcej papierów do małego, drucianego koksownika, który niemilosiernie dymił. Gusowi starczyło sekundy, by pojąć, co się dzieje. Przeskoczył obok detektywa, kopnął kosz i zaczął deptać płomień. Dopiero gdy skończył, spojrzał na swego przeciwnika.

Mężczyzna był siwowłosy. Stał obok biurka z jedną ręką na blacie, a drugą na piersi. Kołysał się lekko. Ale nie tylko włosy miał siwe, cały był jakoś szary, od butów i spodni począwszy, na koszuli i twarzy skończywszy. Przez małe otworki w szarości zerkwały dziwnie popielate oczy.

– Nie ruszaj się – powtórzył Tracy, widząc, że siwowłosy pochyla się nad biurkiem.

Mężczyzna cofnął gwałtownie rękę.

– W szufladzie są pieniądze. Wiele pieniędzy. Są wasze, tysiące funtów. Nie chcę wiele, starczy, byście odwrócili się na kilka chwil, błagam..

– Ma mnie pan za głupca, sir?! Jestem agentem Pinkertona



zatrudnionym przez Kompanię Tunelu Transatlantyckiego i nie ma tym świecie dość pieniędzy na łapówkę, którą mógłbym oszukać mój honor. Musi się pan pogodzić z tym, że to już koniec. Gra skończona.

Siwy załamał się wyraźnie. Gus przez chwilę gotów był mu nawet współczuć. Cała buta i siła zniknęła, gdy rozrzęciona postać opadła ciężko na fotel. Na przyzwyczajonym do takich zdarzeń detektywie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Na Gusie i owszem, ale Washington przypomniał sobie zaraz, za ile to przestępstw odpowiedzialny jest ten człowiek.

– A teraz, sir, proszę zdjąć tę maskę, albo ja ją panu zdejmę.

– Nie... proszę... nie – jęknął tamten, ale Tracy był niewzruszony. Z bronią w pogotowiu podszedł doń, jednym szarpnięciem zerwał maskę i odrzucił ją na bok.

Gusa aż zatchnęło.

Za biurkiem siedział ktoś znajomy, ktoś, kogo Washington nigdy nie podejrzewał, kogo nijak nie powinno tu być. A jednak.

– Wiesz, kto to jest? – spytał detektywa.

– Zatwardziały kryminalista – odparł Tracy.

– To niemożliwe... Ale oczy mnie nie mylą. Nie do wiary.

– Zatem znasz go?

– Oczywiście! To nikt inny, jak Henry Stratton, szanowany bankier z Bostonu i członek nowojorskiej Rady Dyrektorów Tunelu Transatlantyckiego.

– Znaczy to, że mamy niezłego ptaszka. Członek rady! Nic dziwnego, że przestępcy mieli dostęp do wszystkich naszych

szwargę, że przestępcy nie mają dostępu do wszystkich naszych sekretów i pełną swobodę działania.

Stratton siedział z opuszczonymi oczami, oklapły i bezsilny, pozornie obojętny na rozwój wydarzeń. Jednak wyprostował się po chwili i gdy się odezwał, miał szeptać, mówił głośno, z dawnym ogniem:

– Proszę was, panowie, puśćcie mnie wolno. Niesława, która spłynie na moją rodzinę... Nie zrozumiecie tego. Jeśli mnie puścicie, obiecuję...

– Nie – uciął Tracy tak zdecydowanie, że Stratton porzucił wszelką nadzieję.

– Tak, nie powinienem prosić, ale to desperacja mnie do tego przywiodła. Już po mnie, przegrałem, przegrałem już wtedy, gdy to wszystko zacząłem, tylko rozumu mi nie starczyło, aby to pojąć.

– Ale dlaczego? – wybuchnął Washington. – Co skłoniło pana, szanowanego członka rady, do tak szalonych działań?

Stratton spojrział na niego i uśmiechnął się smutno.

– Dlaczego? Mogłem się spodziewać, że pan mnie o to spyta, Washington. Zwykle ludzkie przypadłości pana nie tykają. Jest pan maszyną do budowy tuneli, nie kruchym śmiertelnikiem, jak my wszyscy. Pyta pan dlaczego? Powiem, chociaż to ponura opowieść o drodze do piekieł, na którą można wstąpić, stawiając jeden tylko fałszywy krok. Jestem członkiem rady i zainwestowałem wszystko w kompanię. Byłem jednak chciwy i chciałem więcej, sprzedałem zatem w sekrecie akcje, które mi powierzono, by kupić więcej udziałów tunelowych. Chciałem

zwrócić pieniądze z pierwszych dywidend. Były to jednak akcje pewnej kompanii żeglugowej, jako że pochodzę z rodziny z bogatymi tradycjami morskimi, która pilnie obserwowała moje poczynania, o czym wtedy nie wiedziałem. Pojawił się ktoś znający wszystkie szczegóły moich nielegalnych transakcji. Obiecał mi pomoc i zatuszować wykroczenie, co też zrobił. Potem jednak zażądał w zamian pewnej drobnej przysługi. Jednej, potem następnych. Zostałem jego szpiegiem w radzie, dostarczałem mu informacji, aż nazbyt głęboko się skompromitowałem, by się z tego wyplątać. Przyciskali mnie coraz bardziej, aż doszedłem do tego, co sami panowie widzą. Kierowałem całym zespołem ludzi robiących wszystko, byle tylko zniszczyć tunel. Boże! Cieszę się, że to wreszcie koniec!

– Kim są ci ludzie, którzy pana szantażowali? – spytał Gus.

Stratton pokazał na porozrucane po kabinie papiery.

– Tam znajdzie ich pan wszystkich. Armatorzy statków powiązani z obcymi mocarstwami i inni jeszcze. Wszyscy, którzy uważają, że tunel źle przysłuży się ich interesom. Przedstawiciele krajów źle życzących Anglii i jej imperium. Konsorcjum zbrodni rozkwitłe na skałę, jakiej świat jeszcze nie widział. Wszystko tam jest. Moja korespondencja, kopie notatek, rozkazy, wszystko. Ostatecznie jestem porządnym biznesmenem z Nowej Anglii i cokolwiek robię, robię solidnie. Z tymi dokumentami rozbijecie ich w proch. Wszystko wyjdzie na jaw, tylko moje dobre imię przepadnie na zawsze. Dlatego proszę was, panowie, o jedną tylko przysługę. Weźcie te papierzyska i zostawcie mnie samego na kilka minut. To nie potrwa długo. W kabinie jest

tylko jeden bulaj, za mały na ucieczkę. Proszę was o to jako ludzi honoru.

– Nie – uciał Tracy. – Jest pan najważniejszym świadkiem.

– Tak – rzucił Washington tonem komendy. – Mamy dość zatrzymanych, jeśli to na nich ci zależy. Dla mnie najważniejsze jest to, aby skończyć z sabotażem i wykryć tych, którzy za nim stoją. Do tego starczą nam te dokumenty. Popatrz tylko, jakie nazwiska na nich figurują! Szanowani mężowie, szefowie potężnych koncernów! Dojdzie do całej fali aresztowań, pewnie nawet rynek załamie się na czas jakiś, ale akty sabotażu ustaną raz na zawsze. Obcych rządów nie da się ruszyć, ale zawsze można ujawnić publicznie ich udział i żywotne interesy, a to na jakiś czas zwiąże im ręce. Mamy więcej nawet, niż nam trzeba. Nalegam, aby spełnić prośbę pana Strattona.

Tracy zawahał się, w końcu wzruszył ramionami.

– Sprawiedliwości stanie się zadość, a moje honorarium i tak nie wzrośnie ani o pensa. Skoro pan nalega i bierze na siebie pełną odpowiedzialność za tę decyzję...

– Biorę. Wiem, że sir Winthrop mnie poprze.

Gdy pozbiali już dokumenty i kierowali się do wyjścia, Stratton raz jeszcze spojrzął na Gusa.

– Nienawidzę pana, Washington. Pana i wszystkiego, co pan reprezentuje. Ale dziękuję w imieniu własnym i, przede wszystkim, mojej rodziny.

Kilka chwil po zamknięciu szczątek drzwi z wnętrza kabiny doleciał pojedynczy strzał i znów zapadła głęboka, nocna cisza.



### 3

## Niebezpieczeństwo w głębinach

Dwie mile pod powierzchnią Atlantyku panowała wieczna, cicha i nieskończenie czarna noc. Wiatry, fale i bujne życie zostały ponad dziesięć tysięcy stóp wyżej, gdzie blask słońca ożywiał mikroskopijne drobiny planktonu, podstawę wszelkiego oceanicznego bytowania, miejsce wypasu małych rybek pożeranych z kolei przez większe. Im niżej, tym mniej w wodzie było owej życiodajnej energii oraz tlenu. Na głębokości mili królowały już tylko osobliwe stwory z rzędami przypominających iluminatory światełek, szczękami jak koparki i wolą przetrwania pozwalającą im pożreć stworzenia większe od nich samych, chociaż same były raczej miniaturowe. Taki na przykład *Chiasmodon niger*, drapieżny jak mało kto, liczył ledwie dwa cale długości. Ale to było ostatnie wielkie pole bitwy. Odległe jeszcze o trzy mile dno największych głębi trwało w bezruchu równie niezmiennie jak powierzchnia Księżyca. Wyjątkiem było miejsce, gdzie przepływał denny prąd zmierny w dokładnie przeciwnym kierunku niż

powierzchniowy Prąd Kanaryjski.

Coś jednak pojawiło się w otchłani. Światła, drobne punkciki jasności. Przemieszczały się ruchem wyraźnie jednostajnym. Może narybek? Coraz to nowe lampki zapalały się w mroku. Z wolna dawało się wśród nich rozróżnić dwa gatunki. Jeden mniejszy, relatywnie wprawdzie, bo i tak rozmiarów wieloryba, i coś jakby długi na miłę wąż. Potwór porwał zdobycz i unosi ją do leżą? I co to za stworzenie, tak nieprawdopodobnie długie, z mocną i gładką skórą, zupełnie za to bez oczu, chociaż ze światłami? I mruży jeszcze z cicha, jakby chciało znać spójność głębin? Wszystkie te stwory dźwięczały metalem i były dziełem rąk człowieka, najbardziej zuchwałego stworzenia zamieszkującego tę planetę.

Na czele flotyli pojazdów podwodnych płynął *Nautilus II*, o wiele większy i bardziej uniwersalny niż unicestwiony poprzednik. Jego załoga liczyła trzydziestu ludzi. Tylko garstka z nich obsługiwała sam statek, w wysokim stopniu zautomatyzowany, większość miała w swej pieczy wyposażenie robocze.

Od zaczepów w kilu biegly stalowe liny tworzące długi na miłę hol. Automatyczne czujniki monitorowały jego naprężenie, a otrzymywane z nich informacje trafiały do gigantycznego komputera systemu Brabbage'a. Maszyna zbierała też dane o kablach podczepionych do innych jednostek i tak modyfikowała ich szybkość, aby flotyła poruszała się niczym jeden organizm. Komputer zajmował prawie jedną czwartą przestrzeni *Nautilusa II* i za jedyne środki łączności służyły mu

wiązki jednorodnego światła z licznych, zamocowanych na kadłubie laserów. Bez trudu przenikały całkiem klarowną na tej głębokości wodę, przynosząc modulowanymi sygnałami dowolne informacje. Wszystko to działało bez zarzutu dzięki geniuszowi jednego człowieka, który bez reszty poświęcił się budowie, szczególną uwagę zwracając na konstrukcję ostatniej sekcji.

Linia kolejowa wybiegała obecnie z Nowego Jorku, ciągnęła się po dnie szelfu kontynentalnego i wspinała łagodnym łukiem na zbocza Grzbietu Środkowoatlantyckiego. Urywała się na skraju przepastnego kanionu dzielącego ów grzbiet na dwa równoległe łańcuchy. Po drugiej stronie Atlantyku podobny szlak opuszczał Londyn i znikał w tunelu, który dźwigał się na krótko ku powierzchni najpierw na Dwusetnej Mili, potem na Azorach i także kończył się ślepo nad tym samym kanionem. Czołowe sekcje obu odcinków odległe były już ledwie o milę, jednak między nimi ziała przepaść, której normalnymi sposobami pokonać nie było można.

I teraz właśnie nadpływał powoli długi na milę wąż, tunel i most jednocześnie, który sam sobie będzie podporą. Wąż ten wił się jak gad prawdziwy, co było wynikiem zastosowania specjalnych elastycznych złączy między żelazobetonowymi sekcjami. Złącza były ze stali dość wytrzymałej, aby stawić czoło gigantycznemu ciśnieniu głębin, i dość giętkie, aby dostosować się do wymogów środowiska. Ten ostatni odcinek owego herkulesowego przedsięwzięcia budowano aż dwa lata w różnych miejscach. Potem ściągnięto wszystkie elementy na



rzekę Hudson, tuż poniżej ruin fortecy na West Point, tak bohatersko powiązanej z imieniem generała Benedicta Arnolda. Tym razem bitwę toczono z oporną materią i z oceanem. Kolejno łączono poszczególne segmenty, sprawdzano je, testowano w różnych warunkach, aż zanurzone gotowe dzieło pod powierzchnię i rozpoczęło się bardzo długie holowanie.

O'Toole stał na mostku i nie tyle sterował, ile zerkał nieustannie na instrumenty. Komputer sam znakomicie prowadził okręt.

– Trudno do tego przywyknąć – mruknął, zakładając ręce na piersiach, by nie ulec pokusie. Palce wciąż same wyciągały mu się ku przyrządom, oczy podejrzliwie śledziły wskazania żyrokompasu. – Teoretycznie wszystko jest jasne. Kierujemy się na sygnał sonaru zamontowanego na przyczółku mostu, ta maszyna za nami pilnuje, byśmy nie pobłądzili i nie zerwali holu. Wiem to, cholera, ale wiedzieć a uwierzyć to dwie różne sprawy.

– Jeszcze się przekonasz – powiedział Gus znad stołu nakresowego. Uśmiechnął się i z zadowoleniem pokiwał głową. Wedle mapy przebyli już szmat drogi. – Po prostu brakuje ci rozróby. Jakaś mała pijatyka, trochę walki na pięści...

– Proszę nie oczerniać O'Toole'ów! – zawołał sternik, udając wielkie rozgoryczenie. – Chociaż przydałby się kufelek guinnessa, nie powiem.

Zapaliło się kilka czerwonych kontroltek. Sternik przełączył to i owo.

– Dziesięć mil do źródła sygnałów. wprost przed nami.

– Czas zacząć zwalniać. Prędkość postępową musi nad kanionem spaść niemal dokładnie do zera. Wtedy najłatwiej poradzimy sobie z prądem.

Gus nawiązał łączność z przedziałem komputera i wydał stosowne polecenia.

Wąż płynął coraz wolniej, ale tak wielka masa potrzebowała długiej drogi hamowania. Sygnały rozmieszczonych poniżej sonarów naprowadziły oba końce na właściwe pozycje i można było rozpocząć ostateczne zanurzenie. Przycółki leżały milę w dole, poza pasem spokojnej wody. Prąd denny był wprawdzie powolny, ale jego nieustanny napór musiał wywrzeć wpływ na coś tak ogromnego jak most. Komputer i to wziął pod uwagę i odpowiednio zmodyfikował kąt opadania, by przeciwstawić się prądowi.

Zawory zbiorników balastowych poszczególnych sekcji otwały się na chwilę, by dostosować pływalność konstrukcji do zmieniającego się ciśnienia. Po długich chwilach opadania w dole pokazały się czerwone światła przycółków i promienie laserów wyznaczyły precyzyjnie miejsca lądowania. Końcówki zbliżyły się do zaślepionych jeszcze odcinków tunelu.

– Jest. – Wpatrzony w ekran monitora Washington pokazał palcem. Musieli posługiwać się kamerami, gdyż obły kadłub pojazdu podwodnego pozbawiony był iluminatorów, które tylko niepotrzebnie osłabiałyby jego konstrukcję. Miast nich na dziobie i rufie, na pokładzie i pod kilem zamontowano szereg kamer; ten akurat obraz pochodził z dolnej. – Trzymamy kurs

z dokładnością do pięciu miejsc po przecinku – dodał, zerkając na odczyty komputera.

Prąd poruszał się z jednostajną szybkością półtora węzła, w zasadzie niewiele, na powierzchni dobry pływak zwycięża bardziej wartkie strumienie, o łodzi wiosłowej nie wspominając. Dla podmorskich pojazdów podobne ruchy wody nie są problemem, tym razem jednak trzeba było pamiętać o długiej na milę i grubej na trzydzieści stóp sekcji, która przez swą wielkość działała niczym gigantyczny, wodny żagiel. Napór był tak silny, że tylko połączone siły wszystkich pojazdów miały szansę mu się przeciwstawić. Stąd też operacja musiała zostać przeprowadzona niezwykle precyzyjnie, z idealnym zgraniem wszystkich manewrów.

Najważniejszą jej częścią było umocowanie lin do ścian kanionu. Jednocześnie po obu stronach. Już wcześniej spleciono odcinki holu z grubymi na ponad jard stalowymi linami, które na miejscu miały spełnić funkcję cum. Najdłuższe, bo długie na ponad pół mili, były te przymocowane do centralnej sekcji. Zespoły odciągów miały docelowo utrzymać most na miejscu, nie podierać, gdyż od tego były zbiorniki wypornościowe.

Oba przyczółki tworzyły rozległe place wygładzonej skały, jaskrawo obecnie oświetlonej niezliczonymi reflektorami, gdyż ten ostatni etap trzeba było wykonać niemal ręcznie, choć, oczywiście, za pośrednictwem maszyn. Już wcześniej przygotowano monstrualne betonowe kotwy z wielkimi obejmami, które w przyszłości miały przytrzymywać odciągi. Do utrzymania ich właściwego naprężenia przewidziano potężne

elektryczne nawijarki. Ale to później, w pierwszym etapie należało zabezpieczyć kable prostszymi metodami, do tego miały posłużyć wielkie stalowe szczęki. Zakotwiczone solidnie w skale, były wyposażone w mechanizm sprężynowy zatrzaszkujący je pod wpływem nacisku wsuwanej między szczęki liny. Całość przypominała gigantyczne pułapki na szczury. Prócz sprężyny były jeszcze zaciskające paści elektryczne silniki. Całość sprawdzono już wielokrotnie w działaniu. Musiało się udać!

Pojazdy podwodne nasuwały most na miejsce. Zupełnie jak holowniki w porcie, tyle że wciąż pracowały pod nadzorem komputera. Na pokładach panowała niemal całkowita cisza, mącona jedynie przez pomruk motorów i szum klimatyzacji. Czasem tylko któryś z operatorów powiedział słowo czy dwa, ale i tak wyczuwało się napięcie tak olbrzymie, że niejeden miał wręcz kłopoty z normalnym oddychaniem. Zbliżał się decydujący moment. Błąd teraz popełniony będzie błędem nie do naprawienia.

Kotwy czerniały coraz większe na ekranach, każda oznaczona wyraźnie płonącym czerwienią numerem. Piloci z kurczowo zaciśniętymi dłońmi patrzyli, jak ich pojazdy same sterują pod dowództwem komputera, który lepiej sprawiał się w tej potrzebie niż najbystrzejszy nawet człowiek. Skala rysowała się teraz wyraźnie, ze wszystkimi szczyrbami i załomami.

– Jedyńka i dziewiątka, mocujcie. Od tej chwili działacie samodzielnie!

Głos rozbrzmiał jednocześnie na pokładach wszystkich pojazdów. Długo oczekiwany sygnał do cumowania. Pierwsze mocowano najkrótsze kable wiodące od skrajnych segmentów mostu, czyli jedynek i dwójkę, oraz te najdłuższe, dziewiątkę i dziesiątkę. Odpowiednie łodzie zostały wyłączone spod kontroli komputera i ruszyły czym prędzej ku stosownym szczękowym zakotwiczeniom. W kolejce czekały już następne dwie z symetrycznymi holami. I to w zasadzie powinno wystarczyć, cztery liny to dość, aby most mógł oprzeć się prądowi. Od ich udanego zamocowania zależała jednak cała reszta. Bez nich konstrukcja zostałaby szybko zmyta w głębiny.

*Nautilus II* płynął na pełnej szybkości. O'Toole miał wreszcie co robić przy sterach. Uruchomił wciągarkę, by ująć manipulatorami właściwą linę cumowniczą zamiast dotąd zaciskanej holowniczej. W końcu ujrzał na monitorze dwudziestostopowy, pomalowany na pomarańczowo odcinek kotwiczny. Gdy tylko wsunie go między szczęki, te się zatrzasną. Miał nieco swobody, musiał mieć, gdyż kabel się wyginał. Dla wygody operatora zaznaczono na linie dwustopowy czarny odcinek optymalnego miejsca zamocowania.

O'Toole manewrował masywnym *Nautilusem* niczym papierowym okręcikiem, a końcówka liny tańczyła wkoło paści. Powoli, niespiesznie poprawiał położenie, aż złoisty palec naszedł na cel. Stojący za sternikiem Gus bezwiednie wstrzymał oddech. Zdawało mu się, że zaraz staranują urządzenie.

– Mam go! – krzyknął O'Toole i dokładnie w tej samej

chwili stalowy aligator złapał zdobycz. Zęby zacisnęły się dokładnie na czarnym znaku i uczyniły to z takim impetem, że aż drżenie przeszło przez pokład. – Teraz uwolnić się i zmykamy.

Nacisnął dwa guziki, uruchamiając zapalniki miniaturowych ładunków wybuchowych, i usunął szkle łączące jednostkę z linami cumowniczymi. Mniejsze kable opadły w przepaść i *Nautilus II* wycofał się powoli.

– Numer dziewiąty też zahaczył – powiedział Washington, zerkając na monitor. – Dwójka i dziesiątka, zaczynajcie podejście.

W tej właśnie chwili, najmniej odpowiedniej z możliwych, gdy sekundy decydowały o sukcesie lub porażce, zdarzyło się najgorsze. Geologia jednak mierzy czas innymi jednostkami, ludzkie istnienie jest wobec nich tylko mgnieniem oka, tysiące lat budowy cywilizacji nic nie znaczą wobec procesów zachodzących w skorupie ziemskiej i głębiej jeszcze, gdzie przyplęwy lawy napierają co pewien czas na zestalony płaszcz. Ciśnienie wzrasta z wolna, aż lava zaczyna domagać się ujścia, a wówczas skały przesuwają się nieco, naprężenia znikają i znów zapada spokój. W zasadzie nic wielkiego, dość jednak, by zniszczyć dzieło człowiecze.

Z wnętrza ziemi dobiegł głuchy łoskot, dno zafalowało lekko, a wzbudzona tym fala uderzyła w burty pojazdów i zbiła je z kursów.

– Trzęsienie ziemi – szepnął Gus, wstając z pokładu, na który cisnęła go pierwsza fala. – Podwodne trzęsienie. Właśnie teraz...

Poblądł, ujrawszy, co dzieje się na zewnątrz. Wibracje

przeniosły się na grube liny, które wiły się teraz niczym żywe stworzenia. Most i odciąg zostały tak skonstruowane, aby wytrzymać podobne i silniejsze jeszcze wstrząsy, ale jako zakotwiczona porządnie i zabezpieczona całość. Obecnie dwa kable przenosiły całe naprężenie. Dwa zamiast dwudziestu. Nie miały prawa wytrzymać. Gus szybko zrozumiał, ile zniszczeń może przynieść ten wstrząs. Już je powodował, gdyż przeciążone liny wyrywały się z mocowań.

Mocna stal i żelazobeton kruszyły się niczym plastik. Gus patrzył na to jak zahipnotyzowany, aż w końcu wyrwał się z odrętwienia i sięgnął po mikrofon.

– Dwójka, wycofaj się lub odstrzel kabel. Słyszysz?

– Dam radę, zamocuję za...

Słowa urwały się i nigdy nie dobrzmiały do końca. Most, wyrwawszy obie liny, drgnął i poddał się prądowi. Pociągnął za sobą wszystkie pojazdy, a wraz z nimi i dwójkę, która była akurat tuż przy ścianie kanionu. Nagłe szarpnięcie cisnęło pojazd na skałę. W jednej chwili kadłub pękł, a wielkie ciśnienie wody dokonało reszty. Dwójka implodowała i na odległe dno sypnął się tylko grad szczątków. Ludzie na pokładzie zginęli zapewne tak szybko, że nie zdołali nawet dostrzec nadciągającej zagłady.

Gus nie miał czasu myśleć o umarłych, gdyż wkóło pozostało jeszcze wielu żywych. No i most, który też należało ocalić. Trwało kilka sekund, nim zmusił się do logicznego myślenia. Szybko rozważył możliwe rozwiązania. W głośniku przelewał się gwar ogarniętych paniką głosów. Washington sięgnął w końcu no mikrofon i wcisnął przycisk nadawania

– Przerwać wszystkie rozmowy. Cisza. Cisza! Mówi Washington. – W ciągu paru sekund otrzymał, co chciał. – Szeft drugiej sekcji, meldować, co u was. Tutaj mieliśmy trzęsienie ziemi i wyrwało liny z zamocowań. Co u was?

– Mówi szef drugiej sekcji. Wszystko dobrze. Powtarzam, światło zielone. Cztery kable umocowane. Zabieramy się do następnych dwóch. Wyczuliśmy odległe wstrząsy i wibracje.

– Zamocuj następne dwa i zawieście operację. Uwaga wszystkie pojazdy pierwszej sekcji. Do wszystkich nieparzystych. Nieparzystych, powtarzam. Odstrzelić liny i kierować się na południe poza zasięg zwisających kabli, potem zawrócić nad most. Powtarzam, nad most. Teraz do parzystych. Kierować się na północ, cała naprzód dokładnie pod prąd ze wznoszeniem na poziom mostu. Wykonać.

Był to manewr podyktowany czystą desperacją, plan wymyślony w kilka chwil w nadziei, że jeśli wszyscy wykonają bezbłędnie i równocześnie, czego się od nich oczekuje, to może będzie jeszcze jakaś szansa. Gus widział dokładnie oczami wyobraźni, jak należy to przeprowadzić, i wiedział, że nie ma innej możliwości.

Most trzymał się przyczółka tylko z jednej strony, wschodniej. Przód zginał konstrukcję, znosząc jej zachodni kraniec coraz bardziej na południe. Było pewne, że nie potrwa długo, a nazbyt skrzycone złącza pękną, do pustego obecnie odcinka tunelu wdrze się woda i obniży jego pływalność. Konstrukcja zacznie tonąć, aż runie na dno kanionu i ulegnie



kompletnemu zniszczeniu. Nie można do tego dopuścić! Po pierwsze należało uwolnić wszystkie pojazdy oznaczone nieparzystymi numerami, czyli te uciepione lin z południowej strony. Ich ewentualne naciągnięcie byłoby teraz równie niszczące, jak siła prądu. Do tej chwili wszystkie powinny odstrzelić już złącza i skierować się nad most. *Nautilus II* był obecnie poniżej luźnych końcówek kabli i płynął pod prąd ku tym pojazdom, które zostały przy swoich holach. Ich zadaniem było ciągnąć most ku północy, by przeciwdziałać naporowi wody. Oby się udało!

Górna kamera pokazała przerażający obraz. Światła pozycyjne mostu nie tworzyły już linii prostej, tylko wyginały się z wolna w półksiężyc. Prąd zwyciężał. Gusowi starczył jeden rzut oka.

– Do wszystkich pojazdów, które wyczepiły kable. Przyłączyć się do jednostek holujących zachodni odcinek mostu. Wykorzystać dziobowe magnetyczne złącza cumownicze i cała wstecz. Musimy powstrzymać zginanie, trzeba go wyprostować.

*Nautilus II* podpłynął pierwszy, przypiął się potężnymi elektromagnesami do kadłuba ciężko pracującego śrubami pojazdu i sam dał całą wstecz. Niewiele to pomogło, gdyż most skręcał coraz bardziej, aż zachodni koniec celował niemal dokładnie na południe. Projektanci uczynili go elastycznym, ale czy do tego stopnia? Jeszcze chwila i zacznie pękać.

Ale nie popękał. Kolejne pojazdy wynurzały się z mroku i dołączały do reszty. Wreszcie powstrzymały zginanie. Nie zyskiwały wprawdzie pola, ale i nie traciły. Potrzebna była

pomoc.

– Uwaga wszystkie jednostki drugiej sekcji. Kontynuujcie mocowanie kabli z waszej strony. Jednostki, które zakończyły operację, kierują się na maksymalnej szybkości na drugi koniec i przyłączają się do ciągnących. Musicie nam pomóc.

I pomoc przyszła. Kolejne jednostki doczepiały się, tworząc grona po dwie, trzy lub cztery. Z początku jakby bez rezultatu, ale Gusowi wydawało się, jakby łuk zaczął łagodnieć. Czy naprawdę?

– Nie chciałbym przesadzić – powiedział nagle O’Toole – i nie rzucam nigdy słów na wiatr, ale mam wrażenie, że płyniemy. Trochę, ale zawsze.

Chwilę później zabrzączał głośnik.

– Mówi *Anemone*. Jestem na skrajnej pozycji blisko ściany. Obserwuję punkty odniesienia. Ruch na południe zahamowany. Mam wrażenie, że przemieszczamy się powoli na północ. Powoli, ale stale.

– Dzięki, *Anemone* – powiedział Gus. – Dobra robota. Słyszysz mnie, *Periwinkle*?

– Tu *Periwinkle*.

– Ty jeden masz ciężkie manipulatory. Podejdź do mostu i zlokalizuj drugi kabel po stronie południowej. Oznaczony numerem trzy. Pierwszy zdążyliśmy zakotwiczyć, ale prąd go wyrwał. Odszukaj pomarańczowy odcinek trójki i spróbuj zakotwiczyć go do trzecich szczęk. Rozumiesz?

– Już ruszam.

Pracujące na pełnej mocy silników nagle przeciągnęły

w końcu most na właściwą pozycję i przytrzymały go w miejscu, gdy *Periwinkle* mocował kolejno zwisające luźno kable. Dopiero gdy wszystkie południowe znalazły się w obejmach, Gus pozwolił na mocowanie północnych. Po podczepieniu pierwszego pozwolił sobie na westchnienie ulgi. Dopiero teraz poczuł, że cały się trzęsie.

– Straciliśmy jedną załogę i jedną łódź – powiedział sam do siebie, jakby dopiero teraz pamięć mu wróciła. Nie zauważył, że O’Toole i reszta obecnych w pomieszczeniu patrzą na niego z czymś na kształt podziwu i milcząc, kiwają głowami.

– Udało się panu, kapitanie Washington – powiedział w końcu O’Toole za nich wszystkich. – Udało się mimo trzęsienia. Każdy inny by uległ, ale pan tego dokonał. Zginęło kilku dobrych ludzi, tego jednak nie można było przewidzieć. Most siedzi na miejscu i nie będzie już więcej ofiar. Wygrał pan!

## Koniec eksperymentu

– Ma pan połączenie z Sunningdale – powiedział klubowy portier. – Zechce pan je przyjąć w sali telefonicznej?

Washington skinął głową i pospieszył do pomieszczenia za szklanymi drzwiami, gdzie pośród obwieszonych brokatem ścian stały wygodne skórzane fotele z głośnikami wbudowanymi w zagłówki, mikrofonami sterczącymi na wysięgnikach w okolicy ust i przełącznikami w poręczach. Washington usiadł w jednym z nich i pstryknął skobelkiem.

– Jesteś tam? Tu Washington.

– To ty, Gus? Miło cię słyszeć. Gdzie jesteś?

– W moim klubie, w Londynie. Joyce, czy mógłbym cię prosić o pewną przysługę?

Spotkał Joyce Boardman już kilka razy. Gdy była akurat w Londynie, umawiał się z nią zwykle na lunch, dziewczyna bowiem miała zwykle najświeższe wiadomości o Iris. Sama była już szczęśliwą mężatką i dobrze wiedziała o niedoli Gusa. Nie musiał jej nawet pytać, bez tego zaczynała opowieść na

interesujący go temat. Niewielka pociecha, ale zawsze, i oboje cieszyli się z tych krótkich spotkań, chociaż prawdziwego powodu żadne nigdy głośno nie wyjawilo. Teraz w glosniczkach zapanowala na chwile cisza, gdyz Washington po raz pierwszy zwrócił się do Joyce z otwartą prosbą.

– Oczywiście, byle w rozsądnych granicach – odparła.

Tym razem to Gus zamilkł przelotnie. Poczul zakłopotanie. Nie zwykł rozmawiac z kimkolwiek o sprawach tak osobistych. Ale trudno.

– To troche bardziej prywatna kwestia. Chyba się domyślasz. Czytasz gazety, no i wiesz, że tunel jest prawie gotowy. W gruncie rzeczy przybyłem do Londynu tylko po to, by dopilnować ostatnich przygotowań przed otwarciem. Jutro wyruszam w tym samym celu do Nowego Jorku. Jeszcze troche do inauguracji i pierwszego pociagu, ale w zasadzie skończyliśmy. Chciałbym cię prosic o coś, czego sam nie mogę za bardzo przeprowadzić. Czy mogłabyś zaaranżować mi jakoś spotkanie z Iris?

Wypowiedzial to wreszcie. W tejze chwili Joyce wybuchnela śmiechem. Zanim zdązyla cokolwiek wyjaśnic, Washington spiekł dorodnego raka.

– Wybacz, proszę, ale to zabawny zbieg okoliczności. Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? To przedstawienie w Albert Halli?

– Jasne. Trudno to zapomniec.

– Domyślam się, ale wtedy miał tam odczyt filozof i naukowiec, doktor Judah Mendoza. Jego teoria strumieni

czasowych to coś naprawdę fascynującego. Byłam na wszystkich jego wykładach, czasem razem z Iris, a dziś po południu mam gościć go w domu, takie małe przyjęcie z udziałem medium, *madame* Clotildy. Przed liczną publicznością gorzej jej wychodzi, dlatego zorganizowaliśmy coś bardziej kameralnego. Tylko parę osób. Jesteś zaproszony, oczywiście. O drugiej. Iris też będzie.

– Idealnie. Bardzo ci..

– Daj spokój. Zatem mogę na ciebie liczyć?

– Będę, choćbym miał wejść kominem!

Jadąc taksówką za miasto, Gus nie podziwiał okolicy. Cały czas trwał w zamyśleniu. Co ma zrobić? Co powiedzieć? Ich przyszłość spoczywała w dłoniach sir Isambarda i wciąż była bardziej niż niepewna. Nawet teraz, gdy tunel został już ukończony. Czy da się coś zmienić? Czy można tu zmienić cokolwiek? Nie znał odpowiedzi.

Letni dzionek był całkiem miły, wzdłuż biegnącej łukiem ulicy rosły okryte kolorowym kwieciami krzewy, nad którymi uwijały się całe roje pszczół. Szumiący las, zielone trawniki, rdzawe dachy i błękitne niebo, piękna zaiste pogoda, która nie znajdowała odbicia w sercu Gusa. W taki dzień chyba jakoś uda im się porozumieć. Zbyt wiele ofiar już ponieśli, pora z tym skończyć.

Pokojówka wprowadziła go i zaraz pojawiła się Joyce w sięgającej ziemi sukni. Podała mu dłoń.

– Iris będzie za chwilę. Wejdz i poznaj pozostałych.

Wśród gości przeważały kobiety. Którvch Washington

akurat nie znał. Przywitał się niewyraźnie. Mężczyzn dojrzał tylko dwóch, jednym był brodaty profesor jakichś nauk. Marynarke obsypaną miał okruszkami, mówił z twardym, niemieckim akcentem i nieprzyjemnie woniało mu z ust. Gus czym prędzej wziął sherry i przysiadł obok tego drugiego, również naukowca, ale przynajmniej o nim Washington coś słyszał. Był to walebnny Aldiss [Harry Harrison przedstawia nam w tej powieści co najmniej dwa przetworzone portrety swoich przyjaciół. Ta przewrotna aluzja dotyczy niewątpliwie Briana Aldissa, natomiast pół książki temu mieliśmy do czynienia z alternatywną osobą A. C. Clarke'a], postawny osobnik z wydatnym nosem i takąż zuchwą. Pogardził sherry i miast tego raczył się sporą porcją whisky. Gusa zastanowiło, czego dyrektor Ali Souls może szukać w takim miejscu, potem przypomniał sobie jednak, że prócz działalności akademickiej Aldiss zajmuje się także pisarstwem. Publikując pod pseudonimem Argentmounta Browna, zdobył całkiem sporą popularność jako autor licznych naukowych fantazji i teoria światów równoległych musiała dlań być wspaniałą pożywką. Porozmawiali trochę, jako że walebnny interesował się sprawami tunelu i chętnie słuchał wszystkich wyjaśnień Gusa. Gdy wreszcie pojawiła się Iris, Washington przeprosił i podszedł do dziewczyny.

– Pięknie wyglądasz – powiedział i nie było w tym grama przesady. W jej wypadku nawet małe kurze łapki w kącikach oczu tylko dodawały uroku.

– Dobrze się miewasz? Ojciec mówił, że prawie już skończył się. Nie wiem nawet, jak jest tam z tym drugim

skonczył się. Nie wiesz nawet, jaka jestem z was dumna.

Publicznie więc powiedzieć oczywiście nie mogli, chociaż jej oczy zdradzały niejedno, w tym i sekrety samotnych nocy i dni. Gus zrozumiał, że tak naprawdę nic się między nimi nie zmieniło. Wymienili jeszcze kilka uprzejmych słów, gdy zawołano, że seans się rozpoczyna. Zasunięto kotary, by przyciemnić nieco salon. Siedli w półokręgu, doktor Mendoza stanął tyłem do kominka i złożył ręce pod połami fraka, jakby chciał ogrzać je przy zimnym palenisku. *Madame* Clotilda ułożyła się wygodnie na kanapie. Mendoza zakasłał głośno, prosząc w ten sposób o ciszę, poklepał łysinę gestem człowieka, który sprawdza, czy wszystko ma na miejscu, rozczesał palcami bujną siwą brodę. Niczego nie brakuje, można zaczynać.

– Wprawdzie widzę głównie znajome twarze, ale jest też kilka nowych osób, dlatego pozwolę sobie zacząć od pewnych wyjaśnień dotyczących naszych ostatnich odkryć. Ustaliliśmy istnienie tak zwanych punktów alfa, które jako kluczowe stanowią o przebiegu historii i jako takie łączą nas poniekąd ze światem alternatywnym. Ten świat to także nasz świat, ale taki, jakim go nie znamy. Kluczowym elementem naszego punktu alfa jest nieszczęsny pasterz imieniem Martin Alhaja Gontran. Został zabity w roku tysiąc dwieście dwunastym. W tym drugim świecie, który badamy, nazwijmy go alfa dwa, nasz to alfa jeden, oczywiście, pasterz ten przeżył i za jego sprawą Maurowie nie wygrali bitwy pod Navas de Tolosa. Następstwem tego zdarzenia było powstanie kraju zwanego Hiszpanią. Dokładnie w tym miejscu, gdzie mamy obecnie Kalifat Iberyjski. Obok



powstało mniejsze i też chrześcijańskie państwo Portugalia. Czas płynął. Te dwa chciwe i wojownicze państwa rozpoczęły podboje na innych kontynentach. Toczyły tam nawet wojny, które zmieniły oblicze świata. Spójrzmy na Anglię, jako że o nią pyta się mnie najczęściej. Co z Anglią? Czy John Cabot odkrył Amerykę Północną i Południową? Gdzież bohaterowie tamtych czasów? Niestety. W świecie alfa dwa doszło w Anglii do wojny domowej, wyniszczającej i dość tajemniczej, gdyż *madame* Clotilda nazwał ją Wojną Tulipanów. Możliwe jednak, że gdy weźmiemy pod uwagę miejsce urodzenia *madame* Clotildy oraz fakt, że Anglia to nie Holandia, prawdziwa nazwa owego konfliktu mogła brzmieć: Wojna Róż. Zajęci bratobójczą walką Brytyjczycy stracili zainteresowanie dla wszystkiego poza własnymi granicami i zbiednieli ze szczętem, a Ludwik XI, król Francji, dożył sędziwego wieku i całe życie strawił na ingerowaniu w przebieg angielskich wojen.

– Ludwik zmarł w wieku lat dziewiętnastu – mruknął Aldiss.  
– I dobrze.

Doktor Mendoza wytarł nos w chustkę i podjął wykład:

– Wielu spraw jeszcze nie wyjaśniliśmy i dziś właśnie spróbujemy to uczynić. Oddalimy na chwilę dziwaczne zaiste obrazy Azteków i Inków mówiących po hiszpańsku i spróbujemy spojrzeć na świat alfa dwa taki, jak wygląda on dzisiaj. W tym roku. *Madame*, poproszę...

Doktor Mendoza zaczął wprowadzać medium w trans. *Madame* Clotilda zapadła w głęboki sen, złączyła dłonie na okazałym brzuchu, oddychała równo i głęboko. Gdy jednak

doktor chciał ją nakłonić do nawiązania kontaktu ze światem alfa dwa, zaprotestowała stanowczo, chociaż wcale się nie ocknęła. Jej ciało zaczęło się wywijać i drżeć konwulsyjnie. Ostatecznie jednak Mendoza przemógł swą stanowczością opory medium.

– Mów – rozkazał i tego polecenia nie sposób było nie posłuchać. – Jesteś teraz w tym świecie, o którym mówimy. Widzisz go. Opowiedz nam o nim, opowiedz o Anglii, o świecie, o koloniach. Mów, opowiadaj, chcemy cię wysłuchać. Mów!

Zacząła. Najpierw drżącym głosem wypowiadała jedynie wyrwane chyba z kontekstu słowa, potem zaczęła mówić o zdarzeniach, których nigdy nie było, do których nigdy nie doszło.

– Ooch... penicylina, petrochemiczny, podatek od nabycia... podatek dochodowy, podatek od obrotu, karbunkul.. Woolworth's, Marks & Sparks... wielkie statki powietrzne, wielkie miasta na ziemi, wszędzie ludzie, mnóstwo ludzi. Widzę Londyn, Paryż, Nowy Jork, Moskwę. Widzę dziwne rzeczy. Armie maszerują, walczą, zabijają... Tony bomb spadają z powietrza na miasta i na ludzi. Nienawiść, mordowanie... Gaz trujący, broń biologiczna, napalm, wielkie bomby, atomowe, wodorowe... Spadają, ludzie walczą, giną, nienawidzą się wzajemnie, i to już jest... to jest... Aaa....

Zakończyła krzykiem i wpadła w potężne konwulsje. Gus zerwał się, by pospieszyć z pomocą, ale Mendoza powstrzymała go ruchem dłoni i wezwał z kuchni czekającego tam lekarza. Wyraźnie przewidział, co może się wydarzyć. Gus wrócił na fotel i ujrzał bielejącą w drzwiach zdumiona twarz gospodarza. Tom

i ujrzał uciekającą w ciżwiaku zdmuchoną twarz gospoďarza, Toma Boardmana. Kiedyś go juź spotkał. Tamten rzucił okiem na pokój i czym prędzej uciekł na piętro.

– Więcej nie usłyszemy – powiedział Mendoza, wycierając twarz barwną chustą. – *Madame* nie zbliży się juź więcej to tego obszaru, i łatwo się domyślić dlaczego. Słyszając o tak brutalnych wydarzeniach, możemy jednak wyciągnąć pewne wnioski. Niewykluczone, że tamten świat właśnie przestał istnieć, chociaź trudno sobie wyobrazić, jak mogło do tego dojść. Nie da się teź jednoznacznie orzec, czy wizja nie była w jakiejś części wytworem umyślu medium. To wymaga dalszych badań, chociaź wyraźnie szansę na nawiązanie kontaktu ze światem alfa dwa są nader nikłe. A szkoda. Winniśmy zatem cieszyć się tym światem, który mamy.

– Nie zna pan więcej szczegółów? – spytał Aldiss.

– Trochę owszem, przekażę je panu, jeśli pan sobie życzy. Może w fantastycznonaukowej powieści zabrzmia lepiej. Ja sam nie chciałbym żyć w takim świecie, jaki przez chwilę mignął nam przed oczami.

Wszyscy mruknęli potwierdzająco, a Gus wykorzystał okazję, złapał Iris za rękę i wyprowadził dziewczynę przez oszklone drzwi prosto do ogrodu. Szli wolnym krokiem pod jabłoniami ciężkimi juź od owoców. Washington przestał rozmyślać o doświadczeniu, którego był świadkiem, i wrócił do rzeczywistości.

– Poślubisz mnie, Iris?

– Gdybym tylko mogła! Ale...

– Ojciec?

– Wciąż jest chory. Za dużo pracuje. Potrzebuje mnie. Może gdy ukończycie tunel, zabiorę go gdzieś, nakłonię, by wypoczął.

– Wątpię, czy się na to zgodzi.

Bezradnie skinęła głową i uchwyciła jego dłonie.

– Też się obawiam, że nic z tego nie wyjdzie. Gus, kochany, czy nawet po tylu latach nie możemy nic zmienić?

– Musimy. Porozmawiam z nim po inauguracyjnej podróży. Budowa się skończy, nasze stosunki zawodowe stracą na znaczeniu.

– Nie dla ojca. To uparty człowiek.

– Nie zostawisz go, by za mnie wyjść?

– Nie mogę. Nie mogę budować swego szczęścia na czyjejs tragedii.

To było stwierdzenie ze wszech miar logiczne i Washington nie mógł się z nim nie zgodzić. O ironio, tym bardziej ją za to pokochał. Jednak cóż z tego? Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Iris nie płakała tym razem, może dlatego, że zbyt wiele łez już przelała. Chmura zakryła słońce i mrok zapadł na ziemi, a w ich sercach na nowo zaległ cień.

## 5

### Wspaniały dzień

Jak wspaniale jest dożyć dnia tak wspaniałego! Ci, którzy byli wówczas tylko dziećmi, mieli po latach, gdy siwizna przyprószyła im już włosy, opowiadać przy kominku o tych wydarzeniach nie narodzonym wówczas jeszcze wnukom. A słońce tego dnia było przepiękne, łagodny wiaterek miło chłodził okolice City Hall Park w centrum Nowego Jorku. Szumiały drzewa, dzieci biegały radośnie z kólkami, uwijały się między przechadzającymi się dostojnie dorosłymi. W niedużym parku zebrał się mikrokosmos obu Ameryk. Byli tu wszyscy, począwszy od pierwotnych mieszkańców Long Island, Indian Lenni-Lenape, przez Holendrów, którzy pierwsi założyli tu kolonię, po Anglików, Szkotów i Irlandczyków oraz ludzi pochodzących ze wszystkich krajów Europy. No i rzesza Indian: pięć szczepów Algonkinów w ceremonialnych pióropuszcach, Czarne Stopy i Kruki z zachodu, Pueblo i Pima z jeszcze dalszego zachodu, Aztekowie i Inkowie z południa. Ci ostatni w barwnych, pierzastych płaszczach, z paradnymi toporami

i pałkami bojowymi, z tym że zamiast ostrego szkła wulkanicznego końcówki ich zdobiła czarna guma. I jeszcze potomkowie Majów i przedstawiciele setek innych plemion z Ameryki Południowej. Wszyscy krążyli po parku, wszyscy rozmawiali i cieszyli się dniem. Kupowali lody, tortille, hot dogi, taco i chilli, baloniki i zabawki, fajerwerki i chorągiewki. Gdzieś przebiegł rozszczekany pies z gromadką dzieciarni, ówdzie niebiescy mundurowi zbierali z ławki pierwszego nazbyt wytrwale świętującego i odprowadzali go do czekającego opodal wozu. Wszystko tak, jak być powinno. Świat wydawał się ogólnie wspaniały.

Tuż przed stopniami ratusza wzniesiono udrapowane flagami podium z baterią mikrofonów z przodu i ochoczą orkiestrą na tyłach. Od czasu do czasu muzyka milkła i pojawiał się taki czy inny polityk, by wygłosić kilkanaście podniosłych zdań, ale ludzie nie zwracali na te mowy przesadnej uwagi. Podobnie nikt nie słuchał zbyt pilnie muzyki, która płynęła między wystąpieniami, chociaż orkiestra dawała z siebie wszystko. Coś innego ściągnęło dziś te tłumy do centrum, coś o wiele ważniejszego niż polityka i grajkowie.

Pociąg.

Ten właśnie pociąg, który czekał już na torach pośrodku Broadwayu. Środek ulicy wysypano piaskiem, na nim ułożono podkłady, a na nich tory i nikt nie narzekał na utrudnienia i objazdy. Jeszcze nocą chroniony kordonem żołnierzy skład przejechał powoli tyłem przez miasto, aż ostatni wagon zatrzymał się w pobliżu podwyższenia i ratusza. Lśniąca smuga pociągu,

cała w oceanicznym błękitcie i bieli okalającej okna: były to oficjalne barwy linii tunelu. Na każdym wagonie pyszniły się złote litery EKSPRES TRANSATLANTYCKI. Już teraz, przed pierwszym kursem, słowa te obrosły legendą. Wagony były zaiste wspaniałe, ale największy tłum zebrał się przy lokomotywie. Strzegli jej silni i wysocy chłopcy z pierwszego pułku Gwardii Kolonialnej, wszyscy w butach po kolana, tradycyjnych pasach i czapach angielskiego kroju, z paradnymi tomahawkami i bagnetami na lufach karabinów. Lokomotywa zaś była bliźniakiem potężnego *Dreadnoughta*, który ciągnął brytyjski pociąg. Nazwano ją *Imperator*, obłożono srebrnymi blachami, aż lśniła cudownie w słońcu. Powiadano też, że jej maszynista ma ni mniej, ni więcej, tylko doktorat MIT, co i mogło być prawdą, gdyż lokomotywa miała napęd atomowy, tak samo jak *Dreadnought*.

Z wolna przybywali szczęśliwcy, którzy mieli się stać pierwszymi pasażerami. Podjeżdżali z drugiej strony pociągu i także wsiadali, wszyscy bogaci, znaczący, piękni i dość wpływowi, aby zdobyć bilety na ten pierwszy przejazd. Tłum wiwatował, widząc tę czy inną znaną postać. Zegary na wieży ratusza pokazywały godzinę coraz bliższą porze odjazdu. Jeszcze kilka coraz krótszych przemówień. Następny odezwał się przewodniczący Rady Tunelu Transatlantyckiego, sir Winthrop. Co bliżej stojący wysłuchali go z uwagą, reszta jednak nic nie wyłowiła, gdyż przemawiał z platformy pociągu, a zgiełk podniósł się niebywale. Tłum zaczął bowiem coś skandować. z każdą chwilą głośniei i wraźniei.

– WA-SHING-TON... WA-SHING-TON...WA-SHING-TON...

W końcu wszyscy krzyczeli tylko to jedno. Sir Winthrop skapitulował przed głosem ludu, uśmiechnął się i pomachał na Augustusa Washingtona, by wystąpił przed innymi. Grom głosów odbił się echem od ścian budynków i miasto utonęło w radosnym krzyku, aż obżarte jak co dnia nowojorskie gołębie spłoszyły się i wleciały licznym stadem w niebo. Choć wydawało się to nie - możliwe, wiwaty niosły się coraz głośniejsze, aż bohater poranka uniośł obie ręce ponad głowę i zapadła cisza. Prawdziwa cisza, kto żyw bowiem pragnął usłyszeć słowa Washingtona i zapamiętać je do końca życia.

– Rodacy Amerykanie, to wielki dzień dla Ameryki. To amerykańskie ręce zbudowały ten tunel, który biegnie aż do Azorów. Amerykanie ginęli przy tej budowie, ale ginęli za dobrą sprawę, bo zrobiliśmy coś, czego jeszcze nigdy nie dokonano. Takie zwycięstwo nie było jeszcze niczym udziałem. To wasz tunel, wasz pociąg, wasz sukces. Bez stalowej woli amerykańskiego ludu nigdy byśmy tego nie dokonali. Oddaję wam hołd, pozdrawiam was i dziękuję. I mówię do widzenia.

Zgiełk zapanował znów tak potężny, że nawet najbliżej stojący nie słyszeli ani słowa z przemowy gubernatora amerykańskich kolonii, ale też pewnie niewiele stracili. Gdy skończył, jego żona wyszła przed wszystkich, wypowiedziała kilka stosownych słów i rozbiła o lokomotywę butelkę szampana. Dopiero stentorowy dźwięk syreny *Imperatora*



uciszli tłumy. Z głośników popłynęła dźwiękowa relacja z nader podobnej ceremonii, która w tejże chwili odbywała się po drugiej stronie Atlantyku, na dworcu Paddington w Londynie.

– Wsiadać! – powiedzieli tamtejsi konduktorzy i tutejsi zaraz poszli w ich ślady. Po obu stronach oceanu rozbrzmiały identyczne gwizdki. Uciszyły ponownie tłum słuchających ostatnich poleceń, trzasku drzwi, aż w końcu nadeszła ta godzina i zwolniono hamulce. Oba pociągi płynnie ruszyły. Tłum raz jeszcze zerwał się do wiwatów, by godnie pożegnać odjeżdżający skład. Washington i zgromadzeni na platformie dygnitarze odpowiadali ludziom zza przezroczystej osłony, która spowiła otwartą platformę. Podróż rozpoczęta.

Gdy tylko pociąg wjechał do tunelu pod rzeką Hudson, Gus przeszedł do bufetu, gdzie z miejsca spotkał wielu życzliwych mu ludzi gotowych postawić bohaterowi drinka. Skorzystał tylko z paru propozycji i gdy wyjechali w Queens, przeprosił towarzystwo i odszukał swoje miejsce. Z przyjemnością stwierdził, że przedział jest pusty, widać wszyscy inni zostali jeszcze przy bufecie. Usiadł przy oknie i zapatrzył się w migające na zewnątrz domy, łąki i farmy Long Island, myślami jednak błędził o wiele dalej. Robota skończona, aż trudno w to uwierzyć. Setki tysięcy godzin ciężkiej pracy wielu ludzi zrodziły coś tak niesamowitego. I już jest. Przypomniawszy sobie twarze i imiona tych, którzy wraz z nim budowali tunel. W zasadzie miał prawo poczuć się nie ludzko zmęczony, ale euforia wciąż dominowała. Upajał się sukcesem: tunel transatlantycki wreszcie stał się faktem!

Bridgehampton: pociąg zanurkował ze świstem do tunelu ułożonego na szelfie kontynentalnym. Pędził jak szalony, aż zatrzymał się w końcu przy zalanej słońcem stacji Wielka Ławica. Po drugiej stronie peronu czekały przypominające wielkie rury wagony pociągu głębinowego. Normalnie pasażerowie mieli przesiadać się w kilka minut, obsługa winna przenieść błyskawicznie ich bagaże, dzisiaj jednak przeznaczono na tę operację aż godzinę. Należało dać czas pasażerom na rozejrzenie się po sztucznej wyspie. Gus widział już jej doki i torowiska tyle razy, że teraz czym prędzej przeszedł do sąsiedniego składu. Wciąż trwał pogrążony w zamyśleniu. Reszta pasażerów jednak, gdy tylko wróciła ze zwiedzania, nadziwić się nie mogła komfortowi nowego pociągu. W końcu zasunięto pneumatyczne drzwi, uszczelniono śluzy wejściowe pociągu i tunelu i włączono pompy, aż cały skład zawisł na poduszce magnetycznej w kompletnej próżni. Wtedy dopiero otwały się wrota od strony oceanu i skład ruszył. Gdy dotarł do krawędzi szelfu, zaczął zjeżdżać coraz niżej i szybko nabrał prędkości, aż mknął nie wolniej niż dwa tysiące mil na godzinę. Nie było tu żadnych widoków do podziwiania, zatem pasażerowie zajęli się drinkami i przekąskami roznoszonymi przez ruchliwych kelnerów, ci i owi wyciągnęli nawet talie kart. Gus widział oczami wyobraźni cały szlak na dnie, widział tunel, widział tych, którzy zginęli przy jego budowie. Nie trwało długo, a pokonali Grzbiet Północnoatlantycki i rychło pociąg zaczął wspinać się ku Azorom. Powoli pokonał wrota śluzy, wpuszczono powietrze.

Choć pasażerowie w większości nic o tym nie wiedzieli,

pieczę nad oboma pociągami sprawował komputer, który tak wyliczył ich szybkość, aby składy pojawiły się na Azorach niemal równocześnie, gdyż tutaj właśnie miały się minąć. Gdy Amerykański pociąg stawał przy peronie, brytyjski zbliżał się właśnie do śluzy. Zgranie zaiste idealne.

Przystanek nie miał być długi, jedynie na kilka przemówień. I dalej w drogę... Gus przyglądał się drugiemu składowi, gdy ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się i ujrzał umundurowanego kolejarza.

– Mogę prosić pana ze sobą? – spytał mężczyzna z niejakim zakłopotaniem i Gus skinął czym prędzej głową. Miał nadzieję, że inni tego nie zauważą. I faktycznie, byli zbyt podekscytowani wydarzeniem. Ledwo odeszli trochę peronem, pełen złych podejrzeń Gus wziął kolejarza na spytki.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi, sir. Chyba coś nie tak z sir Isambardem. Powiedziano mi, bym czym prędzej pana przyprowadził.

Weszli do brytyjskiego składu. Iris pojawiła się już na korytarzu i zaraz zaciągnęła Gusa w zaciszne miejsce.

– To ojciec. Miał następny zawał. I chce cię widzieć. Lekarz obawia się, że... – Nie dokończyła, gdyż wstrzymywane dotąd łzy znalazły wreszcie ujście.

Gus podał jej swą chusteczkę.

– Prowadź mnie do niego – powiedział.

Sir Isambard był w przedziale tylko z lekarzem. Gus spojrzął raz na owiniętą w koce postać i wiedział już, że sprawa naprawdę wygląda poważnie. Wielki inżynier jakby zmiał

naprawdę wygląda poważnie. Wielki mężczyzna jakoby zbladł, postarzał się, oczy zamknięte, ledwo uchylone usta z trudem łapały powietrze. Lekarz robił mu akurat zastrzyk w ramię. Poczekali, aż skończy.

– Tato – wykrztusiła Iris.

Sir Isambard uniósł wolno powieki. Długo patrzył na córkę, nim się odezwał:

– Podejdźcie... oboje... Doktorze, jestem.. słaby... tak słaby...

– Trudno, żeby było inaczej, sir. Musi pan zrozumieć...

– Rozumiem, że sam nie usiądę. Ktoś musi mi pomóc... żebym mógł mówić. Zastrzyk... wie pan, o co chodzi.

– W obecnej sytuacji wszelkie stymulanty są wysoce niewskazane.

– Miły eufemizm na opisanie prostej prawdy, że to mnie zabije. Ale i tak umieram.. Chcę tylko, żeby utrzymał pan jeszcze maszynę przez parę chwil w ruchu.

Lekarz nie zastanawiał się długo. Sięgnął do torby i przygotował ampulki. Wszyscy czekali w milczeniu, aż środek zadziała. Po paru chwilach policzki chorego nabrały nieco kolorów.

– Tak lepiej – mruknął sir Isambard, próbując usiąść. – Złudzenie – odparł lekarz. – Potem..

– Sam wiem, co będzie potem – powiedział chory, jakby zręczliwość też mu wracała. – Chcę dokończyć tę podróż i zrobię to, choćby mieli mnie wynieść na czubkach igieł. Teraz niech mnie pan zostawi, poproszę pana na stacji Wielka Ławica

do pomocy w przesiadce. – Poczekał, aż doktor wyjdzie i zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy spojrzął na Gusa. – Teraz widzę, że zrobiłem z siebie głupca.

– Sir...

– Nie przerywaj. Tunel gotowy i nasze kłótnie dobiegły końca. O ile kiedykolwiek zaistniały, że tak powiem. Teraz bliżej jestem Stwórcy i chwili ostatecznej prawdy i nieco inaczej to widzę. Większość naszych swarów wynikała najpewniej nie z czego innego niż mojej ślepoty. Chyba za diabła nie miałem ochoty cię docenić. Jeśli tak, to przepraszam. Co gorsza, mam wrażenie, że moje sobkostwo aż nazbyt wam obojgu dokuczyciło, za co najmocniej przepraszam. Chcieliście się kiedyś pobrać, prawda? Nadal wam się to marzy?

Iris skinęła głową za oboje i poszukała palcami dłoni Gusa.

– Zatem wolna droga. Już od paru ładnych lat powinniście być razem.

– Nie zostawię cię, ojczy. Nie chcę. Tak postanowiłam. – Bzdury gadasz. Wyjdź za niego czym prędzej, bo mną już nie musisz się martwić. – Ależ ty nie...

– A owszem, taki mam zamiar. Raz tylko można przyznać się głośno do bezgranicznej głupoty: na łożu śmierci. Potem nie ma się już w zasadzie innego wyjścia, jak tylko odejść. A teraz zawołaj tego łapiducha, bo chyba znów będzie potrzebny.

W drobnym, schorowanym ciele krył się zaiste wielki duch, gdyż zawał winien powalić sir Isambarda już dawno temu. Lekarstwa lekarstwami, jednak to silna wola zdziałała najwięcej. Na stacji Wielka Ławica czekały już nosze. Przeniesiono

chorego, pasażerowie przesiedli się czym prędzej, tym razem nie było oglądania okolicy. Gdy wjechali do tunelu szelfowego, sir Isambard był na ostatnim oddechu, wyraźnie tylko pragnienie ukończenia podróży trzymało go jeszcze na tym padole. Kilka chwil później otworzyły się drzwi przedziału i stanął w nich jakiś młody człowiek.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział. – Wszyscy martwimy się o sir Isambarda. Jak się czuje?

– Tak jak to bywa w podobnych sytuacjach, Wasza Wysokość – odparł Gus.

– Cóż. Kapitanie Washington, jeśli ma pan trochę czasu, moja matka chciałaby z panem porozmawiać.

Wyszli razem, a Iris usiadła przy ojcu, ścisnęła jego lodowatą dłoń i czekała tak, aż Gus wrócił. Sam

– I co? – spytał sir Isambard i otworzył oczy.

– Cudowna kobieta. Pogratulowała nam i wspomniała coś o tytule szlacheckim..

– Och, Gus!

– Odmówiłem. Powiedziałem, że pragnąłbym czegoś więcej, lecz nie dla siebie, ale dla mojego kraju. Zrozumiała mnie w pół słowa. Od czasu rozpoczęcia budowy sporo mówiło się o niepodległości i najwyraźniej minister spraw zagranicznych, lord Amis, też uznaje to za dobry pomysł. Powiedziała, że w koloniach sprawa się dziwnie lepiej niż czasami w Anglii. Wszystko wskazuje na to, że machina dyplomatyczna już ruszyła i Ameryka zyska w końcu niepodległość.

– Kochany nareszcie! Zawsze tego pragnął

...ochoty, narodzić. Zawsze tego pragniesz.

– Winienieś przyjąć szlachectwo. Kolonie i tak zadbają o siebie – mruknął sir Isambard i zerknął w okno. Zmarszczył się, widząc kątem oka, że młodzi całują się długo i namiętnie, aż blask słońca zalał przedział. Pociąg wyjechał z tunelu, za oknem migwały pola ziemniaczane Long Island. – Zatem jesteście – powiedział z satysfakcją inżynier i stuknął laską w podłogę. – Przebyliśmy tunel i cały ocean. Piękny to dzień.

Uśmiechnął się, zamknął oczy i nigdy już ich nie otworzył.

## Epilog

Wesoły odgłos dzwonów płynął nad sielskim krajobrazem Cheshire, przywołując uśmiech na wszystkie usta. Stary, poszarzały normański kościółek w Bulkeley, całkiem blisko dóbr Brasseyów w Bulkeley Old Hall, tak dokładnie skrywał się w kwiatkach i żywopłotach, że z drogi widać było jedynie wystającą ponad zieleń wieżyczkę. Za nim, wśród troskliwie pielęgnowanego ogrodu różanego, rozciągał się niewielki podwórzec. Tam właśnie przystanął troje przyjaciół. Gus ścisnął dłoń Aleca.

– Nigdy ci się nie odwdzięczę! – powiedział.

– Nonsens! – odparł Alec Durell. – Miło mi, że mogłem się przydać. Od szczenięcych lat nie byłem w kościele. Tak czy tak, strojne widowisko. Dostałem dodatkową przepustkę, mój krawiec zarobił na spacerowym garniturze, który przyda się i tak, na dodatek mogłem pocałować pannę młodą. Same korzyści. Chyba znów spróbuję się załapać.

I rzeczywiście to zrobił, gdy Iris pojawiła się roześmiana, cała w białych koronkach i szczęśliwa jak nigdy.

– Na pewno nie zostaniesz na przyjęciu?

– Niestety. Z miłą chęcią, ale obowiązki wzywają. Zrezygnowałem ze służby na *Queen Elizabeth*: za dużo rutyny, nic tylko w tę i z powrotem przez Atlantyk. Równie dobrze mógłbym jeździć twoim tunelem. Z maszynowni nie widać wcale więcej niż z podmorskiego pociągu. Znów się zaciągnąłem. Przwieli mnie z radością.



– Bo bez ciebie RAF popadał w ruinę – zaśmiał się Gus.

– Żebyś wiedział – mruknął Alec i zniżył głos do szeptu. – Do twojej wiadomości, czytasz gazety i wiesz, że na kontynencie znów się gotuje. Saksończycy, niemal tak samo paskudni jak Prusacy, sprzymierzyli się z Francuzami. Strzelali gdzie popadnie przez Ren i mało kto się nimi przejmował, przynajmniej dopóki trafiali tylko w chlewiki, ostatnio jednak zbombardowali kilka ważniejszych miast. Runął cały fronton jednego z hoteli, w którym zatrzymywali się Brytyjczycy. Ewakuowano ich, oczywiście, ale smród pozostał. Ktoś kiedyś powiedział, że właśnie do takich misji wymyślono w swoim czasie pancerniki.

Gus odprowadził gościa do furki ogrodu, gdzie Alec uściśnął mocno dłoń Washingtona i raz jeszcze skorzystał z okazji, by ucałować pannę młodą. Nikomu to nie przeszkadzało.

– Jestem teraz na *Invincible*'u, bliźniaku starego *Courageousa*, niby identycznym, ale dziesięć lat różnicy zrobiło swoje. Jest o wiele nowocześniejszy. Mam nawet w kotłowni awaryjne cztery zespoły podajników, na wypadek, gdyby automatyka kotłów wysiadła. Czternaście turbin parowych daje napęd na śmigła, po siedem w każdym skrzydle. Zasięg został utajniony, ale w sekrecie mogę ci powiedzieć, że jest imponujący. No i świetne uzbrojenie, lekkie i ciężkie karabiny maszynowe, działka w wieżyczkach na szczytach bliźniaczych stateczników i dwie siedmiocalówki w wieży na dziobie. Poczekaj tylko, aż polecimy w górę Renu i położymy kilka salw na tych bidulach. Odeślijcie im się prosić z Anadilkanit

na tych fajdaka. Odechnę im się zacząć z Anglikami!

Ruszył uliczką wyprostowany jak na wojaka przystało, potem obrócił się jeszcze i posłał objętej parze całkiem niewojskowy uśmiech.

– I jeszcze gratuluję ci niepodległości Ameryki! – zawołał. – Dobra sprawa! Czemu nie wystartujesz na prezydenta, Gus? Prezydent Washington. Może brzmi to dziwnie, ale nie rani ucha. Zakład, że ci się uda. Nie – wahaj się!

Pogwizdując, zniknął za rogiem.